



Lwowska Narodowa Naukowa Biblioteka Ukrainy imienia W. Stefanyka

NAUKOWY DZIAŁ CZASOPISM IM. MARJANA I IWANNY KOCIW

Sf.czas. 4675

Wczoraj, Dziś, Jutro :

czasopismo poświęcone sprawom społecznym, literackim i kulturalnym

R.1933 nr 7-9

Lwów



"Wczoraj, dziś, jutro"

Dwutygodnik

społeczny ...

R. 2. 1933.



Po konfiskacie nakład drugi.

Oplatę pocztową 40% uiszczono gotówką.

CENA 35 gr.

Nr. 7. (17)

Lwów 1 września 1933.

Rok II.

DWUTYGODNIK

społeczny, polityczny i literacki.

Redaktor naczelny: TADEUSZ ZADERECKI.

Adres Redakcji i Administracji
Lwów, ul. Niecała 5.

Konto P. K. O. 503.100

TREŚĆ NUMERU: T. ZADERECKI: Nasz program. — Przegląd zdarzeń. — Niebezpieczna gra. — KL. HRABYK: Przyczyny rozdzwieku. — Sprawa lwowskiej opery. — BEZET: Kronika tygodniowa, WL. BRYLA: Opera musi być. — W. KARPINSKI: Al. hr. Skarbek i Clemenceau. — „Pieśń gniewu”. — „Panie i Sędzio”. — Ze sztuki (salon letni). K. BRYLA: Poradnik szermierczy. — Z. SIEMIENSKI: Przeciw zalewowi powieści tłumaczonych. — Wśród książek. — T. OLSZANSKI: Obrazki z niedawnego Lwowa. — JAN GNIEWOSZ: Oszczędność przede wszystkim (humoreska) — Sokołowie o Polsce, Rosji i Niemczech. — Dział kobiecy. — Dział gospodarczy. — JOZEF BIENIASZ: Karpacki miś (nowela). — i t. d.

Zamiast programu.

A my — co o tem wiemy?

Prawdę rzekłszy — nic, albo bardzo mało. Prasa bowiem w tych rzeczach nie uwzględnia zazwyczaj jednego: obiektywizmu, prawdy. To co dostajemy do rąk, są to celowe i pod pewnym kątem tworzone preparaty. Jakże atoli dalekie od rzeczywistości!

Narodowca interesuje życie innych państw ościennych. A tymczasem co o tem wie? Znowu niewiele! Celowo bowiem i stale zorganizowanej rudryki odpowiedniej nie znajdzie nigdzie. Interesuje go problem ruski. Na tem polu ledwie tu i ówdzie coś się pisze. Ale specjalnie interesuje go sprawa żydowska. A tymczasem w tej kwestji kwitły aż nadto dziwne stosunki.

Powiedzmy sobie prawdę. O Żydach nie wiemy prawie nic. To co jest, a jest bardzo niewiele, niema nic wspólnego z rzeczywistością. Nasze dzieła judaistyczne (a jakże ich przytem skąpo i jakież ich poziom nieszczesny!) żyją powtarzaniem tego, co oddawna zagranicą, głównie w Niemczech, zostało już obalone, skompromitowane, zniwelowane. Własnego, obiektywnego sądu o Żydach, ich psychice, ich literaturze i t. d. nie posiadamy; a przecie kto jak kto, ale my właśnie żyjemy z nimi i to aż w tak licznej sąsiedztwie. Naszym więc obowiązkiem, jeśli już dla niczego innego, ale dla prostej samoobrony winno być szczególne nasilenie jasnej uwagi na ów zgola odrębny od nas świat. Tego niema. I na tem więc polu stoi przed nami poważne zadanie.

Wszystkich tych zjawisk bowiem lekceważyć Polakowi nie wolno. Bądź jaki będzie nasz ich krytyczny osąd, bądź jaki ostateczny do nich stosunek się uformuje — przechodzić koło nich obojętnie — to pracować sobie samym na zgubę. „Obojętność jest drzemką ducha” — powiedział słusznie Vauvernargues; narody zaś senne dla spraw, co je bezpośrednio dotyczą, lub żyjące w maskowanej niewiedzy o nich — same się wykreślają powoli z księgi historii. Strusia polityka w jakiej by była formie — jest zawsze wysoce szkodliwa.

Ten sam obiektywizm i prawda będzie naszym hasłem i na reszcie pół; bądź to literatura, bądź sztuka, bądź reszta kulturalnego życia, wszystko notować będziemy, wszystkiemu oddamy sprawiedliwość. Otoczmy bacznią obserwacją dziedziny takie jak sport, radio, kino, teatr w służbie narodu i sztuki zyska w nas życzliwych popleczników; każdy przejaw życia dodatni może liczyć na obiektywne nasze poparcie, każdemu ujemnemu przeciwstawimy się otwarcie i śmiało. Do tego współdziałania z nami zapraszamy czytelników.

Nie zrywając z tem co było „Wczoraj” — nie zrywając z dodatnimi przejawami naszej polskiej tradycji, chcemy formować smutne „Dziś, na służbę świadomą „Jutra”!

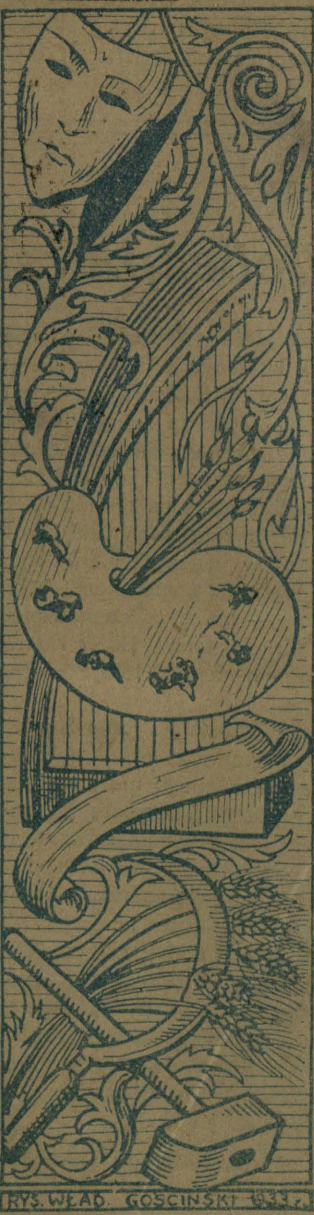
Bo jutro do nas należy!

TADEUSZ ZADERECKI

W
C
Z
O
R
A
J

D
Z
I
Ś

J
U
T
R
O



RYS. WŁAD. GOSCIŃSKI 1933.

Zdarzenia.

Polska.

Awantury na wiecu narod.-socjalistów. W Sosnowcu doszło do awantur między Żydami i P. P. S., a narodowymi socjalistami, którzy zwołali wiec. Zebranie nie doszło do skutku.

Skon japońskiego posła w Otwocku. Zmarł minister Hiruoki Kawai, poseł japoński w Polsce. Dyplomata japoński na łożu śmierci przyjął chrzest katolicki. Pogrzeb jego odbył się w stolicy bardzo uroczystie.

Hitlerowcy w Polsce. Polskę opuściła młodzież hitlerowska z Gdańska, która bawiła w lecie na wywczasach koło Mszany Dolnej. Młodych hitlerowców żegnano bardzo serdecznie.

Samoloty niemieckie nad Polską. Trasą biegnącą nad terenem polskim i prowadzącą do Prus Wschodnich, przeleciało z końcem ub. m. sto samolotów niemieckich. Rząd polski udzielił na to zezwolenia.

Wycieczka katolików francuskich. Przez kilkanaście dni w sierpniu bawiła w Polsce liczna wycieczka francuskich katolików, którzy zwiedzili wszystkie większe ośrodki polskie.

Bezrobocie. Liczba bezrobotnych zarejestrowanych wynosiła w drugiej połowie ub. miesiąca 206.410 osób.

Stany Zjednoczone.

Rewolucja na Kubie. W pierwszej połowie ub. m. wybuchła na Kubie rewolucja, zakończona w dniu 15 bm. ucieczką b. prezydenta Machado z Kuby na Jamajkę i wyborem nowego prezydenta Cespedesa. Prezydent St. Zjednoczonych wysłał na Kubę trzy statki amerykańskie, które zostały cofnięte po uspokojeniu się rewolty. Istotnym źródłem rewolucji była sytuacja finansowa Kuby i jej zobowiązania zaciągnięte przez b. prezydenta. W związku z tem b. prez. Machado został oskarżony o sprzeniewierzenie funduszy publicznych. Rząd ma ogłosić moratorium.

Akcja prez. Roosevelta. Rozbieżności wynikłe na tle akcji uzdrowienia przemysłu amerykań. mają być pogodzone zapomocą połączenia akcji na rzecz bezrobotnych z akcją odbudowy przemysłu. Cała akcja natrafia jednak na wielkie trudności.

Hiperprodukcja bawełny. 25 do 50 proc. bawełny zostanie w tym roku zniszczonych przez producentów, za co otrzymają 100 milj. dolarów od rządu.

Oszczędności w administracji. Rząd prowadzi dalej szeroką akcję oszczędności w zakresie administracji państwowej przez fuzjowanie poszczególnych urzędów.

Kanada.

Zajścia antyżydowskie. W Toronto doszło do zajść antyżydowskich na tle manifestacji grupy ludności ze swastyką.

Niemcy.

Krewni b. pos. Scheidemanna. Rząd wypuścił krewnych b. pos. Scheidemanna, socjal.-demokraty z obozu internowanych, gdyż b. pos. Scheidemann odwołał publicznie swoje artykuły w prasie amerykańskiej skierowane przeciw Hitlerowi, a krewni jego oświadczyli, że zerwali wszelkie stosunki z Scheidemannem.

Rejestry rodzinne. Ogłoszony został projekt rejestrów rodzinnych, które mają zawierać szczegółowe dane o każdej rodzinie niemieckiej.

List nadprokuratora Rzeszy. Nadprokurator Rzeszy ogłosił list otwarty do Brantinga i Romain Rollanda, wzywający ich do wskazania właściwych sprawców podpalenia parlamentu Rzeszy. R. Rolland zgłosił gotowość przedstawienia dowodów, wymieniając jednak szereg warunków gwarantujących bezpieczeństwo świadków i jawność rozprawy.

Równocześnie polityk bułgarski M. Obbow ogłosił list, w którym oświadcza, że podejrzany o podpalenie Reichstagu Bułgar Dymitrow jest niewinny.

Akcja komunistów. W Zagłębiu Ruhry komuniści prowadzą wzmocnioną akcję. Rząd przeprowadził liczne rewizje i aresztowania.

W Szczecinie wykryto tajny komunistyczny skład amunicji. Komunistę Talarek został zastrzelony przez konwojentów.

Pół miliona brązowych koszul. W Norymberdze odbył się z końcem ub. m. zjazd narodo- socjalistyczny, w którym wzięło udział około pół miliona uczestników zorganizowanych.

Anglia.

Rządy de Valery. De Valera zamierza rozwiązać w najbliższym czasie parlament i rozpiąć nowe wybory. Równocześnie rząd rozwiązał organizację „niebieskich koszul” stojącą pod rozkazami gen. O. Duffy. Naogół panuje w Irlandji spokój, ponieważ „niebieskie koszule” stoją na stanowisku szanowania ustaw.

Głodówka Gandhiego. Gandhi rozpoczął w połowie sierpnia nową głodówkę w więzieniu, w kilka dni jednak później ją przerwał. W ostatnich dniach ub. m. Gandhi został wypuszczony z więzienia. Władze nie postawiły mu żadnych warunków politycznej natury.

Konferencja rolnicza. W Londynie odbyła się konferencja rolnicza przy udziale przedstawicieli 31 państw.

Rozruchy w Iraku. W Iraku wybuchły groźne rozruchy. 300 Syryjczyków zostało zmasakrowanych. Mac Donald w związku z zajściami przerwał urlop i wrócił do Londynu.

Italia.

Po powrocie gen. Balbo. Król włoski przyjął gen. Balbo i jego towarzyszy na audjencji, poczem przyjął defiladę przy Łuku Konstantyna w Rzymie. Następnie gen. Balbo był przyjęty przez Mussoliniego, który wręczył mu czapkę marszałkowską. We Francji zwracają uwagę na wybitnie militarne znaczenie lotu włoskiego. Regent węgierski Horthy przesłał gen. Balbo serdeczne gratulacje.

Pakt sowiecko-włoski. Podpisany został pakt między Sowietami a Italią o neu-

tralności i nieagresji. Uważają to za dowód, że Sowiety nie widzą w pakcie czterech niebezpieczeństwa dla siebie. Niemcy upatrują w pakcie tendencję Włoch do stworzenia przeciwwagi rosyjskich paktów wschodnich oraz usiłowania, aby Rosja zeszła z drogi nawiązywania stosunków z polityką francuską.

B. cesarz. Zyta w Rzymie. Do Rzymu wybiera się b. cesarz. Zyta wspólnie ze swoim synem Ottonem. B. cesarzowa ma być przyjęta przez Ojca św.

Japonja.

Walki chińsko-japońskie. Wojska japońskie posunęły się znowu w kierunku południowo-zachodnim ku muirowi chińskiemu, pomimo rozejmu z 1. czerwca br. Japonja akcję swą uzasadniła komunistycznymi nastrojami w oddziałach gen. Fenga. Równocześnie publicysta japoński Nitobe zapowiedział na zjeździe instytutu pacyfistów rychły wybuch wojny japońsko-rosyjskiej.

Rosja Sowiecka.

Niepokoje na Ukrainie. Prasa zagraniczna doniosła o niepokojach, jakie wybuchły na Ukrainie Sowieckiej na tle oporu chłopów przeciw rządowi. Bliższych informacji brak.

Urodzaje. Urodzaje w Rosji Sowieckiej w bież. roku mają być najlepsze od roku 1913.

Austria.

Kancelarz Dolfuss w Rzymie. Wypadkiem dnia polityki europejskiej jest pobyt kancelarza Dolfussa w Rzymie, gdzie odbył konferencję z Mussolinim. Podróż kancelarza austriackiego do Rzymu w związku ze znaną sytuacją niemiecko-austriacką wywołała liczne komentarze w całej prasie europejskiej. Rząd austriacki skonfiskował majątki narodowych socjalistów, którzy zbiegli do Niemiec.

Francja.

Herriot w Turcji. Herriot udał się w podróż do Turcji.

Eksport Francji. Handel zagraniczny Francji wykazał w ostatnich siedmiu miesiącach nadwyżkę importu nad eksportem w wysokości miliarda franków.

Konferencja socjalistów. W Paryżu odbyła się międzynarodowa konferencja socjalistyczna. Sekretarz biura II międzynarodówki

To co najważniejsze.

Sierpień w polityce międzynarodowej skończył się w tym roku żywą, niezwykle interesującą i znamionną grą na tle akcji Hitlera w sprawie Austrii.

Hitler potrzebuje Anschlussu. Kampanja o Austrię zajmuje jego masy na wewnątrz akcja zakrojona na wielką skalę, absorbuje — obok walki z komunistami i Żydami — uwagę Niemiec, odciągając ją na jakiś czas od spraw gospodarczych. Na zewnątrz Hitler próbuje zainicjować politykę wielkich Niemiec opartych mocno o środkową Europę, bezpośrednio związanych z Bałkanami i bliskim Wschodem, zagrażających już wyraźniestawowi rzeczy na tej przestrzeni, podważających powagę i znaczenie traktatów pokojowych.

Nikt w Europie nie ma ochoty patrzeć spokojnie na plany Hitlera. Wyrazem tego było demarche mocarstw w Berlinie podjęte w ub. miesiącu. Sytuację znamionowała odpowiedź niemiecka odrzucająca zuchwałe ostrzeżenie. Na widnokręgu zarysowało się natomiast serdeczne nie od dziś notowane zbliżenie włosko-niemieckie poparte obustronnymi manifestacjami przyjaźni, odwiedzinami i pochodami w Rzymie i Berlinie. Mussolini zachował Europę.

Zas zachował jednak równocześnie Niemcy. Ostatnie dni przyniosły najważniejsze zdarzenie letnich miesięcy: podróż kancelarza Austrii Dolfussa do Rzymu. Włochy wyraźnie podkreśliły, że nie życzą sobie Anschlussu.

Ta dziwna i pogmatwana napozór gra o Austrię ma swój głęboki sens. Włochy wzmacniają węzły przyjaźni z Niemcami, aby grozić Francji i niepokoić Anglię. Wolą jednak przyjaciół swoich mieć zdala od granic włoskich,

Niebezpieczna gra.

a w szczególności od Adrytyku. Włochy wolą tu stwarzać własny blok włosko-austriacko-węgierski skierowany ostrzem przeciw Małej Entencie i polityce francuskiej w Środkowej Europie. Tylko ta koncepcja odpowiada Mussolinemu, który nie zapominał w międzyczasie o Rosji, przygotowując z nią ostatnio pakt neutralności i nieagresji, aby osłabić i tu politykę francuską na terenie ostatnich paktów rosyjskich z państwami na wschodzie Europy.

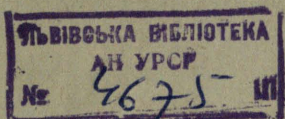
Wypadków dalszych nie da się ściśle przewidzieć. Niemcy są wprawdzie nastroszone bojowo, ale — jak się dotąd wydaje — nie mają zamiaru przeciągać w tej chwili struny. Z drugiej strony Hitler raz rozpoczętej akcji nie zechce przegrać. Mogłoby to być wstępem do jego zmierzchu.

Włochy pozostają wierne swojej polityce z okresu w. wojny. Jakkolwiek oceniać cele włoskie, polityka zagraniczna Mussoliniego nie może budzić zbytniego szacunku. Jej gietkość przekracza granice przyzwoitości, a równocześnie jest głównym zarzewiem wzmagających się konfliktów. Polityka Włoch podnieca postawę Niemiec, budzi nadzieje Węgier, zadrażnia Francję i niepokoi Małą Ententę.

Sytuacja jest bodaj najbardziej typowa dla powojennego położenia Europy. Nigdzie nie widać mocnych, niezachwianych podstaw pokoju i równowagi. Z każdego kąta wyziera niebezpieczeństwo starcia. Europa stała się terenem eksperymentów, które uniemożliwiają stabilizację.

Polska musi być gotowa na wszelki wypadek. Żadna sytuacja nie może jej zaskoczyć.

Kl. Hr.



oświadczył, że popieranie przez socjalistów demokracji kończy się obecnie dla nich zawsze ujemnie. B. redaktor „Avanti” Nanni zażądał zwołania wspólnej konferencji drugiej i trzeciej (komunistycznej) międzynarodówki celem stworzenia wspólnego frontu. Natomiast Francuz Renandel oświadczył w przemówieniu, że nie zgodzi się nigdy na oderwanie socjalizmu od narodowości, a w wojnie socjalistycznej winni pośpieszyć państwu z pomocą. Ostatecznie zwyciężył kierunek socjalistów umiarkowanych. Kongres był dowodem zupełnego rozkładu międzynarodówki socjalistycznej.

Czechosłowacja.

Uroczystości w Nitra. W Nitrze na Słowaczynie odbywały się czterodniowe uroczystości 1100-lecia pierwszego historycznego księcia Pribiny i założenia pierwszego Kościoła katolickiego na Słowaczynie. Udział we wspólniejszej manifestacji wzięło około 100 tys. osób, w tym kilku członków rządu Czechosłowacji. Z Polski przybył J. E. Ks. Kardynał Prymas Hlond oraz 150 harcerzy. Prasa niemiecka wyolbrzymiała drobne zajścia wywołane akcją separatysty ks. Hlinki, które nie miały jednak szerszego echa.

Harcerze polscy u prez. Masaryka. Powracająca z Gődölle delegacja harcerzy polskich została przyjęta w dniu 14 b. m. przez prez. Masaryka.

Kongres sjonistyczny. W Pradze odbył się wszechświatowy kongres sjonistyczny. Główną uwagę położono na nim na sytuację Żydów wobec rosnącego wszędzie antysemityzmu, który w Niemczech przybrał tak bardzo dla żydostwa niepożądane formy.

Rumunia.

Długi rumuńskie. Gabinet rumuński uchwalił nie płacić od 15 ub. m. długów zagranicznych.

Grecja.

Mord polityczny. W Salonikach zamordowany został b. premier Albanji Hassan Bey Prichtina.

Litwa.

Trudności w rokowaniach niem.-litewskich. W rokowaniach handlowych między Litwą a Niemcami wyłoniły się trudności wynikłe na tle żądań niemieckich, aby Litwa wyrzekła się projektów związanych z unją państw bałtyckich.

Bułgaria.

Zamach na b. premiera. Na b. premiera Caubowa dokonano w Cepinie zamachu rewolwerowego. B. premier wyszedł z zamachu bez szwanku. Zamach jest prawdopodobnie dziełem komunistów.

* * *

Motywy wyroku wadowickiego. Ogłoszone zostały motywy wyroku wadowickiego o głośne zajścia antyżydowskie w Żywcu. W marcu b. r. Sąd doszedł do przekonania, że rozruchy przeciwko Żydom zorganizował Obóz Wielkiej Polski i Związek Halerzyków. Główny oskarżony prof. Ferens skazany został jak wiadomo na 2 lata więzienia.

Mieczyki O. W. P. Henryk Kotowski z Białegostoku skazany przez sąd na 14 dni aresztu za noszenie mieczyka O. W. P. został uwolniony od winy i kary przez Sąd Najwyższy.

Aresztowania w Częstochowie. W Częstochowie doszło do poważnych zajść antyżydowskich, które wyraziły się w niszczeniu sklepów żydowskich na rynku oraz w zamachach na życie Żyda Altmana, redaktora „Słowa Częstochowskiego”. W Związku z tem aresztowano kilkudziesięciu działaczy obozu narodowego, a to że Str. Narodowego i b. członków rozwiązanego Obozu Wielkiej Polski.

Za pogromki przeciw Żydom. Radca miejski Ewnid z Łodzi, skazany został na 4 miesiące więzienia za to, że na posiedzeniu Rady szkolnej łódzkiej powiedział do Żydów:

„gdyby nie Josele, stałoby się z wami już dawno to samo, co czynił Hitler w Niemczech”. Sąd apelacyjny zatwierdził wyrok.

Proces działacza O. W. P. W Warszawie skazany został na 2 lata z zawieszeniem student Tadeusz Jaroński, u którego znaleziono walizkę z 8 granatami, czterema świecami dymnymi i 18 nabojami ekrazytowe. Walizkę znaleziono podczas rewizji przeprowadzonej w czasie zajść antyżydowskich w marcu b. r.

Za antyżydowskie ulotki. Na ul. Świętokrzyskiej w Warszawie aresztowano dwu

studentów: Gróbeckiego i Łukaszewicza za rozdawanie ulotek nawołyujących do nie kupowania w sklepach żydowskich. Przedtem właściciele księgarni żydowskich w Warszawie zauważyli, że zamki w ich sklepach zalapione zostały cementem. Na jednej z wystaw żydowskich wypisany został napis „Łyd”. W ciągu następnych dni aresztowano szereg studentów za rozdawanie ulotek. Na ulicach Warszawy, gdzie znajdują się sklepy żydowskie rozstawione zostały silne posterunki policyjne.

Przyczyny rozdźwięku.

Nie rozumiemy — przyznajemy otwarcie — w jakim celu rozpatruje się to zagadnienie i dlaczego w Polsce jedni mają być gorsi, a drudzy lepsi, ponieważ tak lub inaczej postępowali w swoim czasie. Tamte rzeczy nic nas nie obchodzą. Ten, kto walczył z bronią u nogi lub na arenie politycznej w czasie wojny o niepodległość Polski — spełnił tylko swój psi obowiązek. To trzeba zupełnie wyraźnie powiedzieć. Mamy pełny szacunek dla bohaterów i wielkich prze-wódców, będziemy ich czcić, wyrzemy ich nazwiska na pomnikach, wprowadzimy legendę o nich w system wychowawczy — ale nie zgadzamy się na to, aby z powodu gorzej, lub lepiej, mądrzej lub głupiej spełnionego obowiązku i tylko obowiązku, którokolwiek rościł sobie pretensje na całe życie i zatrzymał naszą uwagę ustawicznym przypominaniem swoich zasług i cynicznym domaganiem się za to wynagrodzenia. Uważamy to za śmieszne pretensje.

Są naprawdę ważniejsze problemy w Polsce od tej sprawy, którą przekazać należy już mołom historycznym, a nie zawracać nią głów kilkudziesięciu milionom ludzi.

A jednak wszystkie kwasy, walki i polemiki z uporem godnym lepszej sprawy nawracają bezustannie do tego tematu. Wprost do obrzydzenia. Młodzi rosną w tej atmosferze, już od lat piętnastu i nikt nie może się dziwić, że mają już tego aż nadto. Jedyną słuszną i obowiązującą zasadą, upoważniającą Polaka do głosu i jakichkolwiek „pretensyj” mogą być jego bieżące zasługi, praca, wysiłek, dorobek. Nic więcej ponadto. Sprzeciwiamy się zaśw szelkiemu kulturowaniu uwiecznionych chwał i laurami emerytów lub wiecznie nienasyconych frazesowiczów.

Łączy się z tą pierwszą sprawą kwestja inna. Ludzie, którzy wmówili w siebie, że Polska należy wyłącznie do nich uważają, że prawo do życia mają tylko oni z tytułu swoich dawnych „zasług”. Ludzie ci nie pamiętają o tem, że jest ich coraz mniej, a równocześnie coraz więcej jest ich synów i córek, których nieopacznie powołali sami do życia. Statystyka wykazuje ten stosunek coraz wyraźniej. Niema żadnej przyczyny, aby w Polsce ten, który — nie z własnej winy — urodził się później i nie brał n.p. udziału w wojnie lub nie działał przed wojną na polu politycznym, miał głodować dlatego, aby zrobić przyjemność jakiemuś bohaterowi. Obaj mają co najmniej jednakowe prawo do życia.

Na tem tle — ściśle życiowym — dojdzie do bezkrwawej może rewolucji z chwilą, gdy młodszym, bez względu na warstwę, sympatie polityczne i przekonania — stan obecny do reszty zajdzie za skórę.

Te dwie przyczyny — pierwsza z pobudek ideowo-moralnych, druga z materialnych są źródłem „nieszczęścia”, jakie przez swoje niezadowolone sprawiają Polsce młodzi ludzie.

Wpływa z nich niechęć do tego, co ogłamy. Poczucie rozpanoszonej niestępskości pokrytej frazesami o szumnych hasłach stawia nas w opozycji do urządzeń, wśród których żyjemy. Nie jesteśmy zwolennikami parlamentaryzmu i demokracji, na których niwie bezpośrednio urosł ten stan rzeczy (największy, notoryczni demokraci najgłośniejsze popierają teorię zapłaty za „zasługi”). Nie dalibyśmy ani grosza, a tembardziej głowy za dzisiejszy ustrój kapitalistyczny, który toleruje głodzenie milionów młodych, zdrowych Polaków.

Czegóż więc chcemy? Żądamy przede wszystkim dopuszczenia do faktycznego głosu.

Jedną z naczelných cech bieżącego okresu jest pogłębiające się nieporozumienie pomiędzy pokoleniem starszym, a młodszym. Tarcia takie istniały od prawników, tym razem jednak zaznaczają się ostrzej i posiadają charakter — jeśli tak można powiedzieć — zasadniczy.

Zjawisko to w jaskrawej formie wystąpiło niemal nazajutrz po wojnie. Objęło ono różne dziedziny życia, nie wyłączając niejednokrotnie prywatnego. Propaganda, której środki z natury rzeczy narazie znajdują się w większości w rękach starszego pokolenia, obrzuciła nowe zjawisko stekiem podejrzeń, czasem obelg, lub poklepała je po ramieniu, rzadko kiedy usiłując głębiej wniknąć w przyczyny, treść i tendencję zagadnienia. Bardzo możliwe, że właśnie to uporczywe stanowisko z jednej, a zrozumiała zapalczywość młodszych żywiołów z drugiej strony, wytworzyły niepotrzebnie zbyt głęboką przepaść.

Istnieją jednak rzeczowe, istotne przyczyny rozdźwięku. Mówiąc o nich ograniczamy się tylko do stosunków w Polsce, gdyż tylko o nie nam idzie.

Wojna dokonała większego przewrotu w pojęciach, psychice i organizacji ludzi, aniżeli o tem potocznie mówimy i sądzymy. Wyczerpując i niszcząc ludzi fizycznie — wstrząsnęła równocześnie posadami ich dotychczasowego trybu życia oraz ustalonym sposobem myślenia i bytowania tak mocno, że zabiła energię i moc i sugestię dawnych idei. Ludzie nowi nadchodzący po tamtym przedwojennym świecie znaleźli się jakby sami, bez opieki moralnej. O stosunkach panujących przedtem słyszeli tylko z opowiadania, mało lub wogóle niczego nie pamiętając z autopsji. I pomimo, że nikt nie podniósł żadnego nowego sztandaru, przez tysiące i miliony młodych umysłów i serc przeszła jedna iskra, dziwnie jednolita i pęd do gruntownej przebudowy stosunków życiowych stworzenia nowych dla nich zasad i podstaw, oraz wyzwolenia się z dotychczas obowiązujących. Ludziom tym nic się z oglądanych dotąd urządzeń nie podoba. Nie wytworzyli w sobie zaufania. Stąd w nowym prądzie wyrosło dużo pierwiastku negatywnego, tembardziej, że starsze pokolenie mocno oparło się pierwszym próbom ataku. Jest to oczywiście nierozsądne, gdyż prędzej czy później dzisiejsi opozycjoniści dojdą do pełnego głosu, a w międzyczasie mogą dalej posunąć się w swej negacji, aniżeli by tego wymagała potrzeba.

I nie należy sądzić, że omawiane zjawisko jest przywilejem, jak chcą jedni, czy nieszczęściem, jak twierdzą drudzy — tylko jakiejś jednej warstwy czy grupy społecznej lub politycznej. Walka młodych ze starszymi obejmuje u nas w Polsce wszystkie obozy i warstwy. Ze względów taktycznych toczy się ona nieraz potajemnie, ale ten „pomór” idzie pełną parą przez cały front życia polskiego.

Jakie są tego przyczyny? Byłoby może dzisiaj przedwcześnie ostatecznie je precyzować i określać, niemniej jednak można zestawić kilka narzucających się najsilniej momentów.

Młodsze pokolenie w Polsce nie rozumie od pierwszej chwili treści dzisiejszego życia polskiego, które ściąga się do starych, przebrzmiałych sporów między różnymi grupami starszego społeczeństwa. Osia szeregu najważniejszych zagadnień w Polsce jest dylemat: kto ma większe lub mniejsze zasługi około wskrzeszenia państwa polskiego, kto powinien mieć większy głos obecnie wobec minionych zasług.

tych wszystkich, którzy chcą urządzić Polskę na przyszłość tak, aby była państwem i narodem wielkim, potężnym, a równocześnie gwarantującym możliwie znośny byt każdemu Polakowi. Przyszła Polska będzie oczywiście Polska młodego pokolenia i następnych, gdyż dzisiejszych, gorzej lub lepiej zasłużonych, nie będzie już wtedy na świecie. Chcemy więc mieć przynajmniej równomierny współudział w decyzji w powyższych sprawach, gdyż budowę państwa nie robi się na jeden dzień i na wygodę jednego pokolenia, a tembardziej grupy.

Na dzisiaj żądamy porzucenia podziału społeczeństwa na mniej lub więcej zasłużonych w czasie wojny, gdyż zasługa na wojnie nie daje tytułu ani do rozumu ani do wyłączności w uprawnieniach. Polska istnieje dla wszystkich Polaków i wszyscy Polacy muszą się w niej czuć możliwie wygodnie. Jeśli jesteśmy zaś zwolennikami ustroju hierarchicznego, antydemokratycznego, to zbudowanego tylko na zasadach spełniania aktualnie pracy i wykonywanego stale wysiłku. Pod tym względem wiek nie może odgrywać żadnej roli.

Jesteśmy za stworzeniem takiego ustroju gospodarczego, któryby gwarantował wszystkim ludziom pracy, zarówno intelektualnej jak fizycznej, słuszny podział zysków, któryby przynajmniej ograniczał jeśli nie wogóle uniemożliwiał wyzysk, któryby rozdzielił pracę pomiędzy wszystkich Polaków bez względu na ich stan, wiek i inne okoliczności. Jesteśmy szczerymi zwolennikami społecznego zbliżenia i faktycznego zrównania wszystkich warstw w ich prawach do bytu, bez żadnej przewagi jednych nad drugimi. Pod tym względem różnimy się z duchem panującym w całym starszym społeczeństwie, bez względu na partje, które wychowane jest w atmosferze walk klasowych, wzajemnych niechęci i podejrzeń. Nie mamy z tem nic wspólnego. Równie cenimy dobrze chłopca, jak robotnika, jak inteligenta. Nie zamysłamy żadnego z nich oszukiwać za pomocą cikliwych cytatów z literatury chłopomanijskiej czy jej podobnej.

Polska jest dla nas takim samym skarbem, jak i dla tych, którzy o nią walczyli. Tylko gdy tamci wnieśli ze sobą cały balast zawiści wzajemnych z okresu swoich najlepszych lat, młode pokolenie tego ciężaru na sobie nie dźwiga. Nie miało się jeszcze czasu między sobą pokłócić. I nie chce wciągać się w rydwan nieaktualnych dla niego sporów. Idzie zbiedzzone, często głodne, ale z wiarą i entuzjazmem. Niecierpliwia je przeszkody leżące na drodze. Nie da się jednak niemi zniechęcić. Stanowi siłę, która zgnieć nie przysięże koszmara dzisiejszego dnia i opanuje Polskę młodą, żelazną ręką.

KLAUDJUSZ HRABYK.

BEZET.

Kronika tygodniowa

Rolę kronikarza uważam za miłą i wdzięczną. Piszący kronikę nie poci się nad wynajdywaniem wielkich myśli lub wielkich idei jak „reforma obyczajów“, albo „świadome macierzyństwo“, ale notuje fakt po fakcie i mimo to pracuje z pożytkiem. Z tego tytułu nie musi przejść od razu do historii, jak Mateusz Cholewa, bo wobec namnożenia się w ostatnich czasach samych pierwszoklasnych wielkości, historia nie wytrzymałaby tego naporu i pękłaby poprostu jak bania. A potem zbieraj tu one historyczne wielkości po podłodze! Tak nie można. Wszędzie wskazany umiar!

A więc a propos reformy obyczajów i świadomego macierzyństwa, o czym na wstępie krótką wzmianka. Propagował je niedawno na łamach tego pisma jeden mały Cow-Boy, albo Nibyto-Boy, taka mała pchełka, która nie dorosła jeszcze starej gęsi do kolan i już toto gada. Człek młody, czysty mleczak, nawet nieżonaty a już ci wie, co to macierzyństwo. Mądry szelma! Szkoda tylko, że nie przeczytał sobie pewnej statystyki z ub. miesiąca, z której wynika, że naturalny przyrost ludności w państwie się zmniejsza, krótko mówiąc

Muzyka

Zbliżający się sezon jesienny stawia na porządku dziennym sprawę lwowskiej opery. Od pewnego czasu opera stała się we Lwowie przedmiotem walki, jaką staczają o nią sfery kulturalne z lwowskim kołtuństwem i pozalwowską ignorancją.

Można się oczywiście spierać o to, czy operę w dzisiejszych czasach należy rozbudowywać do rozmiarów — dajmy na to — przedwojennych, czy opera ma spoczywać bezpośrednio na barkach gminy, czy ma się ją wysuwać na czoło przed dramatem i t.d. Są to tematy do dyskusji. Wszyscy rozumieją, że skoro na różnych polach życia społecznego nastąpiły poważne redukcje, nie może z pod tego ogólnego zjawiska być wyłączone życie muzyczne. Opera — przyznajemy — jest do pewnego stopnia luksusem, którego nadużywać nie wolno wobec faktu, że tysiące ludzi głoduje. Nie dziwimy się również, że gmina nie chce obciążać swojego budżetu odpowiedzialnością za operę i niema ochoty bezpośrednio w niej się angażować. Wszystkie powyższe racje rozumiemy i doceniamy ich wagę.

Jednakże czynniki, które mają niestety decyzję w różnych sprawach dotyczących opery i wogóle zagadnień kulturalnych wykazują ostatnio wyraźną tendencję do zlikwidowania opery we Lwowie. Uważają ją za zbyt ciężki balast i niepotrzebny wydatek.

Otóż tutaj właśnie opinia kulturalnego Lwowa nie może podzielić tego poglądu i musi mu się przeciwstawić. Muzyka, a z nią opera należy do objawów życia kulturalnego. Można stanąć oczywiście na stanowisku, że likwidujemy kulturę w społeczeństwie, ale stanowisko takie będzie odosobnione. Mamy jeszcze zapał i ochotę zaliczać się do społeczeństw kulturalnych. Muzyka jest jednym z najwyższych szczytów kulturalnego wyżywiania się ludzkiej duszy i nie wolno hamować tej potrzeby. Nie jest to ani frazes, ale zjawisko obserwowane od chwili, kiedy człowiek zaczął mieć ambicje cywilizacyjne i dawać im zewnętrzny wyraz.

Kultura muzyczna we Lwowie należy do najcenniejszego i najpiękniejszego dorobku, jaki stworzyliśmy tu w ciągu kilkudziesięciu lat ostatnich. Nie wymyślił go Kraków, tak skądinąd mający znakomite warunki życia kulturalnego. Nie kultywowały muzyki inne miasta polskie z przyczyn od siebie niezależnych. Lwów pod tym względem zdobył pierwszeństwo, stworzył pierwszorzędną operę i wychował dla niej społeczeństwo.

Taki wysiłek nie da się porównać z żadną inną dziedziną ludzkiej pracy. Stworzyć go trudno, zniszczyć łatwo. Brak opieki nad muzyką

— jeśli się będziemy tak nadal uświadamiać — grozi nam depopulacja. Patronuje tej wzniosłej idei m. i. jedna bardzo pożyteczna książka Magnusa Hirschfelda i Ryszarda Linserta (sami aryjczycy!) p. t. „Jak zapobiegać ciąży?“ Dziwne jak się to zbiega z apostołowanymi ideami różnych Boyów i Boyków!

Ale stop! Kronikarz musi być kronikarzem i nie wolno mu filozofować. Wolno jednak skromnie zapytać: Czy Nibyto-Boy widział kiedy na półkach księgarskich podobnie pożyteczny podręcznik w języku np. hebrajskim? Lub bodaj w żargonie? Gdzie tam! Ani śladu! Bo takie wynalazki to nietylko dla Nibyto-Boyków, ale głównie i przedewszystkiem dla chrzczonego gojów. Tu go mam! Konkluzja stała taka, że nasze polskie matki mają stosować praktycznie rady Imc Hirschfeldów, ale zato każdy Mechel czy Mordko (czyta się Michaś) ma dzieciarni cały tuzin i jakoś dla każdego starczy chleba. A rezultat będzie ten, że za 100 lat przypadnie na 10 „Michasiów“ obrzezanych jeden uczciwy polski Michaś...

Najwyższy Sąd w Warszawie rozpatrywał w u. miesiącu sprawę niejakiego mjr. Owoca. Dostał chłop za kichanie dwa miesiące jak obrył i zrobił apelację aż do Warszawy. Ależ to wściec się można! Nietyle może z powodu kichania, albo srogięgo wyroku, ile z powodu... stemple! Biedny chłop, bo co go to kosztowało!

Sprawa lwowskiej opery.

i operą we Lwowie przez kilka lat rozbiłby wiele letnią pracę na długie czasy.

Ci, którzy doceniają wartość opery, rozumieją grożące niebezpieczeństwo i tem się tłumaczą ich nadludzkie nieraz wysiłki, aby przeszkodzić próbom kołtuństwa i ignorancji.

Uważamy za swój obowiązek poruszyć sprawę z tego miejsca, aby dać wyraz obawie, że próby te mogą odnieść zwycięstwo. Ze strony pewnych sfer zastosowano taktykę milczenia w sprawie opery. Jest to — przyznać trzeba — najlepszy sposób zabijania przeciwnika. Tem głośniejsz jednak należy wołać po drugiej stronie brzegu. Opera — naszym zdaniem — przy dobrej woli i porozumieniu wszystkich czynników, które rozumieją rolę i znaczenie wszelkich objawów kultury polskiej we Lwowie, ma wszelkie szanse bytu i rozwoju, jak świadczy o tem jej ostatni sezon. Oczywiście, że pewne ofiary materialne są niezbędne, ale życie kulturalne nie należy do przedmiotów handlu, który musi dawać bezpośrednio zysk materialny. Kapitał moralny czy finansowy włożony w życie kulturalne amortyzuje się nieraz dopiero po wielu latach. Niemniej nie wolno oszczędzać wysiłku w tym zakresie, skoro ambicje nasze mają sięgnąć dalej, niż końca naszego mosz lub... roku budżetowego.

Nie precyzujemy wniosków. Przypominamy sprawę i stawiamy zasadę, że opera musi istnieć przy uwzględnieniu nawet wszelkich potrzebnych kompresyj budżetowych i trudności finansowych. Kontynuowanie opery we Lwowie należy do obowiązków gminy i społeczeństwa. Na nich też spada odpowiedzialność za jej losy.

Dr. K. Z.

Zawiadamiamy Szanowne Firmy i P. T. klientów, że kierownictwo naszego działu ogłoszeń objął z dniem dzisiejszym p. HENRYK KAMIŃSKI i jedynie on, względnie osoby przez niego upoważnione, zaopatrzone legitymacją Wydawnictwa z fotografią są uprawnione do przyjmowania zleceń ogłoszeniowych. Inne zlecenia respektowane nie będą.

ADMINISTRACJA.

P. mjr. Owoc jest jednak człowiekiem niepraktycznym. Przecież w kryminale stosuje się od niejakiego czasu progresję i można się tam wykierować nawet na wielkiego człowieka. Jest klasa pierwsza, druga i t. d. aż do matury. Potem są mowy, galówka, rozdanie świadectw, staropolskie „kochajmy się“ i abiturjent gotów do nowego życia. Istnieje nawet osobny komitet, który ułatwia otrzymanie intratnej posady po takiej maturze. Wprawdzie nie placą od razu 20.000 miesięcznie, ale zawsze. I żyć można, ba — nawet zrobić karierę. A zresztą czy to jeden siedział w kryminale i dziś jeździ mimo to Rol-Roysem?

Z ważniejszych zdarzeń sierpniowych należy zanotować zjazd legionistów w Warszawie. Skłamałbym, mówiąc, że zjechało pół Polski. Ale było dobre pół miliona! Aż serce rosło na widok tak licznych zastępów legionowej braci. Należy przyjać, że na wojnie zginęło sporo, w czasie pokoju ubyło też coś nieco, czyli, że dzielnych legionistów mieliśmy przed kilkunastu laty milion jak drut.

Zaznaczyło się to najbardziej w pociągach. Dosłownie szpilki nie wepchał. Wsiadając w Przemyśle do jednego z „Pullmanów“, zjazdowych, byłem świadkiem następującej rozmowy.

— Panie Rappaport, poczem pan płacił te zapalniczki?

Opera być musi.

Przed paru miesiącami na walnym Zgromadzeniu Towarzystwa Miłośników Muzyki i Opery wysłuchaliśmy sprawozdania z działalności Prezydium tego Towarzystwa. Piszę „dlatego“, z działalności Prezydium, gdyż nawet wydział nie był wtajemniczony w plany Prezydium T. M. M. i Op. Profesor Dr. Groer w swoim wedle jego przekonania, wyczerpującym sprawozdaniu opowiedział nam dzieje tego biednego towarzystwa, które pod dzielną jego ręką w najpospolitszy sposób zamarło.

Ktoś, kto na koniu jeździć nie umie, niech jeździ na karuzeli, ale nie wolno mu rasowemu koniowi dorabiać bieguny, by konia unieruchomić. Pegaza nie wolno zaprzęgać do dorożki.

P. Prof. Dr. Groer chciał coś zrobić, szamotał się, popełniał omyłkę za omyłką, ale szedł przed siebie zapatrzoną w siebie.

Nikogo z łona Towarzystwa nie uznał za godnego, by się z nim podzielić wiadomościami, projektami a w końcu rzeczywistością. Zarozumiałość Prezydium Towarzystwa M. M. i Op. doszła do zenitu w tem, że przez dwa lata nie zwoływało nawet walnego zgromadzenia. A jaka dwoistość myślenia: p. Prof. Dr. Groer w swoim przemówieniu oświadczył, że praca jego na stanowisku Prezesa Tow. miała zasadniczo zmienić sposób prowadzenia opery, a mianowicie: „Dyrektorowie Teatrów jako indywidualności prowadzą teatr według własnych zachcianek i przeważnie dostosowują wszystko do rentowności przedsiębiorstwa itd.“ On zaś całą pracę chciał oprzeć na społeczeństwie, spodziewał się pomocy ze strony tego społeczeństwa, lecz ono go zawiodło.

Muszę stwierdzić fakt, że reprezentantami społeczeństwa najbliższymi stojącymi obok Prof. Groera byli właśnie członkowie tego Towarzystwa, z którymi nikt z Prezydium nie chciał mówić. Stwierdzam również fakt, że Prof. Dr. Groer będąc prezesem Towarzystwa M. M. i Op. przemienił się w jednej chwili w najprawdziwszego zawodowego „Dyrektora“ który zawsze wychodzi z założenia „Ja“ a potem... ten tłum koło karuzeli.

Po moim przemówieniu, w którym udowodniłem, że Prof. Dr. Groer wcale nie szukał kontaktu ze społeczeństwem... oświadczył wyżej wspomniany w swojej odpowiedzi, że nie należy zbyt surowo oceniać faktów, gdyż on jako „dyletant mógł popełniać omyłki“.

Pozwalam sobie zauważyć, że ludziom wybitnym takich błędów popełniać nie wolno!

Pytam się „czy Prof. Dr. Groer dopuściłby dyletanta do przeprowadzenia operacji?“ Twierdząc stanowczo, że nie.

Sam zaś nie posiadał Dr. Groer tyle samokrytycyzmu, by powiedzieć sobie: „Sam sobie nie poradzisz, możesz tylko współpracować“. Lecz tej współpracy nie zażądano.

Gdyby wydział Towarzystwa wykonał postanowienia statutu ściśle określone, to może byłoby uniknięcie deficytu w kwocie 96.000 złotych.

Statut wyraźnie określa, że budżet Towarzystwa ma być uchwalany przez Walne Zgromadzenie i że Prezydium nie wolno go przekroczyć.

Tu możnaby zrezygnować ze wszystkich ambicji, kompetencji i t. d. gdyby ta samowolna gospodarka nie spowodowała szeregu katastrof, szeregu olbrzymich rzeszczę poszczególnych jednostek. Z powodu niewypłacania należnych pensyj artystom, muzykom, chórzystom i statystom powstał wyżej wspomniany deficyt i jest to dług Towarzystwa wobec najbardziej potrzebujących.

Na moje żądanie skierowane do Prezydium Walnego Zgromadzenia, oświadczył Prof. Dr. Groer, że zwoła w jaknajkrótszym czasie Walne Zgromadzenie rachunko - zdawcze czego dotychczas nie zrobiono.

Dziś zwracam się do Prof. Groera jako Prezesa tej jedynej placówki w naszym mieście, któ-

rej obowiązkiem troszczyć się o losy naszej Opery z wezwaniem i przypomnieniem: sezon się zbliża a Towarzystwo „śpi“!

Obowiązkiem Wydziału jest zwołać Walne Zgromadzenie, zaprosić wszystkich członków, ale dosłownie wszystkich... a również i tych pozbawionych prawa głosowania, bo o ile oni wkładają nie płacą, to z winy Wydziału Tow. M. M. i Op. gdyż nie wypłaca im należnych poborów.

Opera w naszym mieście musi być! Nie wolno nam wybitnie muzykalnej publiczności naszego miasta jej pozbawiać, nie wolno nam tego zrobić ze względu na kształcąca się zawodowo młodzież, a wreszcie nie wolno nam dopuścić, by paręset osób pracujących zawodowo poszło na dno nędzy.

O ile Prezydium nie zwoła Walnego Zgromadzenia żałować będę, że nie przyłączyłem się na Walnym Zgromadzeniu do Prof. Czesława Krzyżanowskiego, który był przeciwny udzieleniu absolutorjum ustępującemu Wydziałowi

Prof. WŁODZIMIERZ BRYŁA

Dwa charakterystyczne błędy.

Niedawno wpadła mi w ręce powieść Antoniego Wysockiego: „Zabawy mędrców“. Powieść to osnuta na tle dziejów Akademii Krakowskiej w XVI w. A na kartach wyczytałem nagle ze zdziwieniem taki ustęp o jednym z bohaterów, teologu Glickim:

„...Leżąc nad brzegiem Olchowca, wśród szumu drzew i wody, czytał Stary Testament, prorocstwa Henocha, o zatracie, czekającej ród ludzki...“.

Ustęp pozornie niewinny, a jakże wiele mówiący!

Po pierwsze: że autor nigdy nie miał w rękach ksiąg Henocha;

Powtóre: że dzieje Księgi Henochowej są mu zupełnie obce;

Po trzecie: że tytuł i charakter Księgi Henochowej doszły go z rąk bardzo pośrednich;

Po czwarte: że nie zna on zupełnie Starego Testamentu, nawet ze spisurzczy składających się na jego treść, wiedziałby inaczej bowiem, iż Księga Henocha nie wchodziła nigdy w skład ani katolickiego, ani żydowskiego, ani identycznego z żydowskim kanonu protestanckiego.

Dlaczego?

Pierwsze wiadomości, jakie posiadamy w literaturze antycznej o proroczej księdze Henocha, pojawiły się dopiero w piśmiennictwie apokryficznym, odrzuconym przez wszystkie Kanony, a to w „Testamentach dwunastu

Patryarchów“ w „Liście Barnaby“, w Apokalipsie Mojżesza i t. d. Sama księga zaginęła około wieku VIII. po Chr.; ostatnio i najobszerniejsze ze wszystkich jej ułamki podał Grek Syncellus, żyjący w tym czasie w Konstantynopolu. Przed nim pisali o niej jeszcze starochrześcijańscy autorowie kościelni, jak Tertuljan w traktacie o strojach niewieście: „De cultu feminarum“, jak Orygenes, Justyn, Ireneusz, Klemens Aleksandryjski et. c.

Choć więc w okresie, jaki autor „Zabaw mędrców“ przyjął za podłoże swej powieści, w okresie polskiego ruchu reformacyjnego, wiadano, iż taka księga niegdyś istniała, czytać jej jednak nikt nie mógł, tekst ten bowiem nie był podówczas dostępny nikomu z Europejczyków. Jedynym kanonem w skład którego ona wchodziła jest t. zw. „Biblija etjopska“ znaleziona dopiero w r. 1769 przez J. Bruce'a w Abisynji. Pierwsze jej fragmenty wydrukowano w roku 1800, całość zaś ukazała się w pierwszym przekładzie angielskim aż w r. 1821. Odtąd pojawiają się coraz to liczniejsze przekłady na inne języki. Dopiero więc w tym okresie Księga Henocha stała się dostępna Europejczykowi.

Nie dotykałbym tej drobiazgowej zresztą i na wartość żadnego dzieła sztuki nie wpływającej kwestji, gdyby nie smutny fakt, iż od pewnego stopnia jest ona typowa; pisarze nasi bowiem dość często popełniają różne błędy, ledwie tylko stąpią na teren bi-

— Po złotemu. Jak pan miszli, panie Katz, warto?

— Nu, coby nie warto, tylko że nie-mieckie.

— Fuj! Nie bądź pan głupi, panie Katz! Te zapalniczki wyrabia w Berlinie nasz żydek Duft a nie żaden Hitler...

— Nu, nu! To co innego. Tak można!...

Nazajutrz po głośnej emuncjacji na temat „elity“ spotkałem na ulicy przyjaciela i zresztą wcale przyzwoitego człowieka. Jest bezrobotny i wciąż szuka posady. Nazywa się Jan Hipolit. Zazwyczaj witał się ze mną kordjalnie i z wylaniem, ale tym razem kręcił nosem, był sztywny i odpowiadał półgębkiem. Nie wiedziałem, co o tem sądzić, gdy wtem wzrok mój padł na kłapę jego marynarki, gdzie pyszniła się wstążka „Krzyża Niepodległości“. Zrozumiałem. Jan Hipolit z bezrobotnego zaawansował na elektora. Kiedyś mu zaczął gratulować, rozkrochmalił się i odgrażał straszliwie, że on dopiero teraz coś pokaże. Swoją drogą skarżył się, że za zarejestrowanie do „elity“ zażądano od niego tytułem wpisowego opłaty 19 zł.

Wobec takiej propozycji Jan Hipolit zamyslił się głęboko. I jak niegdyś szewc Szyszałko z „Trójki hultajskiej“ Nestroy'a, obliczając wszystko na kieliszki „trzęsionki“ — tak i Jan Hipolit przeliczył wpisowe na „szni-

ty“ Żywca a potem Buska i doszedłszy do wniosku, że za tę sumę można mieć 64 „szni-tów“ pierwszego a zasię aż 95 drugiego gatunku piwa — przedłożył Kapitulie świadectwo ubóstwa.

Kiedy przed kilku dniami, chcąc go odwiedzić, zaszedłem pod drzwi jego mieszkania, stanąłem jak wryty. Dosłownie dech mi zaparło. Na drzwiach, gdzie nie wisiała nigdy żadna wizytówka, pyszniła się sporych rozmiarów mosiężna blacha z takim napisem:

Dr. Jan Hipolit, Elektor lwowski.

Cóż miałem robić? Popatrzyłem po swoim niedość wizytowym ubraniu i zawróciłem jak niepyszny, bo gdzie mnie z taką wysoką personą?

Do najpiękniejszych wyczynów miesiąca należał przelot kapitana Skarżyńskiego przez Atlantyk. Dostał zato awans i aeroplan na własność. Na marginesie tego prezentu wartoby zapytać, czy aeroplany, stanowiące własność prywatną, mogą ulec zajęciu przez komornika. Bo maluczko a zdarzyć się może, że jakiś wierzyciel położy łapę na R. W. D. VI bis i sprzeda na licytacji za drobniaki.

Zresztą w sierpniu było cicho we Lwowie, jak makiem siał. Teatr nie grał. Kina dawały przedpotopowe filmy, zapowiadając na wrzesień rewelacyjne przeboje. Komornicy wyjechali do Morszyna, bo im się krzywdą

ludzka w sadło obróciła. Dziennikarze drzemali, lub plotkowali, zakurzając się prawdziwą, monopolową „Wisłą“. We Lwowie nie można było dostać w tym czasie złamanego szeląga. Knaipy wypowiedziały kredyt nawet najzasłużeńszemu. Doszło do tego, że kazali sobie zgóry płacić. Wydawcy plażowali na Helu na rachunek autorów, którzy chodzili głodni i bez butów. Boye i Cow-Boye przeżuwali gorzkie jak piołun myśli, że im jedna placówka ubyła. Ich „błękitni“ wzięli w łeb, „Liga reformy obyczajów“ zapisała się właśnie do szkółki, ażeby się nauczyć zdrowego rozsądku, zaś „świadome macierzyństwo“ stało się marzeniem ściętych, na szczęście niezbyt mądrych łbów.

Pismo „Wczoraj-Dziś-Jutro“ przechorowało się, ale już mu dobrze. Zdrowe jest teraz jak koń, a czy tak jest w istocie — zechcą sami Czytelnicy osądzić.



blistyki. Nawet ci najlepiej zorientowani w przedmiocie, ci których erudycja uprawnia w zupełności do żądania, by błędów zasadniczych nie robili.

Jeden z bardzo rzadkich, dobrze przygotowanych pisarzy polskich do traktowania o życiu żydowskim, Klemens Junosza, w doskonałym szlaku humorystycznym „Słup”, takie wkłada słowa w usta Borucha Bajgela:

— „No, no ja wam powiadam, że poganiin Holofernes miał lepszy los od Judyty, przynajmniej od razu z nim skończyła, a nasz biedny Fajbus ma przez całe życie być bity pantoflem?”

Pisząc te słowa zrobił Junosza błąd zasadniczy. Przeoczył bowiem — gdyż o nieznaną Biblię posadzić go nie sposób i nic do tego krytyka nie uprawnia — iż Księga Judyty, jako dochowana jedynie w tekście greckim, wchodzi w skład tylko kanonu katolickiego. Kanon żydowski jej nie zna zupełnie, kanon protestancki zaś, idąc w ślad za żydowskim w przyjmowaniu autentyczności poszczególnych pism, ją odrzuca. Znany jest fakt, iż żyd—ortodoksza za żadne skarby nie weźmie do ręki Biblię, a tem bardziej książki świeckiej, obcej, nie hebrajskiej; za czasów Junoszy nie byłby jej wziął tembardziej. Żyd więc w stylu Borucha Bajgela w żaden sposób nie mógł porównać losu Fajbusia z losem Holofernesa.

Tembardziej, iż żadna z trzech wersji dziejów Judyty z hebrajskiego legendarnego i pozakanonicznego terenu, z których najstarsza sięga prawdopodobnie trzeciego wieku po Chr., nie zna imienia Holofernesa. Pierwsza wiekiem z nich, wydana drukiem w r. 1894 przez Gastera, jako wroga żydów, przyjmuje nie Holofernesa, ale króla Saleukosa; druga zna bezimiennie, jako króla obcego, trzecia zaś też w formie anonimowej, jako króla greckiego.

Przykłady podobne dałyby się mnożyć. Z bogatej ich wiązanki przyjąłem dwa przykłady skrajne. Pisarze nasi bowiem lubią cytować Biblię, ale czytają ją mało, albo też wogóle jej nie znają. A już dzieje poszczególnych Ksiąg i ich rola w kanonach, są im niemal zupełnie obce.

A szkoda

Z.

Pamięci wielkiego Mecenasa Literatury Polskiej

Jeśli cały świat polskiej nauki tak potężnie manifestował żal po śp. Prof. Gubrynowiczu, wydawałoby się nam słusznym i sprawiedliwym, by doszli do głosu i ci, którzy budują gmach literatury młodej, nowej Polski — literaci polscy.

Śp. Prof. Gubrynowicz należał bowiem do tego obrotu ciałem i duszą.

W twórczości Jego nawet ściśle naukowej — piękną formą i wytwornością formy przemawiał bardzo często literat. Jeśli dziełami Wasylewskiego, dzieli się bez wzajemnego antagonizmu historycy i literaci, to samo powiedzieć możemy o spuściźnie Zmarłego, którego „Romans w Polsce w Epokę Stan. Augusta” czy też „Poema Piasta” Dantyszka, lub „Kazimierz Brodziński”, to pięciodelka kunsztu literackiego, to poezja proza.

„Arystokracie świata naukowego i wielkiemu panu w nauce”, należy się w sercach i twórcach naszych umysłów miejsce zdobne w purpurę zasługi gronostaj wdzięczności.

W szeregu literatów polskich — znalazł się dawno jako szlachetny mecenas literatury i sztuki, odkrywca talentów, mający gest magnata dla tych zdobywców. Dojrzał lub odkrywał iskry daru twórczego, lub pracę nad literaturą. To co w Nim było wielkiego, płynęło nie tylko ze starej kultury rodowej Gubrynowiczów, ale i z wewnętrznej przynależności do świata intelektualnego duchowego i artystycznego. Wielka rasa i dworne maniery, potrafiły uczynki Jego mecenasowskie ubrać w formę wykwintną, nie rażącą niczyich uczuć ni ambicji. Prostota i szczerść, oraz prawdziwe zrośnięcie z tradycjami najbardziej swojskimi i narodowymi, były jego cechą.

W pogodnym usposobieniu, w dobrodusznym sposobie żartowania nawet, w stylu wytwornej, plastycznej jędrnej mowy, miał coś staropolskiego. A łączył z tem, tak rzadko już dziś spotykany dar towarzyski, serdeczne obejście z każdym i wielki takt postępowania.

Te właściwości Zmarłego Uczzonego zdobyły Mu ogólną miłość i wielkie uznanie.

Nie opuścił nas Jego duch — bo czujemy go sercem blisko siebie.

Włodzimierz Karpiński.

W roku 1921. bawił hr. Skarbek w Paryżu w sprawie „Galicji Wschodniej”, którą walcowano aż do znudzenia na konferencji wielkich mocarstw.

Sprawa ta zająłaby się poprostu organicznie z kwestją gwarancji granic przez sprzymierzone państwa.

Przeszkadzała temu wszelkimi siłami oficjalnie i zakulisowo Anglja — jak wiadomo, — germanofilsko usposobiona i stojąca pod przełożonym wpływem międzynarodowej finansjery.

wykładowcem tego wrogiego stosunku do nas był osławiony Loyd George.

Nie przełamała wówczas uporu angielskiego delegacja polska, za którą zresztą stały Francja i Włochy, i sprawę odłożono wówczas znowu do... lepszych czasów.

Tu dodam, że zabezpieczenie naszych granic i w rok potem nie zostało ostatecznie załatwione, kiedy delegacja nasza wyjechała do Paryżu, ze wskazówkami Komisji zagranicznej naszego Sejmu i ze zleceniem, aby sprawę tę poruszyć tylko wówczas, jeżeli będą pomyślne szanse (uchwała Komisji Sejmowej dla spraw zagranicznych 19 lutego 1922).

W skład tej delegacji wchodził przedewszystkiem Aleksander hr. Skarbek.

Hr. Skarbek bawiąc w Paryżu stykał się z różnemi osobistościami świata politycznego i dyplomatycznego i znowu było jego żywym staraniem nawet w prywatnem zetknięciu się z tymi mężami wysuwać żywotne i mocarstwowe interesy Polski na pierwszy plan.

Za pośrednictwem swoich przyjaciół został przyjęty hr. Skarbek przez Clemenceau, który stał wówczas u szczytu swojej potęgi i znaczenia; bawił wtedy w swojej prywatnej posiadłości pod Paryżem, a gdy lokaj zaanonsował Skarbka, zamruczał stary Tygrys: „A, to ten biały orzeł ze Lwowa”.

Pan Clemenceau, w małej czapeczce na głowie z charakterystycznymi krzaczastymi brwiami, z dobrodusznym szerokim uśmiechem przyjął hr. Skarbka bardzo serdecznie.

Podczas ożywionej rozmowy wskazał Clemenceau na fotografię zniszczonego miasta Verdun i rzekł: „I wy macie taki pomnik bezprzykładnej odwagi i poświęcenia u Was w Polsce. Przecież Pan był duszą obrony tego pięknego miasta Lwowa.”

„Miasta broniły dzieci, kobiety i garść gło-dnych i źle odzianych żołnierzy”. — odrzekł hr. Skarbek, ale wyczuć było można w słowach jego dumę na wspomnienie bohaterskiej obrony Lwowa.

W toku rozmowy naprowadził hr. Skarbek zresztą na tory aktualnych spraw politycznych, a zwłaszcza na ogólny pakt gwarancyjnych granic w Europie.

„Pojmuję” — wywodził hr. Skarbek szeroko — „gwarancje Francji i Anglii. Cóż kiedy Wielka Brytania zgadza się zagwarantować Francji tylko linję Renu”.

Clemenceau: „Myślę o systemie politycznego porozumienia, które rozciągałoby się na całą Europę i w myśl którego wszystkie mocarstwa zobowiązałyby się uznać nawzajem swoje granice i nie napadać jedno na drugie. — Opierając się na podstawowym układzie francusko-angielskim, byłby ten szeroki system kontynentalny dla całej Europy ochroną przeciw nowym zaburzeniom”.

Skarbek: „Mam wrażenie, że Niemcy nie odważyłyby się nigdy na wojnę odwetową, gdyby wiedziały, że spotkają się z wojskami francusko-angielskimi. Ten kąt widzenia powinien być zasadniczą osią obrad Rady najwyższej.”

Ale Anglja nie chce niestety dalej się angażować i nie da gwarancji na nasze zachodnie granice. — Możliwe, że dąży ona do tego, by Niemcy stały się znowu przodującym i najsilniejszym państwem w Europie”.

„Nie” — odparł Clemenceau — raczej nie chce dopuścić, by Francja zajęła na kontynencie dominujące stanowisko. A przecież nasz olbrzymi i niebawmy wysiłek krwi i dóbr materialnych nie może pójść na marne”.

„Słusznie — odparł Skarbek i ze śmiechem zacytował słowa generała francuskiego de Mond-

Przedruk wzbroniony.

Aleksander hr. Skarbek i Clemenceau.

a niepodległość Polski.

huya: „Nie potrzeba wam dużo sojuszników, jeden, ale dobry i wierny, wystarczy”.

Zaświeciły się nowym błyskiem oczy starego Tygrysa, zrozumiał dokładnie intencję słów hr. Skarbka.

„Tak! Gdyby Polska wszystkich mężów stanu miała pańskiego pokroju i polotu, toby miała dziś może swoje historyczne granice. Przecież Pan wie, że utworzenie Polski Niepodległej jest jednym z fundamentów traktatu wersalskiego jasnym jest więc, że w razie zagrożenia tej niepodległości cała budowa pokoju Europy będzie poważnie zachwiana. — Do tego nie należy dopuścić”.

Skarbek: Dlatego uważam, że inną jest rzeczą zaciągnąć zobowiązania w ściślejszej formie, a zgoła inną wyrazić w nieokreślonej formie, w mglistej deklaracji politycznej, w którym to wypadku jej wykonanie oddać trzeba znowu bagnetom.

Niewyraźne zobowiązania bowiem rodzą groźne nieporozumienia a nawet wojny”.

Clemenceau: „Rozumiem! Pan Hrabia uważa wciągnięcie Polski do przymierza angielsko-francuskiego, czyli rozszerzenie paktu Millerand-Piłsudski, za kwestję żywotną dla Europy”.

Skarbek: Bezspornie, bo tylko dwa państwa Niemcy i Austria są niechętnie traktatom wersalskim. Polska związana traktatem z Francją i Anglią i gwarantowana przez nie, może utrzymać w szachu bolszewizujące Niemcy i bolszewicką Rosję, a jeżeli ta barjera zniknie, — tu podniósł głos hr. Skarbek — to alians zaczepno-odporny Rosji i Niemiec jest tylko kwestją czasu.

Z upadkiem tej barjery paść i granica Renu.

Anglja musi wiedzieć, że jeżeli padnie Polska, stanie droga otworem Rosji Niemcom na Wschód i na Zachód”.

Clemenceau: „Tak! tak! zupełnie słusznie! Naród angielski zmusił już po części Lloyda George’a do przekonania się, że Niemcy byli i są wrogiem Anglii”.

Skarbek: „Tylko w części, chociaż naród angielski wie dobrze, że wojna światowa nie wynika z powodu morderstwa w Sarajewie, a tylko z dążenia Austrii popieranej przez Niemcy do Salonik i do morza Egejskiego. A nie może chyba dopuścić, by miejsce Serbji zajęła w przyszłej wojnie Polska. i Indje przecież graniczą z Sowietami.”

Układ z Francją, Belgją i Polską to będzie pierścień, którego nie przełamie ani Ludendorff ani Lenin. — Układ taki — wyobrażam sobie — musi być jednak zaopatrzony klanzulą wzajemnego gwarantowania sobie bezpieczeństwa”.

Clemenceau: „Przyznaję z przykrością, że jest on do tej pory jednostronny, co jest moralną szkodą dla Polski. Ale dla nas pracuje życie!”

Określenie „napaść niesprowokowana” musi być sprecyzowaną, gwarancja musi być rozszerzona na wszystkie państwa. Do nowej zbrodni wojny nie wolno nam drugi raz dopuścić. — Mocno wierzę, że my Francuzi i Polacy razem będziemy pracowali nad reorganizacją i pacyfikacją Europy. Nie jesteśmy narodami pijanymi zwycięstwami, i pragniemy jeno. sprawiedliwości i braterstwa pomiędzy nami niema krwi przelanej, zawsze byliśmy po tej samej stronie, i nie mamy innych wspomnień, jak tylko te, które napelniają nas dumą”.

Skarbek: „Niech wszyscy Francuzi, nasi wypróbowani przyjaciele wiedzą, że żaden politycznie myślący Polak nie czyni Francji żadnego zarzutu, jakoby chciał uczynić z nas wasala za dobrze znamy ducha Francji, aby w to uwierzyć.”

Rozmowa skończona. Stary zegar baskijski monotonnie wybijał godziny.

Żegnając hr. Skarbka wyrzekł Clemenceau te pamiętne słowa:

„Noc intérêts sont indentiques”!

Tak wyglądała u „francuskiego tygrysa” audjencja „Orla białego ze Lwowa”, którego przedwczesną śmierć w kilka miesięcy później oplakiwała Polska cała, a podczas nabożeństwa w katedrze św. Jana w Warszawie za spokój jego duszy zakończył kaznodzieja swoje przemówienie temi znamiennymi słowami:

„Był to wielki pan, co zawsze wszystko dla Ojczyzny dawał a nic nigdy od niej nie brał.”

*Sabbataj ben Meir Kohen (?)**Pieśń gniewu.*

*Jak długo jeszcze gorzko ma płakać Twa gmina
I domu, co go wrogów zapaliły roje
I tylu, tylu krocí zabitego syna?..
Boże! Obcy napadli na dziedzictwo Twoje!*

*Pokąd górą u Ciebie będą wrzaski hordy,
Nad Twój pałac w ruinie, nad lud rozegnany,
Co tak cierpi dla Ciebie tułaczkę i mordy?..
Jak długo gardzić będziesz krzykiem jego rany:
Boże! Obcy napadli na dziedzictwo Twoje!..*

*I jak długo nam jeszcze swą żebraczą strawą
Karmić się gdzieś po progach, dla nędznego życia?
Oczy moje są smutne, palą się łzą krwawą —
Jak długo nam tak boleć swojego rozbicia
I gorzko opłakiwać dawne domy swoje?...
Boże! Obcy napadli na dziedzictwo Twoje!*

*Jak długo będziesz, łaskaw na pogan pomioty,
Drwić: Patrzcie jak się palą Jakuba namioty?
Jam życzył im pokoju — a zato w podzięce
Twarz mi biją i szydzą mej serdecznej męce!
Jak długo mamy wołać przez więźniń podwoje:
Boże! Obcy napadli na dziedzictwo Twoje!...*

Utwór ten jest prawdopodobnie dziełem sławnego w XVII w. komentatora halachicznego *Sabbataj ben Meir Kohen'a*. Napewne jednak autorstwa jego jeszcze nie ustalono. Powstał wiersz ten na ziemiach polskich, w latach 1648/9, podczas buntu Chmielnickiego pod wpływem rzezi dokonywanych przez Kozaków na Żydach. Przed tą rzezią uciekł wówczas Sabbataj Kohen z Polski i schronił się w Pradze.

Sabbataj ben Meir Kohen jest prócz tego autorem komentarza do Szulchan Aritu (streszczenie i zebranie praw talmudycznych, dokonane w Krakowie przez rabina Józefa Caro, będące do dziś podstawą życia każdego Żyda-Talmudysty).

*Izrael ben Mosze Nagara**Panie i Sędzio!...*

*Panie i Sędzio! Dotąd nie włoż do pochwy bułata,
Dopokąd mój krzyk do nieba Ciebie dolata!
Oto krnąbrni mnie napadli bez przewiny —
Blask mego nieba pokradli, bo pomcc zawiodła* [Twe syny!]

*Długoż tak jeszcze wędnać ludowi?
Długoż królestwa pozwolisz wrogowi?
Bądź Ty mi król! Patrz na mój ból!
Ostać się w Tobie ludowi zwól!*

*Posępny siedzę w przepaści głębokich otchłani —
Męka mnie żre i w dzień i w noc w jaskiniach lwich.
W krzykliwe ulice wołam mych cierpień wołanie,
Acz niemasz, niemasz odgłosu dla skarg mych!
O wspomóż nędznych ramiona, co „Lud Twój“* [ich nazwanie!]

Ich ufność w Tobie! Ich oko zawsze zwrócone na [Ciebie!]

*Powróć Panie do Twych bożych dzieci!
Pyszny niech Twój mściwy miecz zaświeci!
Tarczę podnieś i oszczep na pomoc mojej potrzebie!*

* * *

Izrael ben Mosze Nagara, jeden z największych poetów żydowskich XVI w. Pod względem formy naśladował wzory arabskie, tureckie i perskie; stąd utwory jego cechuje wschodnie wyszukanie i kunszt budowy, oraz wielki nacisk na muzykalność wiersza. Mistykę Nagary zabarwia silnie erotyka religijna.

Poezje jego, o których największa powaga kabalistyczna epoki, Izaak Luria mawiał, iż „są wielce wysoko cenione w niebie“, były zawsze bardzo popularne i po dziś dzień (wraz z melodjami jego układu) żyją w ustach chasydów.

Nagara był Żydem tureckim i działał jako rabin w Gazie.

przełożył

TADEUSZ ZADERECKI.

Swój do swego!**Zapraszamy****do prenumeraty!****Za rok będzie nas****MILJON!**

Ze sztuki.

W Towarzystwie Przyjaciół Sztuk pięknych, Pałac Sztuk na placu Targów Wschodnich.

Salon letni

Trzeba przyznać, że Lwowskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych dobrze zrobiło, organizując wystawę sztuki pod nazwą „Salon letni”.

Wystawa rzeczywiście obeszła bardzo bogato i ze wszech miar ciekawa — zasługuje w całej pełni na zwiedzenie. Ciekawa nie tylko ze względu na eksponaty, ale i ze względu na reprezentowane tu różne kierunki, począwszy od skrajnego realizmu i impresjonizmu, rzeczy minionej zdawałoby się epoki — do prymitywizmu, neoklasycyzmu i t. d.

I niewiadomo kto lepiej wyszedł na tej mieszaninie a komu ona zaszkodziła. W każdym razie bardzo wielki kontrast stanowią tu prace *Bielskiej*, zajmujące całą ścianę, z pracami *Horodyskiego*, *Sichulskiego*, *Wygrzywalskiego* i in. na przeciwległej, lub pracami *Bunscha* obok.

Z jednej strony — świetne barwy, ruch, kompozycja, życie, z drugiej przyćmione, jakby pokryte już patyną starości kolory i wizerunki ludzi jakichś dziwnych, apatycznych, chorobliwych, o karykaturalnie podkreślonym charakterze fizjognomji.

Kto co woli — to już jest rzecz indywidualnego zapatrywania i gustu. Nie chciałbym tu nikomu narzucać swego zdania jak to się często w recenzjach dzieje. Pozostawiam to ocenie tych, których być może, mój artykuł skłoni do zwiedzenia tej wystawy.

Jest i atrakcja. Nie mogę powstrzymać się aby od niej właściwego opisu wystawy nie zacząć. Sądzę jednak, że będę rozgrzeszony przez tych, którzy zachęeni przeze mnie, zechcą te wystawę zwiedzić. Jest mianowicie „jaskinia okropności”!

Tak! Bo jakżeż inaczej nazwać salę, gdzie wiszą olbrzymie jak na dzisiejsze czasy nawet, płótna pana *Feliksa Rückera*. Obrazy naszpikowane taką masą okropności, że widzowi napewno w głowie się zamąci, tak jak mnie, gdy zechcę opanować wzrokowo lub myślowo te dzieła. Temwięcej, że są one nie tylko malowane, rysowane, lub tłoczone (mam na myśli drzeworyty) ale pisane! *Pisane!*

A weźmy tytuły: „*Krak — Grek*”; „*Jerozolima — historia serca*”; „*Cerberus — Skandynawja*”; „*Nieświęta rodzina*”; (ileż to teraz rodzin nieświętych ale zgoła grzesznych), „*Walka z melancho-*

lią”; „*Kubistyczna kraina*”; „*Orficzny Wiersz*”!

Dotychczas wiedziałem, że są wiersze białe, wolne, męskie, bezśredniówkowe, żeńskie, toniczne i t. d., ale „orficznego” nie znałem. Dopiero zobaczyłem namalowane! Muszę tam posłać jednego z moich przyjaciół — literata (Dyrekcjo! Proszę o wolny bilet wstępu!) może on mi to objaśni?..

Powiedziałem poprzednio, że są i obrazy pisane — ale jak?! Na różnych częściach ciała namalowanych figur, nogach, głowach, z góry na dół, z lewego rogu ku prawemu, z prawego ku lewemu, dośrodkowo, odśrodkowo i wogóle. Zaiste, ze względu na tę jedyną wystawę, powinna była Dyrekcja kosztą wstępu podnieść conajmniej do takiego poziomu, na jakim te dzieła stoja.

Osobieście twierdzą stanowczo, że ze wszystkich artystów tam reprezentowanych, Pan *Feliks Rückert* (oby żył wiecznie, — jak powiada jeden mój przyjaciel — znany literat) ma największą inwencję twórczą. Dlatego dałem Mu pierwszeństwo. Pójdźcie i oglądajcie!

Zostawiwszy to, co zasługiwało istotnie na „wyróżnienie” przejdźmy pokolei wystawców.

Acedański Zygmunt, dał silne projekty polichromji kościelnej z bardzo ciekawie rozwiązana kompozycją „*Pokłon Trzech Króli*”. Doskonały odpowiednik do prac p. *Acedańskiego* stanowią prace p. *Nowakowskiej Ireny* — które są, zwłaszcza w projektach wyobrażających świętych polskich, przeznaczonych dla polichromji zupełnie zgrane z pracami Pana *Acedańskiego* pod względem umiarkowanej stylizacji.

Bielska Leokadja, dała szereg prac bardzo ciekawych o zgaszonym jak już wspominałem kolorystyce, będących wytworami żmudnych eksperymentów kolorystycznych jednak zatrzymujących i zajmujących widza.

Bunsch Adam, — dał bogatą kolekcję bardzo zajmujących prac, stojących na niezwykle wysokim poziomie. Wyróżniają się portrety żony szczególnie ten z rozkosznym amorkiem, (pewno synek) lub dziećmi na tle irysów, pozatem kompozycje. Rysunek mocny, kompozycja zdecydowana, przemyślana, koloryt matowy, zharmonizowany, to cechy które przykuwają uwagę widza i zmuszają do zastanowienia się nad treścią każdego obrazu.

W obecnej wystawie wystąpił artysta z nowością: kolekcją prac pastelowych, ujętych — jak wszystko — oryginalnie i harmonijnych w kolorze. Na specjalną uwagę zasługują drzeworyty kolorowe (sposób japoński).

Gajewski Paweł, dał doskonałe kompozycje, z których najlepiej osobieście wole „*Rybaczkę*”.

Horodyski Franciszek, dał swoje jak zwykle piękne prace portretowe i kwiaty.

Geza Rozmus, dał doskonałe kompozycje, z których szczególnie wyróżnia się „*Trójka*” rozhukanych koni, trzymanyh jednak silnie ręką hajduka.

Kratochwila Widymaska, dała bardzo ciekawy obraz kobiety z gitarą, olejny, oraz akwaforty i monotypie.

Król Zygmunt, wystawił szereg prac graficznych, wszystkie bez względu na technikę miękko subtelnie rysowane, ze wszech miar ciekawe.

Schneiderowa Zofja, dała dobry olej — „przy studni”.

Sichulski Kazimierz, dał doskonałą kompozycję p. t. „*Życie*” oraz dwa obrazy z kwiatami.

Mistrza *Wygrzywalskiego Feliksa*, najlepsze „*Hiszpanki*”.

Prócz obrazów, wystawa obejmuje jeszcze rzeźby jednego w tej wystawie rzeźbiarza *Łytwyneńki* — wykonane z rozmachem i siłą — z których wyróżniam osobieście akt kobiety, łączący prócz tych dwóch czynników, jeszcze subtelną formę. — Tylko poco te amputacje kończyn?

Oprócz wymienionych, na wyróżnienie zasługują jeszcze prace *Albinowskiej* — kwiaty, oraz *Adama*, *Bednarskiego*, *Doręgowskiego*, *Grucy*, (te ostatnie zlekka pretensjonalne) *Hawla*, *Huthowej* i *Kacpro-wskiego*.

Z akwarelami *Kleinmana* nie mogę się zgodzić — pozatem wymienić jeszcze muszę świetny portret damy w niebieskiej sukni *Korbłowej* i prace *Kunkiego*.

Pikora, ciekawy jest św. Jerzy, pozatem dali prace *Stik Julian* i senior malarzy lwowskich *Rosen Jan*.

Nie chcąc nużyć czytelnika rozwekłem opisami, kończę. Chciałem zwrócić uwagę na rzeczy które warto obejrzeć. Są różne kierunki reprezentowane, oprócz skrajnego futurizmu, na czem jednakże poziom wystawy zdaje się, zupełnie nie stracił. W. G.

Kazimierz Bryła

major W. P. w st. sp.

Poradnik szermierczy.

Czy powinniśmy się uczyć szermierki?

Sławny szwedzki gimnastyk-pedagog P. K. Ling poświęcił w swoim dziele „*Gimnastyka*” kilka słów szermierce, pisząc:

„Szermierka posiada pod względem pedagogicznym wybitny przymiot zniewalania ucznia do męskiej przytomności umysłu, gdyż wtedy postanowienie i czyn muszą się skojarzyć jak najdokładniej w jednym i tym samym momencie.

Umiarkowanie i spokój, gotowość do działania i szybkość powodują ćwiczenia szermiercze, wpływając dodatnio tak na ucznia popędliwego jak i powolnego.

Naturalnie mowa tu o prawidłowych ćwiczeniach a nie według własnego widzimisię.

Tem samem wyklucza się szkolenie niespokojnych rozbijaków i pojedynkiewiczów, których spotykała zarówno dawniej jak i dziś zasłużona pogarda.

Szlachetna sztuka szermiercza jako sztuka władania białą bronią w granicach rycerskości, wrodzonej Polakom, była pielęgnowana przez naszych przodków i należała do najwytworniejszych gier i zabaw a nadto oddawała znakomite usługi w starciu osobistym z przeciwnikiem na polu chwały, t. j. w obronie ojczyzny. — Odrodzona Polska potrzebuje również mężów czynu: odważnych i orjentujących się szybko w spra-

wach ważkich, nieraz zawitych a mimo to szermierka nie cieszy się takim zrozumieniem pośród dorastającej młodzieży, jak nato zasługuje.

Przeczytajcie opinie profesora wychowania fizycznego i dyrektora studjum wychowania fizycznego na uniwersytecie poznańskim Dra Eugenjusza Piaseckiego, umieszczoną w dziele p. t. „O wpływie ćwiczeń cielesnych na rozwój psychiczny młodzieży”. Podajemy ją tu w wyjątkach:

„Z nieprzebranego mnóstwa ćwiczeń cielesnych wyłaniają się dwie grupy główne, odmienne swą metodą i charakterem:

1) ćwiczenia rzędowe (musztra), wolne i przyrządowe, wykonywane przez uczniów na rozkaz i za przykładem nauczyciela.

2) zapasy, szermierka i gry ruchowe.

* Tu jednostki lub grupy występują do walki. Ruchy muszą być każdej chwili zastosowane do celu, jakim jest pokonanie przeciwnika.

Pierwsza grupa polega na naśladowaniu ruchów, druga na walce pozorowej, obie zaś dają wprawę w ruchach niezbędnych w późniejszej walce o byt.

W pierwszej grupie ćwiczeń nauczyciel czy to wprost przez pokazanie ćwiczenia, czy przez słowa skojarzone uprzednio w umyśle uczniów z wyobrażeniem pewnego ruchu (komendą) — wywołuje pojęcie, które przenosi się w niezmienną postać do ośrodków ruchowych jako akt woli.

Inaczej przedstawia się mechanizm psychiczny przy drugiej, głównej kategorii ćwiczeń t. j. przy zapasach, szermierce i grach sportowych.

I tutaj są ruchy ucznia zależne od wrażeń zewnętrznych, przeważnie wzrokowych, nie są

jednak powtórzeniem ruchów widzianych, ale odpowiedzią na nie, zmierzającą do pokonania przeciwnika w myśl pewnych prawideł.

Po uświadomieniu wrażenia musi nastąpić czynność zastanawiania się, mająca na celu wybór ruchu, jaki według dotychczasowego doświadczenia jest najodpowiedniejszy dla uzyskania pożądanego efektu.

Dopiero potem wyobrażenie tego ruchu wywołuje pobudzenie odnośnych mięśni do skurczu.

W zapasach i szermierce są czynności myślowe błyskawiczne. Myśl musi działać szybko i sprawnie. Reakcja fizyczna musi być natychmiastowa. Szermierka jest tedy sztuką, która kształci zarówno bystrość i przytomność umysłu, jak i sprawność fizyczną.

Zdolności szybkiego naśladowania czyichś ruchów, lub czynienia obrotów na rozkaz, nie można nazwać bystrością umysłu. Dopiero zdolność szybkiego odpowiadania na pewne wrażenia stosownym i celowym czynem — oto przytomność umysłu, tak w życiu potrzebna i ceniona.

Szalona nawet odwaga niezawsze prowadzi do zwycięstwa a często w zasadzkę; pewniejszą drogą jest umiejętne i błyskawiczne korzystanie ze słabych stron przeciwnika.

Oto prawdy, narzucające się w oczy każdemu kto poznaje się gruntownie z grami sportowymi, szermierką i zapasami.

Racjonalna gimnastyka przyrządowa rozwija odwagę, ucząc nas pokonywać uczucie obawy, występujące na widok nierówności terenu, który mamy pokonać.

c. d. n.

Przeciw zalewowi powieści tłumaczonych.

Kto przeglądnie katalogi nowości różnych naszych firm wydawniczych, tego niewątpliwie uderzy fakt znacznej supremacji przekładów nad beletrystyczną produkcją oryginalną. Na jedną powieść polską przypada zawsze po kilka obcych; tłumaczy się to wszystko, drukuje się wszystko, trzecio i czwartorzędne bzdury angielskie, francuskie i t. d. Pomijam już, że najczęściej tłumaczenia takie dokonywane są przez jednostki zgoła niekompetentne, wobec czego wypadają wprost potwornie; chodzi mi o wyjaśnienie, skąd ten dziwny popyt na tłumaczenia, skąd ten zalew produkcji naszej drukowanej wszystkim śmieciem — byle tylko z zagranicznych śmietników.

Niejeden czytelnik, nieobeznany bliżej ze sprawą, zwali napewno gros winy na widniejące po kartach tytułowych firmy wydawnicze. Będzie się dziwił, skąd ten popyt na przekłady, komu one są potrzebne, czemu tak bez gustu i dbałości o poziom są dobierane i t. d. Tymczasem nie po tej tylko jednej stronie jest wina.

W większości wypadków bowiem ogromną część winy w tem zaśmiecaniu literatury ponoszą — dzienniki.

Dziennik bez powieści obejść się nie może. Feljton pożera olbrzymie masy wszelakiego typu romansideł. Prawie zaś każdy dziennik ma układ z jakąś firmą wydawniczą, której, po ukończeniu druku powieści w feljtonie, odstępuje gotowy skład, do książkowego jej wydania. Ponieważ zaś zazwyczaj w takich razach gra dużą rolę kwestja taniości autoryzacji; ponieważ dalej nie bez znaczenia jest i taniść tłumacza; ponieważ przy każdym dzienniku pętają się zazwyczaj różni tłumacze (a zwłaszcza... tłumaczkę), gotowi każdego zagranicznego potwora jeszcze bardziej spotworzyć; ponieważ tłumacze tacy, a zwłaszcza znów tłumaczki, potrafią użyć wszelkich sposobów i wpływów, by tylko „robotę” złapać, w dziennikach zaś najczęściej dość niewielki nacisk kładą kompetentne czynniki na jakość takiej roboty, ot byle handel szedł — więc i niebezpieczna firma wydawnicza, związana podobnym układem, wydaje wszystek szmelc, torturuje czytelnika największymi zagranicznymi głupstwami, zaśmieca literaturę partactwem zarówno lichego autora, jak i jeszcze lichszego jego przekładacza.

Stan to wysoce niezdrowy i stan ten musi się skończyć. Tembardziej, że częstokroć rzeczy niezłe polskich pisarzy leżą w tekach i napróżno czekają druku, podczas gdy wszystko zagraniczne śmiecie zostaje drukowane.

Ale cóż?

Bądźmy sprawiedliwi: Trafia się częstokroć, że ten czy ów dziennik w porozumieniu z wydawcą, chętnie drukowałby rzecz jakiegoś polskiego autora, gdyby... o niej wiedział. Pierwszorzędni, znani już autorowie, są zazwyczaj zmonopolizowani przez jakąś firmę; pomniejsi chodzą zaś luzem. Nasyłać uparcie swe „płody” umieją tylko zdecydowani grafomani; o tem więc, że młody a zdolny jakiś autor ma coś do sprzedania, zazwyczaj nikt nie wie. Gdy więc dziennikowi kończy się feljton i przychodzi chwila ujawniająca konieczność rozglądnięcia się za nowym, — łapie się zazwyczaj coś, co jest technicznie łatwe do zrealizowania; przekład zaś opiera się wszak na rzeczy gotowej; można go dokonywać partjami, z feljtonu na feljton, znalezienie tłumacza nie przedstawia żadnych trudności, więc też przekład idzie. Co za wartości zaś nim się wnosi — kogożby o to bolała głowa? Grunt, że feljton jest, że dziura została zapchana.

Stoimy na stanowisku, że postępowanie takie jest wysoce szkodliwe. W czasach, gdy tylu pisarzy polskich głoduje, nabija się najpierw kieszenie różnych pokątnych zagraniczników autoryzacjami ich szmir, następnie zaś rzuca się pieniądze różnym „tłumaczom” i „tłumaczkom”, dla klasyfikacji, którym znacznie bardziej przystawałaby n. p. miotła lub rondel, niż pióro. Gdyby te wszystkie pieniądze dostał razem jakiś młody a zdolny pisarz polski, mógłby dać i rzecz dobrą i nie zdychać z głodu. A że tłumacze, których dziś karmi „literatura”, siłą faktu zmuszeni byli są się jakiejs pracy pożyteczniejszej; że tłumaczki musiałyby zająć się robotkami lub czemś podobnym takim, to tylko byłoby pożytkiem i ich i publiczności czytającej.

Dlatego też rzucamy myśl: dzienniki potrzebują materiału powieściowego ciągle i dziennikom jego nabycie trzeba ułatwić.

Pisarze polscy, mający coś na warsztacie, powinni we własnym interesie dać w jakiś sposób znać światu o sobie i o swym towarze. Rzecz jasna nie może znów to chodzić luzem, tylko musi to być akcja zorganizowana. Prostu trzeba stworzyć jakąś centralę, gdzieby wydawnictwa mogły czerpać wiadomość o tem, co kto może im w danej chwili dostarczyć.

Gdyby myśl ta spotkała się ze zrozumieniem zarówno pisarzy jak i sfer wydawniczych,

(Józef Bieniasz: „Maturanci”. Powieść z życia studentów. Kraków — Lwów 1933. Księgarnia Tow. Szkoły Ludowej. Str. 328. Cena 6 zł.).

Druga ta powieść z cyklu trylogii studenckiej, zapoczątkowanej niedawno doskonałą „Edukacją Józia Baracza” zawarta w sobie wszystkie zalety pierwszej, z tem, że poziomem swym o wiele ją przerosła. Talent Bieniasza, przeszedłszy w „Edukacji” chrzest ogniowy druku stężał tu, zmęźniał, skrzepił się; to też niedociągnięcia zarówno stylowe, jak kompozycyjne i psychologiczne rzeczy pierwszej — w „Maturantach” już znikły; powieść spoważniała wprawdzie nieco, ale zyskała jednocześnie duży nerw dramatycznego napięcia, niepozwalającego się czytelnikowi oderwać od tej sympatycznej lektury. Dowodzi to, istnienia szczerego kruszcza w istocie talentu Bieniasza; zazwyczaj bowiem udatne debiuty autorskie są dla artystów wysoce niebezpieczne i sprawdzają w następnych rzeczach spadek skali talentu, powodują naśladownictwo samych siebie, pogrążają autorów w otchłań maniery. Tego wszystkiego Bieniasz zarówno dzięki sile swej twórczej, jak i dzięki ostremu — jak widać samokrytycyzmowi potrafił się ustrzec; poszedł więc za trafną zasadą, że każde dzieło następne musi mieć swoje oblicze, różne od poprzednich, jeśli niema być martwe, jeśli ma stanowić postęp w pochodzie artysty ku swemu arcydziełu.

„Maturanci” skomponowani są bardzo dobrze i oryginalnie, zwłaszcza, jeśli się zważy, iż są oni drugim ogniwem studenckiej trylogii. Wysoce plastycznie kreślone sylwetki postaci, czynią książkę dziełem nawskroś żywym. Książka to, którą młody i stary chętnie do rąk weźmie i z żalem odłoży; ten, bo mu ona dzisiejszość jego pokaże i natchnie siłą i ochotą życiową; tamten, bo mu młode lata przypomni, odmłodzi go, rozrzewni, napoi optymizmem w ciężkim dzisiejszym życiu.

Szata zewnętrzna bez zarzutu. Okładka Toegla estetyczna.

Ogółem rzecz, z którą się warto zapoznać.

(Aleksander Jełowicki: „Moje Wspomnienia” (1804 — 1831 — 1838). Lwów, Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. 1933. Z portretem autora i objaśnieniami Adolfa Jełowickiego Bp. Lorymejskiego. Str. 6 nlb+409+3 nlb.)

Wznówione to, piąte z kolei wydanie „Wspomnień” Aleksandra Jełowickiego, jest książką wysoce ciekawą i przeczytania godną. Nie ze względu na swe wartości, jako historyczne źródło — tem bowiem nigdy pamiętniki te nie były i nie będą — ale przedewszystkiem jako doskonale napisany szkic obyczajowy z pierwszej połowy zeszłego wieku na Podolu i Ukrainie. Autor był wybornym plastykiem; naturę czuł i kochał, to też karty jego opisów należą do najcelniejszych kart dzieła; miał wysoce rozwinięty zmysł spostrzegawczy i krytyczny, dlatego opis nieudatnych ruchów „powstańczych” Polaków na kresach jest świetnym obrazem ówczesnego bezwładu organizacyjnego, wąskiej myśli politycznej, gubiącej się w gadulstwie, klótniach i czekaniu — podczas gonitwy historycznych faktów.

Wzrost literatury pamiętnikarskiej polega zawsze przedewszystkiem na traktowaniu ich jako źródła dla rysu obyczajowego danej klasy i danego wieku. Wzrost „Wspomnień” Jełowickiego to supremacja właśnie tych momentów nad innymi. Począwszy od lat dziecińczych autora, a skończywszy na zrodzeniu się powołania duchownego. Bujny świat naszych ówczesnych kresów staje przed czytelnikiem tej książki jak żywy niewyglądzony, niezretuszowany, czasem szorstki, czasem dziwactw pełny, ale dlatego właśnie prawdziwy, dlatego wysoce ciekawy.

Książka pod względem graficznym wydana pierw-

moglibyśmy chętnie na łamach naszego pisma taką rubrykę otworzyć. Autorowie mogliby nadsyłać nam wiadomości nad czem pracują i co mają gotowego do zbycia, w jakim typie jest powieść oraz swe adresy — wydawcy zaś mieliby orientację gdzie kogo szukać i co w danej chwili jest na rynku.

Przekłady bowiem mają rację bytu o tyle tylko, o ile wzbogacają literaturę o rzeczy wartościowe, arcydzieła, oddane artystycznie. Rynek zaś bieżący może całkiem dobrze zapełnić tak samo choćby kiepsko, ale polska powieść, jak kiepska powieść zagraniczna, a na dobitkę kiepsko przełożona.

To chyba jasne.

Z. SIEMIŃSKI.

Wśród książek.

szorzednie. Objaśnienia ks. Adolfa Jełowickiego staranne i naogół wyczerpujące.

(Henryk Biegeleisen: „Żona poety”. Warszawa. Dom książki polskiej. 1933. str. 2 nlb + 152. Z portretami Zofji z Szymanowskich Lenartowiczowej i Teofila Lenartowicza).

Wysoce wartościowe, oparte na nieznanym źródłach, studjum to o Zofji Szymanowskiej, ma wagę wielką z kilku względów; mówi bowiem z jednej strony o postaci odgrywającej niemałą rolę w życiu domu Adama Mickiewicza, z drugiej rzuca wiele światła na osobę Teofila Lenartowicza, z trzeciej zaś oddaje dług pewien, jaki winna potomność pamięci zdolnej malarki, dobrej patriotki, zacnej niewiasty.

Przedewszystkiem studjum ma wartość ze względu na ogłoszone w niem materiały. Szereg listów, poematów, pamiętnik Szymanowskiej i t. d., to rzeczy, które stanowczo należało wydobyć z pod pyłu zapomnienia. Wykaz zaś prac Szymanowskiej jest wysoce pożyteczny dla badacza sztuki w XIX. stuleciu.

Prof. Biegeleisen ma wielką zasługę w zebraniu i wydaniu tych materiałów, dla historyka, literatury i kultury zeszłego wieku pierwszorzędного znaczenia. Żmudna ta praca, niewdzięczna, mało błyskotliwa, ale owocna.

Tylko szata zewnętrzna książki nieco niedbała. W dzisiejszych czasach kryzysów atoli, gdy lada powieści dla kiepsko przekładane i trzeciorzędnych autorów zagranicznych wydaje się na dobrym papierze — dla rzeczy naukowych widać tego papieru już zabrakło. Ale to nic. Bo te rzeczy zostaną, wprawdzie dla szuplejszego grona czytelników i będą potrzebne wtedy, gdy na owe powieści dla nikogo i spojrzeć nie zechce.

(Stefan Kawyn: „Cyganeria warszawska”, szkic z dziejów obyczajowości literackiej. Lwów, Zakł. Nar. im. Ossolińskich. 1933. Odbitka z „Pamiętnika Literackiego R. XXX. Z. 2 Str. 20).

Epoka t. zw. „Cyganerii warszawskiej” jest terenem w historii literatury prawie że zupełnie zaniedbanym. Poza paru drobnymi szkicami, które nie mogą sobie rościć żadnej pretensji do wyczerpania tematu i poza dramatyczną krótką Nowaczyńskiego, niema tu poprostu nic. Tymczasem epoka ta jest wysoce ciekawa, choćby ze względu nato, że w kołach cyganerii pierwsze swe kroki poetyckie stawiał Norwid, że z niej wyszedł twórca „libretta do Halki” Moniuszki, Wolski. To też dobrze się stało, że przykrą tę lukę zapełniło potrosze studjum młodego badacza Stefana Kawyna.

Nad ciekawą tą a tak stylową epoką studja swe przeprowadza Kawyn już oddawna. O nawiana praca jest więc zdaje się albo szkicem przygotowawczym do większej monografii, albo też drobnym jej wynikiem. Omówił w niej Kawyn trzy problemy: problem „cyganerii warszawskiej” w stosunku do samego pojęcia „cyganerii” — jako zjawiska literackiego, ciekawe a typowe w tych czasach w dziedzinie fikcji zjawisko życia ówczesnych poetów, przyczem fikcja ta ściśle spletała się z życiem, że dziś trudno jest wydzielić rzeczywistość od bajki, oraz stosunek tych artystów do otoczenia. Studjum, problemy te roztrząsa bystro i rzuca na epokę wiele światła.

Praca wysoce ciekawa, temat wdzięczny, rzecz napisana z dużym zacięciem i trafnym wycuciem epoki.

Ze spraw ruskich.

KAMPANJA ANTYSOWIECKA.

Ostatni okres polityczny wśród ukraińców upływa pod znakiem generalnej mobilizacji wszystkich czynników ukraińskich przeciw Rosji Sowieckiej. Dzieje się to pod wpływem zarządzeń rządu rosyjskiego, mających na celu ukrócenie nacjonalistycznej agitacji ukraińskiej na terenie Ukrainy Sowieckiej oraz sabotażu rolnego, jaki agitacja ta propaguje. Po przesunięciach w centralnych władzach Ukrainy Sowieckiej dwu wybitnych komunistów ukraińskich Skrypnik i Chwilowy odebrali sobie życie; odgłosem tych demonstracyjnych samobójstw było również samobójstwo urzędnika konsulatu sowieckiego we Lwowie M. Stronńskiego.

Nacjonaliści ukraińscy w Wsch. Małop. wyzyskują tę sytuację i rozpoczęli gwałtowną kampanję antysowiecką. Ogłoszonych zostało kilka enuncjacji najwyższych czynników społeczeństwa ukraińskiego, m. inn. Episkopatu gr. kat., ukraińskiej reprezentacji parlamentarnej, kilkudziesięciu organizacji społecznych itp. Prasa ukraińska przepełniona jest atakami na Rosję Sowiecką.

Jak dotychczas kampanja ta nie znalazła żadnego odłosu ani w Polsce, ani w reszcie świata. Wogóle niewiadomo jaki cel wytknęli sobie ukraińcy rozpoczynając wspomnianą akcję. Odezwy ukraińskie nawołują do pomocy materialnej dla ludności ukraińskiej za Zbruczem oraz apelują do humanitarnych uczuć całego świata. Udzielenie jakichkolwiek środków i pomocy materialnej głodnej ludności na Ukrainie Sowieckiej jest więcej niż iluzorycznym zamiarem, gdyż Rosja do żadnej tego rodzaju pomocy nie dopuści.

Uczucia humanitarne odzywają się zazwyczaj w takich wypadkach tylko wówczas, gdy mogą posłużyć dla czyichś interesów politycznych. Niema żadnych widoków, aby w tej chwili miał ktoś ochotę wszczynać ataki na Rosję dla pięknych oczu ukraińskich. Moment kampanji antyrosyjskiej został przez ukraińców pod tym względem wybrany jak najfatalniej. Zdają sobie sprawę z tego ukraińcy rozsiani po świecie, gdyż kampanję prowadzą wyłącznie ukraińcy z Polski. Inni milczą jak zaklęci.

Źródło akcji antyrosyjskiej upatrujemy w zupełnej kompromitacji polityki ukraińskiej na terenie Polski. Odpowiedzialne za nią czynniki pragną dać masom jakiś żer i skierowały je w kierunku nierealnej walki z Rosją. Byłoby znacznie rozumniej — naszym zdaniem — skierować raz wreszcie politykę ukraińską na tory pozytywne, niż ustawicznie błąkać się po manowcach bezpłodnej negacji. Rozstrzygnięcie tego dylematu pozostawiamy jednak samym ukraińcom.

UNIwersytet UKRAIŃSKI.

Pan hrabia Łoś rzucił — ni stąd ni z owąd — w ostatnim „Buncie młodych” inicjatywę, aby „wspaniałomyślnie” otworzyć obecnie uniwersytet ukraiński, którego ukraińcy nie będą zapewne zwalczać. Autor jest nader hojny. W polityce chce stosować te same metody, które niejedną ród arystokratyczny w Polsce doprowadziły już do upadku.

O ile jednak wolno to było robić arystokracji z ich majątkiem i dobrem osobistym, o tyle sprawa polityki „wspaniałomyślności” hr. Łoś dotyczy interesów Polski, co do których mamy, jako naród, pewne pretensje w fakcie decyzji.

Nie widzimy najmniejszych powodów do stwarzania dzisiaj lub nawet jutro uniwersytetu ukraińskiego w Polsce. Posiadamy dostateczną ilość wyższych uczelni, aby mogli się w niej kształcić wszyscy obywatele zamieszkujący państwo polskie. W żadnym kraju nie tworzy się osobnych uniwersytetów dla poszczególnych narodowości, gdyż świat wychodzi słusznie z założenia, że ten, kto łaknie nauki może ją zdobywać w każdej uczelni.

Trzeba wreszcie raz na zawsze wykreślić z „programu” polskiego wobec ukraińców kwestję uniwersytetu, gdyż nikt niema ochoty go stwarzać i uniwersytet taki nigdy nie powstanie. Koncepty zaś a la hr. Łoś zajmują uwagę opinii i stwarzają wrażenie, że mówi się o czemś poważnym i potrzebnym,

KL. HR.

Obrazki z niedawnego Lwowa.

Niedawne to czasy. Zaledwie kilkadziesiąt lat od nich upłynęło. Lwów przeszedł już wówczas wraz z innymi miastami Polski swą martyrologję powstaniową. Najlepszymi synami swymi zapełniał austriackie więzienia, dla braci z za kordonu był przytułkiem. A gdy wreszcie w Warszawie zgasił wszelki duch buntu i wolności, gdy tylko hasła pozytywistycznego przetrwania stały się dla niej ideałem, a ideały inne poszły w ką, gdy Kraków stańczykowski stał się twierdzą „Brandmeistrów” i ochotniczych lokajów Wiednia, gdzie Poznań spał — Lwów jeden zachował w piersi swej zarzewie buntu, był nadal ultraczerwony i postępowy, gorzał patriotyzmem, czasem może nadto rozgadany i krzykliwy, czasem śmiesznym w niektórych środkach „budzenia ducha narodowego” — ale zawsze poczciwym, ale zawsze równie płomiennym i ofiarnym.

To też nie gaśło w nim życie. Humor swoisty ulicy lwowskiej ciągle mu służył. Zawadjackość jakaś siedziała w duszach, nada-

wała ton życiu miasta. Czasem krystalizowała się dla służby kultury i narodu, czasem wylew swój znajdowała tylko w fantazji życiowej jednostek, czasem wyradzała się w typowe dla grodu chwasty. Bo Lwów przodował Polsce nie tylko „swem Ossolineum i pracami stamtąd wychodzącymi”, przodował też „kuźnicami natchnienia”, jakimi są kawiarnie, cukierunki i knajpy literackie. „Przodował” stworzeniem prasy „rewolwerowej”.

Cukiernia Sznajdra, „Obserwatorium” i „Piekielko” — oto były trzy azyle codziennego dziennikarstwa i literatury lwowskiej; „Sztandar” i „Strażnica” stały się zaś terenem gdzie zahulała po raz pierwszy rewolwerowa muza.

Cukiernia Sznajdra!... To był też typowy kwiatek! Leżała tam, gdzie dziś pyszni się kamienica Sprechera, przy ul. Akademickiej. W nie tak wspaniałym domu rozsiadły się jej gościnne lokale. Ale nie każdemu gościnne. Obok bowiem specjalności w swych wyrobach

JAN GNIEWOSZ.

Oszczędność przedewszystkiem.

P. Serafin Bryś był największym i najuczciwszym wydawcą pod słońcem. Wciąż szperał, myszkował, węszył, dopóki nie odkrył nowego talentu. Jako człek praktyczny wołał oczywiście autorów egzotycznych, bo ci wnosili z sobą do literatury jakiś tajemniczy dryl. Tych płacił nawet nieźle, bo jego samego pociągały pełne grozy lochy na wschodzie, tropikalne gorąco Meksyku, lub strachy w starożytnych zamkach angielskich milordów, o czem się w młodości wiele nasłuchał.

Inaczej było z wielkościami krajowego chowu. Jeśli mu się przypadkiem taki patałach nawinął, zapraszał go protekcyjnie do swojego gabinetu, ziewał bezceremonjalnie jakby zaznaczając, że sobie z takiego gwiazdora nic nie robi, wertował z miną kapłana sztuki dostarczone sobie skrypta i ważył fachowo na dłoni, ile tego będzie na kartki. Kiedy zmiarkował, że tytuł był ciekawy a tomisko wypadnie z tego spore, dobijał targu, wręczał nowemu asowi literatury zadatek w wysokości 20 zł i sprawę uważał za załatwioną. Jeżeli as oponował z powodu zbyt niskiej kwoty, p. Serafin zaraz mu dokumentnie udowydniał:

— Niech pan będzie zadowolony, że pana wogóle wydaję. Zresztą dla was literatów lepiej nie mieć pieniędzy. Puściecie albo was okradną a tak będzie pan miał u mnie forszę jak w banku.

P. Bryś miał oczywiście najzupełniejszą słusność i słusność tę musiał uznać każdy autor — krajowiec, mający do wyboru 20 zł w szcze-

rosrebrnej walucie, nakład i mały procent, albo zwrot pieniędzy i beznadziejne szukanie nowego p. Brysia.

Do największych pereł literatury zaliczał wydawca autora Onufrego Biedę. Rzeczy Biedy miały duże powodzenie na rynku księgarskim i szły. Szły jak sam zagraniczny towar. Jeśli się p. Serafin nawet zawiódł na jakim cudzoziemskim artykule — odkuwał się niezawodnie na Onufrym Biedzie, który pisał a pisał. Aż dziw zbierał, skąd tak niepozorny człek jak Bieda czerpie tyle tematu, choć nie siedział ani na Łubiance ani nie walczył z krwiożerczymi plemionami Siuksów. Taki ciemięga i miał natchnienie. Wydawca zacierał dłonie.

— Będzie z pana wielki człowiek, panie Bieda, grunt pisać i pisać — zachęcał.

— Tak, ale możeby z 10 złotych a konto... Dziś jeszcze nic nie jadłem, słowo honoru — stękał żałośliwie literat.

P. Serafin zastanowił się głęboko.

— Hm, dostanie pan pięć, bo są olbrzymie wydatki... Druk, papier, porto a tu obrachunku z komisów jak niema tak niema. A zresztą poco panu pieniądze? Puściłby pan a tak ma pan zawsze gotówkę na czarną godzinę...

I potulny Bieda pisał. Głodował, chodził bez butów, marzył, ale kroił powieść za powieścią i niebawem stał się głośny. Chodził w sławie jak w słońcu, jak się wyrażał o nim sam wydawca Bryś.

Ale głód dokuczał. Wyczerpany organizm domagał się o swoje, to też Bieda, jakkolwiek nieśmiały i bardzo ambitny, zachodził coraz częściej po drobne zaliczki, choć coraz częściej bez skutku. Mizerniał, chudł, ale pracował, pocieszając się, że ma pieniądze jak w kasie. Chełpił się

na wet przed przyjaciółmi, że tyle a tyle tysięcy należy mu się przy obrachunku.

Od niejakiego czasu Bieda zaprzestał jednak zupełnie nachodzić wydawcę, jakby go nic a nic nie obchodziły jego tryumfy literackie i kasowe wydawcy. P. Serafin znów zacierał rece.

— Nareszcie jeden porządny krajowy literat — mawiał do małżonki — ma u mnie pieniądze jak w P. K. O. i jeszcze mu się nieraz przydadzą na czarną godzinę.

Tymczasem stało się nieszczęście. Onufry Bieda położył się raz na barłogu i umarł. Doniosły o tem wszystkie miejscowe dzienniki.

P. Serafin Bryś chodził niepokieszony i zgolał ponury. Własnym oczom nie wierzył, bo jak mógł umrzeć człowiek, który pisał takie książki? Łudził się jeszcze, czy to nie zwykła kaczką dziennikarska, ale tę prawdę straszliwą potwierdził niebawem przyjaciel nieboszczyka, p. Nędza, który jeszcze tego dnia odwiedził wydawcę, donosząc, że Bieda umarł niestety dziś nad ranem.

W pewnej chwili p. Serafin rozpogodził czoło, westchnął z ulgą i rzekł.

— Jakie to jednak szczęście, że nieboszczyk ma jeszcze tyle pieniędzy na rachunku. Gdybym mu był wypłacał większe sumy, nie byłoby go dziś zaco pochować a tak jest fundusz pogrzebowy, jak obrył.

P. Nędza pokiwał głową potakująco a tymczasem p. Serafin perorował:

— Porządny był człowiek i kochałem go zato okrutnie. Bo to oszczędność przedewszystkiem, panie kochany. Ostatnimi czasy przestał podobno nawet pić. To moja zasługa i w nekrologu należałoby to podnieść, co?

— To wszystko prawda — potwierdził p. Nędza — tylko że Bieda umarł z głodu...

obok drugiej specjalności, przytulania literatury lwowskiej przez długi dzień boży, miała ona jeszcze trzecią, specyficzną: „zoologiczny antysemityzm”. Poprostu był to taki dziwny lokal, gdzie nie przyjmowano Żydów.

Coprawda na oddrzwiach jej nie wisiały żadne demonstracyjne tablice z ostrzeżeniem dla synów Izraela, nie było też nigdzie druku „Żydom wstęp wzbroniony”, ani „Uprasza się Żydów nie wprowadzać”. Poprostu drogą doświadczenia pouczono ten tyg gości, że są zgoda niepożądani, a fama tygębna miała za zadanie roznieść tę wiadomość po mieście. Rozniosła też ją wkrótce sumiennie, tak że cały Lwów i jego bliższe okolice wiedziały, że w cukierni Sznajdra Żydowinowie nie mają co robić.

Ale cóż! Nie tak łatwo z potomki Abrahama, Jakóba i reszty patriarchów. Wybrany ten naród, lubi się zawsze bowiem wybierać tam, gdzie go nie potrzeba! Poprostu dla snobizmu uważał sobie ten lub ów z „cybulizowanych” ówczesnych „szermierzy postępu” za punkt honoru znaleźć się w cukierni Sznajdra, zasiedzieć tam miejsce i prawem zasiadzenia dostać się w poczet „sztamgastów”. Prób tych dokonywano uparcie! Bo przecież to była pierwszorzędną cukiernia, bo sam kwiat Lwowa tam się schodził. Wślizgnąć się w taki bukiet — och, jakim to było marzeniem tego lub owego „postępowca”.

Ale na uparte ataki, cukiernia miała doskonale zmontowany system obrony. A dokonywano tej operacji splawiania niepożądanego gościa tak:

Przyszedł pan, którego fizys mówiła, że osoba swą stanowi szmugiel do lokalu. Zajął miejsce, zażądał tego lub owego. Usłużny kelner z wyrafinowaną grzecznością służył wszystkim na prawo i lewo, tylko tego jednego gościa nie widział. Zagadnięty wprost odpowiadał pięknem: „Zaraz proszę pana do brodzieja” i... szedł usługiwać dalej. Ale wciąż innych. Gość interwenjował parę razy jeszcze, poczyniał się irytować — wszystko nadarmo. Bardzo grzecznie znów odpowiadano mu „zaraz” i zaraz trwało w nieskończoność. Dość że gdy nareszcie lokal cały wziął siłą faktu takiego pana na oczko, musiał się pan jak niepyszny wynosić. I tak wszelkie próby imigracji żydowskiej do Sznajdra spełzały zawsze na niczem.

Innym znów typem było „Obserwatorium”. To był lokal dla literatów na wieczór. Knapa niewiele różna od innych. Ponieważ jednak leżała przy ul. Kopernika, gdzie dziś kantor „I. K. C.” się mieści, przeto przez Lama ochrzczona, dostała takie astronomiczne imię. Tam schodzili się Lam, Zagórski, Zajaczkowski, Czerwiński, tam bywał „Jan IV” Dobrzański, tam pętało się wszystko, co tylko ruszało piórem i wachało farbą drukarską. Tam bywał też głośny we Lwowie garbusek — żartowniś Czencz, co wprawdzie nic nie pisał, ale męł jęzorem za dziesięć i kręcił się przy „literaturze” — wynalazca słynnego i mądrego aforyzmu: „Lepiej nie robić nic, a do brze — niż robić coś, a źle! Tam pijał też praszczur duchowy rewolwerowej prasy lwowskiej, Jan Nepomucen z Olexowa Gniewosz.

Ciekawa była to postać. Niewysoki, gruby, stale „po polsku” się noszący, w czmarze, rogatywce, palonych butach, pasem „patriotycznym” przepasany, a z tęgim kosturem w rękę (ostrożność bowiem nigdy nie zawadzi!) — był Jan Nepomucen istnym biczem bożym dla wszelkiej istoty ludzkiej noszącej „masło na głowie”. W tym celu wydawał dwa pisma, by gromić występki, a obyczaje naprawiać. Aż dwa? Dlaczego? Ot poprostu dlatego, że dla wydawania tygodników, obowiązywało wedle ówczesnej austriackiej ustawy prasowej, złożenie kaucji Jan Nepomucyn zaś w grosz nie był znanym bogaty; wydawał więc dwa dwutygodniki. „Sztandar” i „Strażnicę”. A wydawał je pod groźnym hasłem, na czele numeru się pyszniącym: „Rzecz prawdziwą, o resztę nie pytaj!”

Rzecz więc Jan Nepomucen prawdę tak mocno, że aż Lam dał mu miano: „Jan Balamucen z Obelgowa Gembosz”. a pisma jego nazwał „Szkandal” i „Smatnica”. Ale ani to, ani powieść Zagórskiego: „Pamiętniki starego parasola”, gdzie pohater nasz i jego praktyki

celne uzyskały miejsce, nie ochłodziły w niczem Gniewosza, który dalej naprawiał obyczaje. A, rzecz dziwna, naprawiał je tylko w sferach, koło których czuł obecność większej gotówki.

Proceder uprawiał poprostu. Gdy ktoś coś przeszkrobał, coby raczej wolał zataić, wówczas Jan Balamucen pojawiał się u niego z szczotkowem odbiciem artykułu, opisującego taki fakt. Ot — skarżył się — pod jego nieobecność w redakcji, a w takich wypadkach dziwnie często bywał nieobecny, nadesłano mu artykuł, który przez nieuwagę został złożony. Rzecz jasna, że gdyby był go wpięty czytał, nigdy by go nie puścił do druku, wie bowiem kogo należy cenić, szanować itd. Ale cóż? Artykuł złożono, fakt jest faktem i odrobić się nie da i oto on aktualnie narażony jest na straty finansowe. Gdyby jednak obrobiony pacjent zdecydował się pokryć efektywne straty (a były one zazwyczaj dziwnie wysokie), gotów jest artykuł wycofać. Jeśli ofiara naprawiania obyczajów zrozumiała się na rzeczy i „stratę” pokryła — Jan artykuł cofał; jeśli nie — artykuł szedł; jeśli zaś odszkodowanie wysokością swą „stratę” nie pokrywało lub targ był za wielki, wówczas w następnym numerze „Sztandaru” lub „Strażnicy” pojawiał się zazwyczaj:

Sokołów o Polsce, Rosji i Niemczech.

obok wstępnego przemówienia na ostatnim kongresie sjonistycznym w Pradze wygłosił referat polityczny, który zasługuje na jaknajpilniejszą uwagę. Brak miejsca nie pozwala nam narazie na zestawienie całego referatu, ograniczamy się więc jedynie do części poświęconej Polsce.

Sokołów podkreślił na wstępie, że „Polska stała się wielkim samodzielnym państwem, którego ludność żydowska pod względem liczebności ustępuje jedynie ludności żydowskiej w Stanach Zjednoczonych. Są też — mówił Sokołów — wielkie gminy Żydów polskich w różnych krajach poza Polską, które częstokroć — szczególnie w okresie kryzysu — przysparzają największą klientelę przedstawicielom Rzeczypospolitej zagranicą”.

Następnie wódz sjonizmu i żydostwa światowego z uznaniem podkreślił, że Polska była względem Żydów o wiele bardziej liberalna niż kraje sąsiednie. Polska nie splamiła nigdy swej historii wygnaniem Żydów. Przeciwnie przez wpuszczenie dopływu Żydów z innych krajów Polska stała się masowym rezerwuarem dla świata żydowskiego i w ten sposób pozytywnie przyczyniła się do zachowania żydowskiego narodu bardziej niż zdołał to uczynić jakikolwiek inny kraj.

Przechodząc z kolei do dzisiejszych stosunków Sokołów stwierdził, że „obecnie stosunek (Polski do Żydów) jest względnie pomyślny. Sądzę — mówił Sokołów — że ten politycznie pomyślny stosunek bardziej odpowiada tradycjom Polski i ma głębsze korzenie w dziejach i w geniuszu narodowym, niż przeciwnie tendencje prostactwa, które znajdują wyraz w krótkiej formule: „Żydzi odpowiedzialni są za wszystko co złe”.

„Rząd polski — oświadczył dalej Sokołów — złożył mi oświadczenie na rzecz sjonizmu, które stanowi godny przyczynek do deklaracji Balfoura. Polska niejednokrotnie w ramach ustawy i ducha pokojowego pomagała nam w Genewie... To co chcemy tu stwierdzić z satysfakcją, jest, że rząd polski jest przeciwny pogromom, akcjom antysemickim, jest za pokojowym rozwojem”.

Zaraz jednak Sokołów powiedział: „Nie znaczy to, że Żydzi polscy nie powinni już walczyć o swe prawa mniejszości i emancypację... Jest właśnie nakazem i koniecznością, aby nasi współbracia w Polsce kontynuowali swą legalną walkę”.

Następny numer ukaże się dokładnie 15 września i będzie bogato ilustrowany. W obecnym numerze nie mogliśmy zamieścić ilustr. ze względów technicznych.

Pokwitowanie.

„Potwierdzam niniejszem odbiór kwoty XX od p. N. N. otrzymanej tytułem „Schweiggeldu”, abym nie pisał o... (tu następował dokładny opis wypadku).

Bywało, że Jan Balamucen bawił się akwizycją i zbierał ogłoszenia. Pojawiał się wówczas w upatrzonej firmie i proponował by „w jego poczytnym piśmie chciała się we własnym dobrze zrozumiałym interesie, ogłaszać”. I biada znów temu, czyja inteligencja nie dorastała zrozumienia własnego interesu! „Sztandar” lub „Strażnica” zamieszczały bo wiem podówczas:

Ostrzeżenie.

„Ostrzega się kupującą publiczność przed sklepem X. X. Jak bowiem nam donoszą z szerokiej kół naszych czytelników, zakupiony tam cukier wykazał X% gipsu itd.

Taka to była prasa, takie to były lokale literackie. Lecz było jeszcze „Piekielko” przy ul. Krakowskiej. Tam „dolewała” literatura lwowska, ale już późno nocą, po „fajrancie”. Na niem kończył się stale każdy wesoły wieczór dawnego lwowskiego literata.

TADEUSZ OLSZAŃSKI.

Z kolei Sokołów przeszedł do omówienia gospodarczej sytuacji Żydów polskich i powiedział: „Ciężkim kryzysem gospodarczym Żydzi polscy bardziej zostali dotknięci niż nie — Żydzi. 70 proc. nie — Żydów trudni się rolnictwem. Dla tych ostatnich kryzys sprowadza się do spadku cen artykułów rolnych. Włocławianin, który posiada n. p. 30 morgów ziemi ma znacznie mniejsze dochody, niż w czasach normalnych, lecz nie cierpi głodu, ma dosyć żywności dla siebie i rodziny. Nie może sobie kupić butów i chodzi w podartych. Ale stan jego posiadania nie zmniejsza się, ziemia pozostaje nadal jego własnością. Cierpi on i musi zrezygnować z zaspokojenia niektórych potrzeb. 20 proc. ludności nie — żydowskiej jest na służbie państwowej w różnych przedsiębiorstwach. Płace ich są skąpe, odżywiają się oszczędnie, lecz mają na utrzymanie... Niektórzy mają pewne dochody uboczne. Cierpią, lecz trzymają się jakoś na powierzchni. Zbędne jest dodawać, że wielcy właściciele ziemscy nie stracili swych majątków. Interesy są kiepskie... ale wiążą koniec z końcem.

„Natomiast dla Żydów — oświadczył Sokołów — kryzys jest katastrofą, która niema sobie równej”.

Tyle o Polsce.

Mówiąc o Rosji Sokołów powiedział: „Sjonizm nie uprawia żadnej polityki w stosunku do Rosji, jego zainteresowania leżą na innej płaszczyźnie... Zachowując pełny szacunek dla państwa Sowieckiego, nie wolno wszak zapominać, że każde państwo jest cembrem, co może być założone i zniesione”.

Mówiąc o Niemcach Sokołów oświadczył: „Niezlomna wierność Żydów niemieckich i ich przywiązanie do państwa niemieckiego, kultury, języka niemieckiego są tak szczere, iż nie wymagają zapewnienia. Nietylko Żydzi niemieccy, lecz Żydzi na całym świecie żywią przyjaźń dla narodu niemieckiego”.

Aby mieć obraz tych dwu ostatnich oświadczeń trzeba przypomnieć, że Sokołów — mówiąc o stanowisku Żydów wobec Rosji i Niemiec — stwierdził straszliwe prześladowania żydostwa w obu tych krajach. O Polsce Sokołów wyraził się z uznaniem, ale widocznie w konsekwencji tego wysunął żądania i skargi...

Przewódca sjonistów Nahum Sokołów

Dział Kobiety.

Technika aplikacji jest prosta i łatwa i przy umiejętnym zastosowaniu daje efektowne wyniki. Sztuka polega na tym, iż na jeden materiał, stanowiący tło, naszywa się drugim materiałem, płaszczyznowy rysunek.

Aplikować można różnemi materiałami, począwszy od najdelikatniejszych aż do najgrubszych, jednak nie materiałami ciągliwymi, gdyż po naklejeniu, materiał ściągają się i kurczy, tworząc nieładne pofałdowania.

Aplikacje mogą być miękkie i podlepane. Pierwsze są artystyczniejsze i delikatniejsze, drugie zawsze sztywniejsze. Miękkie aplikacje polegają na naszywaniu wyciętego wzoru i materiału bez posilkowania się podlepaniem. Przed przyszytciem konieczna fastryga. Podklejane aplikacje polegają na podklejeniu bibułki. W tym celu rozpinamy materiał na desce, nie naciągając go zbyt mocno, na co nakleja się zwykłą białą bibułkę, zwilżoną cienką warstwą kleju. Robota ta musi być czysta i staranna, gdyż bibułka nie śmie mieć najmniejszych zmarszczek.

Po dokładnem wyschnięciu zdejmujemy się materiał z deski i wycina się wzór, na odbitej z prawej strony materji, poczem wycięte części naszywa się na tło według odbitego rysunku.

Dalsze wykończenie aplikacji jest już rzeczą indywidualną.

Lalki są nie tylko miłą zabawką dla dzieci, ale stanowią modną i piękną ozdobę mieszkaniową. Figurynki pierrotów, arlekinów, markiz, tancerek, murzynków, czy krasnoludków, porozmieszczane umiejętnie w buduaru, ożywiają niezwykle najbanalniejszy nieraz pokój. Robi się je z resztek materiałów nanie nieprzydatnych: z aksamitu, jedwabiu, tafty, sukna, płótna i t. p.

Lalki sporządza się jednakowo. Zmienia się tylko fason, wielkość i materiał, z jakiego robimy korpus.

Aplikacje i lalki.

Ażeby przystąpić do roboty, trzeba mieć: nową surówkę, mocne, białe nici, długą igłę, sznurek, tekturę, farbę, bawełnę mouliné do haftowania oczu, nosa i ust i krepinę na peruczki w dowolnych kolorach.

Formę lalki, którą chcemy zrobić, wycinamy dokładnie z papieru, przypinamy do surówki i otrzymujemy kontur. Następnie zszywamy kraje maszynowo, lub ręcznie, ale bardzo gęsto i mocnymi ściegami, zostawiając otwór niezaszyty, ażeby można było odwrócić szwy do środka. Woreczek taki skrojony i zszyty na miarę danej figury napychamy następnie suchymi trocinami i mocno ubijamy. Duże lalki można napychać wiorami, uważając, żeby nie było drzazg. Nogi i ręce napychamy watą. Jeżeli chcemy, ażeby nogi i ręce się zginały, przesywamy stebnowką w miejscu kolan względnie łokci.

Przy robieniu nóg należy zszyć boki, pozostawiając stopę niezasytą. Podeszwy z tekturki obszywamy surówką i przymocowujemy okrętką. Tak ręce jak i nogi przekuwamy nawyłot grubą igłą i przesywamy mocnym sznurkiem dwa razy, poczem wiążujemy z sobą oba końce, tak jednak, by lalka mogła poruszać rękami czy nogami. Główkę wpuszczamy w tułów, nadając jej dowolne położenie i przyszywamy grubymi nićmi. Dla zrobienia ładnej lalki najlepiej kupić główkę już gotową. GłóWKi te są wprawdzie kosztowniejsze, ale zato efektowniejsze.

Stosując się do modelu, możemy lalkę dowolnie zwiększać, lub zmniejszać zachowując jednak proporcje.

Panie, które te robotki interesują, mogą się z techniką roboty lalek zapoznać w zeszycie „Lalki” wyd. „Modne roboty kobiece — Bluszcz” Warszawa. Zeszty takie widziałam na składzie w księgarni T. S. L. we Lwowie ul. Batorego 32.

Czy kobieta ma być szczupła czy pulchna.

Oto ankieta, która zapewne nie będzie moim miłym Czytelniczkom obojętna! Jaka kobieta, pulchna czy szczupła, bardziej podobna jest mężczyznom? O jakiej marzą panowie — kiedy puszczają wodze wyobraźni i serca?...

W tej ciekawej ankiecie mamy parę miarodajnych sądów, przytoczmy je w całości. A więc przedewszystkiem zdanie Jacquin Feydera, słynnego metteur-en scène, którego świetna inscenizacja Atlantydy i tyłu innych filmów uczyniła znanym na świat cały. Odpowiedź jego stanowi po części niespodziankę i zdawałoby się, znając głoszenie się o codzienne ważenie star hollywoodzkich, że Feyder jest również za szkieletową urodą kobiet. Przeciwnie!

Opinia J. Feydera

„Moim ideałem — powiada wielki ów artysta — jest kobieta silna, zdrowa i niepozbawiona niewieścich kształtów. Ten gust tłumaczyć można moim flamandzkim pochodzeniem, wzrosłem mając przed oczami arcydzieło Rubensa, Breughelsa i innych mistrzów, którzy kochali się w pięknych, rozkwitłych kobiecych formach.

Naturalnie, trzeba przeprowadzić linię demarkacyjną pomiędzy kobietą plastycznie zarysowaną i pełną kobietą. Dawny haremowy ideał tureczki nie odpowiada nawet flamandzkim gustom. W Turcji, panna mająca wyjść za mąż była specjalnie tuczona. Przed kuracją odżywcza zawiązywano jej jedwabną nitkę powyżej ręki i przy kostce; kiedy nitka zniknęła w fałdach tłuszczu — kuracja była skończona i rezultat osiągnięty!

Kobiety głodzące się, żeby podobać się mężczyznom popełniają błąd, najlepszym tego dowodem jest wielkie powodzenie najnowszej star amerykańskiej, May West, która zrobiła prawdziwą sensację w filmie „Lady Lou”. Waży ona siedemdziesiąt kilo!... a pomimo to nie jest tłusta. Przeciwnie, jest ona prześlicznie zbudowana, tęża zdrowiem i siłą i ilustruje doskonale wszystkie powaby i wdzięki kobiecego ciała”.

Co o tem myśli Yvonne Printemps?

Yvonne Printemps, jedna z najślawniejszych artystek sceny paryskiej, która ostatnio wystąpiła w sztuce Bersteina: „Szczęście” (Le bonheur), ma odwagę wypowiedzieć swoje zdanie, rzucając tem rękawicę zarówno wielkim couturierom (czyli firmom krawieckim) jak i słynnemu Antoine'om (inaczej mówiąc fryzjerom).

— Muszę przyznać — powiada — że nie znoszę chudego ciała; kobieta w typie „garconne” jest dla mnie czemś dziwnym. Nigdy nie przyszła mi myśl obcięcia włosów. Kobieta zdaniem moim, powinna zostać kobietą i starać się nie tylko nie zabierać, ale podkreślać cechy właściwe swej płci. Powinna nie być ani chuda ani pełna — ale w miarę.

To mówiąc wielka artystka, która tak po mistrzowski odtworzyła rolę Mozarta, spogląda w lustro, jakby chcąc się upewnić, że posiada właśnie tę „idealną miarę”.

Istotnie, jasno — popielata suknia uwypatnia jej harmonijne kształty, składające się na pełną elegancję młodości sylwetkę.

obejmujące całe okręgi. Tych ostatnich — wedle statystyki z r. 1929 — jest w Polsce 22 o łącznej mocy maszyn wytwórczych około 20.7 tys. KWh i produkcji około 600 tys. KWh. Do ważniejszych tego rodzaju przedsiębiorstw należą Górnośląskie Zakłady Elektryczne (O. K. W.), Elektrownia Okręgowa w Zagłębiu Dąbrowskim, Elektrownia Okręgowa w Zagł. Krakowskim, Zjednoczenie Elektrowni Okręgu Radomsko-kieleckiego, Podkarpacie Towarzystwo Elektryczne, Elektrownie Okr. Warszawskiego, kujawska Elektrownia Okr. w Włocławku, Pomorska Elektrownia Krajowa w Gródzku i inne.

Czy Polska posiada dostateczne zasoby surowców energetycznych i w jaki sposób można zrealizować elektryfikację całego kraju?

Produkcja energii elektrycznej w Polsce jest i będzie zdana w ogromnej większości na węgiel kamienny, jako paliwo, którego mamy za wiele i którego zbyt na rynku wewnętrznym musimy popierać wszelkimi sposobami. W razie jednak wojny węgiel ten znaleźć się może w niebezpieczeństwie, ostrożność zatem nakazuje oprzeć się możliwie jaknajwięcej na innym źródle produkcji energii elektrycznej, które położone jest w głębi państwa. I tutaj rozporządzać możemy węglem brunatnym, ropą, gazem ziemnym, torfem i siłą wodną. Znane i zbadane zapasy węgla kamiennego w całym Zagłębiu Śląsko-Dąbrowsko-Krakowskim wynoszą kilkanaście milionów tonn. Węgiel brunatny rozrzucony jest na południu i zachodzie Polski, na Podolu i Polesiu oraz w wojew. kieleckim, warszawskim, poznańskim i pomorskim. Eksploatacja węgla brunatnego jest nader słaba. Zapasy ocenione są na ok. miliard tonn. Zasoby ropy na całym Podkarpaciu wynoszą 160 milionów tonn. Gaz ziemny utrzymuje się na dość stałym poziomie, co przy wielkiej wartości opałowej gazu określić można jako pół miljarde KWh. Torfowiska zajmują u nas 820 okazy, czyli około 3 milionów ha. Najwięcej, bo 38% torfu znajduje się na Polesiu po 11%, w woj. nowogrodzkiem i białostockim, w wileńskim i wołyńskim 10%, pozatem zaś w woj. warszawskim, pomorskim i lubelskim. Przewidywany zapas torfu wynosi około 2,4 miliony tonn, co stanowi około 400 do 600 milj. KWh. Niestety oddalenie torfowisk od ośrodków aktualnie zainteresowanych w elektryfikacji czyni ich wartość mniejszą. Jeżeli wreszcie idzie o siłę wodną to na pierwszym miejscu znajdują się zlewiska Wisły, Prutu i Dniestru, spływających z Karpat. Pewną rolę odegrać tu mogą dopływy Warty i Wisły na Pomorzu oraz Niemnem. Wartość siły wodnych wynosi ok. 3,6 milj. K. W. h.

Projekt racjonalnej elektryfikacji Polski, opracowany przez Polski Komitet Energetyczny przyjmuje, że w r. 1935 potrzebna będzie moc 1,336,000 KWh i praca 5650 milj. KWh, w r. 1950 moc 4,334,000 KW i praca 47,680 milj. KW.

Projekt wspomniany przewiduje, że w r. 1935 będą wybudowane linie przesyłkowe bardzo wysokiego napięcia, łączące Zagłębie Węglowe z Warszawy przez Łódź, z Warszawy przez Radom, linia wzdłuż Małopolski od Zagłębia Węglowego poprzez Zagłębie Naftowe z odgałęzieniem do Lwowa i wreszcie linie Kalisz-Poznań-Pomorze. Lata, w r. 1965 moc 10,790,000 KW i praca 47,680 milj. KW 1950 i 1965 miałyby przynieść pokrycie coraz gęstszymi liniami południowo-zachodnich dzielnic Polski. Przeciwnie temu projektowi wysunęły się, zdaniem naszym, słuszne zastrzeżenia, aby nie uzależniać tak ściśle centralnej Polski od okręgowych elektrowni na granicach zachodnich, co może narazić nas na ewentualne niespodzianki i szkody, ale aby równolegle budować także elektrownie w woj. centralnych choćby to było połączone z trudnością dowozu węgla.

Jakie sumy pożarłaby realizacja tego gigantycznego projektu? Ściśle nie da się to oczywiście określić. Istnieje jednak kosztorys, opracowany w Min. Przem. i Handlu dla niezbędnych robót w zachodnich dzielnicach Polski w najbliższych 10 latach. Koszt tego planu obejmuje sumę 138 milionów zł. Wynika z tego, że trzeba by skromnie około 14 milj. zł. na pokrycie robót tylko w części kraju. Daje to przedsmak olbrzymich sum, jakie są konieczne dla zelektryfikowania Polski.

Znalezienie potrzebnych pieniędzy staje się więc zagadnieniem centralnem całej sprawy. Są na to dwa sposoby: albo zaangażowanie jakiegoś wielkiego przedsiębiorcy, który wniósłby do Polski swoje kapitały i wykonał prace wzamian za od-

Dział gospodarczy.

Zagadnienie elektryfikacji Polski stało się u nas z chwilą rozbudowy własnej państwowości problemem ogólnopolskim, nie tylko kulturalnym, ale przedewszystkiem gospodarczym i militarnym. Nie ulega wątpliwości, że sposób rozwiązania tego problemu zadecyduje w ogromnej mierze o kierunku i rozwoju gospodarczym Polski, o jej stanowisku w świecie. Nic więc dziwnego, że nad sprawą elektryfikacji Polski toczy się ożerna dyskusja, ścierają się poglądy tembardziej, że zagadnienie to łączy się ze sprawą kapitałów, w które, jak wiadomo, zasobni dostatecznie nie jesteśmy.

Bardzo interesujące na ten temat uwagi wyłożył inż. Stanisław Gąsiorowski w ostatnim kwartalniku „Ekonomisty”, dając przegląd sytuacji na odcinku elektryfikacyjnym i rzucając szereg związanych z nią kwestyj pod uwagę.

Elektryfikacja Polski.

Bardzo znamienne są przedewszystkiem dane faktyczne. Biorąc za podstawę 32 milionów ludności, produkcja energii w Polsce w r. 1929 wynosiła 94 KWh na mieszkańca, zaś w r. 1932 69 KWh. Stosunek ten ma ogromne różnice w rozpiętości na poszczególnych terenach państwa. I tak na Śląsku w r. 1929 zużycie na jednego mieszkańca wyniosło przeszło 1500 kilowatogodzin, gdy w woj. tarnopolskiem nie osiągnęło... jednego KWh. Zestawienie to wydaje się wprost nieprawdopodobnem i znamionuje różnice potrzeb i kultury w Polsce.

Istnieją w Polsce, jak wiadomo, elektrownie prywatne i publiczne. Te pierwsze rozumiemy w ten sposób, że wytwarzają energję na użytek wewnętrzny zakładu przemysłowego, którego stanowią część integralną. Zakłady publiczne wytwarzają energję bądź na potrzeby lokalne, bądź na szersze

danie mu monopolu dostawy prądu, albo koncentracja istniejących przedsiębiorstw. Ta druga oczywiście koncepcja odpowiada interesom Polski w bez porównania większym stopniu, niż pierwsza. Uzależnianie się na odcinku elektryfikacyjnym od obcego kapitału jest niebezpiecznym i wręcz nie

do przyjęcia procederem nie tylko gospodarczym, ale i politycznym.

Toteż tylko drugi projekt nadaje się do dyskusji. Przemawia za nim szereg argumentów, których tu nie będziemy szerzej rozwijać, do których jednak może w przyszłości wrócimy. Jedno jest jednak

pewne, że przed Polską w zakresie elektryfikacji stoi olbrzymie zadanie, które w ten czy inny sposób musimy rozwiązać jeżeli chcemy nadążyć za krajami cywilizowanymi i jeśli nasze ambicje mocarstwowe nie mają pozostać frazesem.

Dr. G. B.

Józef Bieniasz.

Miś karpacki, o którym mowa, wielki bandyta i postrach polonin, urodził się w Czarnohorze. Nie był wtedy większy od królika, nic też nie wskazywało nato, że z niego wyrośnie kiedyś niebezpieczny rabuś.

Przyszł na świat ślepy, jak wszystkie niedźwiedzie i ujrzał światło dzienne dopiero po upływie pięciu tygodni. Wtedy też zapoznał się ze swoimi czterema braćmi, małemi, niezdarnymi czworonogami, obrośniętymi króciutkim, srebrno-szarem futerkiem, o głosie płaczącym, dziecinny, choć niezwykle silnym.

Rodzinne legowisko mieściło się w rozpadlinie skałnej, zasłoniętej zewsząd od wichrów i było starannie wysłane gałęziami smereczyny, liśćmi i mchem. Szczególnie mchu nagromadziły troskliwe łapy starej niedźwiedzicy tak dużo, że cała rodzina tkwiła całkowicie zagrzebana w tym puszystym posłaniu, nie wystawiając nosa na świat boży, gdzie panowała luta zima i srożyły się śnieżne nawałnice.

Dzisiejszemu rabusiowi było jednak ciepło. Przytulony wraz z braćmi do kudłatego ciała matki, nie mógł wiedzieć, że inne leśne zwierzęta cierpią w tym czasie głód, że na każdym kroku czyhają na nie liczne niebezpieczeństwa, lub że zgoda od mrozu marzną. Nie wiedział też, jak wygląda śnieg, bo zwisający nad gniazdem jak parasol potężny cypel skalny, chronił doskonale przed wszelkimi opadami i śnieżną kurzą.

Raz tylko luby jego sen przy boku matki zakłócił niespodziewany napad stada wilków. Zgłodniałe zbójce leśne, zmiarkowawszy, że w przytulnej szczelinie skalnej leży w śnie pogrążonych kilka tłustych bezbronnych ciałek młodziutkich niedźwiedziąt, wtargnęły nocą aż do ich jaskini.

Ale wtedy stała się rzecz straszna. Pozornie w głębokim śnie zimowym pogrążona matka, podniosła się błyskawicznie z posłania i wydawszy groźny ryk, runęła na atakujących, tratując potężnymi łapami dwóch najbliższych śmiółków. Reszta pierzchała. Wtedy stara, wyszedłszy na skraj rozpadliny, przysiadła na ogonie, nasłuchiwała cierpliwie i długo węszyła, upewniając się, czy napastnicy nie ponowią odwiedzin i dopiero po kilku godzinach wróciła do swej kryjówki.

Z nastaniem wiosny ruszył i mały niedźwiadek z matką i braćmi w lasy, by szukać żeru. Stara zjadała się z wielką lubością kwaśnym mchem, ale on wołał korne, soczyste zioła, główki polnych kwiatków, lub w najgorszym razie młode pączki krzewów. Gdy się całkiem ociepilo delektował się ślimakami i gąsienicami. Znajdował je w wielkiej obfitości pod korą drzew, kiedy się legły białe larwy, nadzwyczaj smaczne dla podniebienia. Matka nauczyła go też wpychać język w mrowisko, by następnie pochłaniać dziesiątkami wielkie mrówki, które zamiast uciekać, oblażyły niebacznie gromadami jego niedźwiedzi jezor.

Lubił też bardzo leśne jagody a już najbardziej słodkie, wonne maliny. W tym celu usadawiał się z rodziną w gęstym maliniaku; nasładował matkę, przysiadł wygodnie na ogonie, żeby się jak najmniej męczyć przy uczcie, poczem zjadał jagodę po jagodzie, pomrukując z okrutnego zadowolenia. Z czasem nauczył się także zrywać leśne orzechy i dobierać się do smacznego mięsuzu, zjadać ptasie jaja a nierzadko upolować drzemiącego w gnieździe ptaszka.

W lecie zapuszczał się w swych dalekich wędrówkach także w doliny, kiedy rosły dojrzewające zboża. Tu przysiadł tak samo jak w maliniaku i zjadał się łakomie młodem ziarnem. Gatunek zboża był mu całkiem obojętny. Wszystko smakowało nadzwyczajnie, byle się tylko najeść dosyć.

Ale za miodem przepadał i żadne pożywienie nie mogło mu zastąpić tego nieporównanego przysmaku. Stara niedźwiedzica, oprowadzając go wraz z resztą dzieci po lesie, przysiadła często, lub podnosiła się na tylnych łapach, węsząc uważnie i ze zwaństwem. W tym względzie wąż jej nigdy nie zawodził, bo miód wyczuła już na 30 kroków. Jeśli natrafiono na pasiekę, wiedziała od razu i z całą dokładnością, w którym pnium znajduje się najwięcej miodu i dobierała się doń z największą łatwością przez niewinne uderzenie pnia potężną łapą.

Znacznie gorzej było z leśnymi pszczołami, legnąciami się w dziuplach drzewnych, nieraz wysoko nad ziemią. Stara wdrapwała się na pień ze zwinnością o tak

a młody miś z rodzeństwem za nią i dobierano się do słodkiego gniazda, ryzykując nawet upadek, gdyż wiadano z doświadczenia, że upadek nawet ze znacznej wysokości nie jest dla niedźwiedzia przykry a w każdym razie nigdy zdrowiu nie zaszkodzi.

Zdobycie miodu w dziupli nie przychodziło jednak z taką łatwością, jak w zwyczajnych, przez ludzi wybudowanych ulach.

Na widok kudłatych intruzów, dobierających się do ich gospodarstwa, wylatywały z dziupli całymi gromadami pszczoły—robotnice, obsiadały rojem łakomie wystawione mordki, łby i łapy i cięły bezlitośnie bolesnymi żądłami.

Miś ryczał wtedy z bólu, który był okropny. Ryczała także reszta pokąsanego rodzeństwa a nawet napozór obojętna na ból matka. Otrząsano się, opędzano łapami, zagryzano nieznosne maleńkie stworzenia pyskami, wszystko nadaremnie, bo z dziupli wylatywały coraz nowe zastępy zaciekle bojowniczek i walczyły nieustraszenie.

Wtedy rabuś uciekał, albo wprost spadał z drzewa i pędził wraz z resztą do potoka, gdzie się zanurzał po uszy, żeby sobie ulżyć w nieznosnym bólu. Z braku wody tarzano się, czuchrano o drzewa, lizano obolałe łapy, ale chęć zdobycia nad wszystko lubianego miodu była tak nieprzeparta, że mimo wielkiego opuchnięcia — wracano zpowrotem ku wymarzonej dziupli, która choć zaciekle broniona, musiała się w końcu stać łupem gromady łakomeczuchów.

Usamodzielił się dopiero w czwartym roku życia. Przez jakiś czas trzymał się jeszcze wciąż w pobliżu rodzinnego gniazda, żeby mieć w razie pluty wygodne i pewne schronisko, ale nabrawszy samopoczucia i wielkiej pewności siebie, rzucił precz ojczyznę i powędrował het w dalekie światy.

Znał już wszelkie arkana, jak zdobywać żer i umiał wybornie pływać i nurkować, wiedział nawet jak łowić nieostrożne ryby podczas tarła, penetrował za wincierzami, zastawionymi na nie w rzekach lub jeziorach, gdyż tam znajdował bez zbytniego trudu nadmiar smacznego pożywienia a że nabrał okrutnej siły, był pewny, że da sobie we wszystkim radę. Wąż miał świetny, słuch tak doskonały, że już na 150 kroków słyszał podejrzany szmer, lub trzask łamanej gałęzi, słowem, natura obdarzyła go wszelkimi warunkami do samostnego życia.

Miś był wspaniałym okazem. Rozrósł się, roztył, i ważył pewno ze dwa cetnary. Zdobilo go wspaniałe, gęste futro, o włosie dłuższym koło pyska, na karku i tylnych łapach a krótszym na reszcie ciała. Ponadto zdobył go piękny, biały kołnierz dokoła szyi.

Jak wszystkie niedźwiedzie, ruszał się pozornie ociężale, ale w potrzebie umiał zmykać z błyskawiczną szybkością. Spłoszony, pędził pod górę, jak wicher, w czym mu pomagały znakomicie dobrze rozwinięte, tylne nogi, dłuższe, niż przednie, zato z góry schodził powoli i niezdarnie, w obawie, żeby się nie stoczyć przez głowę.

Z usposobienia był flegmatykiem. Nie spieszył się nigdy. Miał czas. Cechowały go beztroska, dobry humor i dobroduszość. Był natury otwartej, bez fałszu i chytrości. Nie wiedział, co podstęp, ale mimo dobroduszości, był roztropny i rozumny. Choć groźnej postawy i niesamowitej siły, miał w sobie cechę szlachetności i coś, co wzbudzało mimowoli zaufanie. Głodny, nie ruszył przecie padliny. Mięso jadł zresztą naogół niechętnie, smakując najbardziej w pokarmach roślinnych.

Człowieka bał się z całej swej niedźwiedziej duszy, wyczuwając w nim instynktownie szczególnie niebezpiecznego przeciwnika. Tej jednej istocie, chodzącej w sposób dlań mocno podejrzany, bo tylko na dwóch łapach, niedowierzał. Gdy na swej drodze napotkał przypadkiem ludzkie ślady, oglądał je bacznie, obwąchiwał, śledził ich kierunek a zmiarkowawszy, że prowadzą na prawo, sam odchodził precz w lasy w stronę wręcz przeciwnie. Kiedy się raz natknął na żywego człowieka oko w oko, wydał potężny ryk niezadowolenia i rzucił się natychmiast do ucieczki.

Przy swoich codziennych obchodach był bardzo ostrożny i starał się iść zawsze jak najciszej, co kilka kroków przystając i bacznie nasłuchując. Jeśli go doszedł podejrzany szmer, uciekał, lub z ciekawości przystawał, miarkując, czy to być mogło. W tym celu przysiadł na

Karpacki Miś.

ogonie albo podnosił się na tylnych łapach, strzygł uszami, kręcił głową i patrzył nieufnie w gąszcz leśny.

Z nastaniem jesieni bywał coraz częściej głodny. Jagody już dawno przeszły; orzechy wyjadły łakome wiewiórki a żołędzie dziki; lasy stały wyjałowione, gdyż i mrówek znajdował coraz mniej, zaś korzenie roślin były o tym czasie niesmaczne i łykowane. Jadł przecie, co mu w pysk wpadło, choć tem głodu nigdy nie nasycił. Silny organizm potrzebował obfitego pożywienia, które trafiało się coraz rzadziej, albo nie trafiało się wcale.

C. d. n.

Nowości wydawnicze.

BIULETYN TYGODNIOWY NOWOŚCI otrzymanych na skład przez centralę dla biblioteki Księgarni Tow. Szkoły Ludowej, Lwów, Batorego 32).

BIELSKI WŁODZIMIERZ: „Oto Prusy“. Karty z księgi niedoli ludności polskiej w Prusach Wschodnich Poznań. Nakładem Związku Obrony Kresów Zachodnich Str. 90. Cena 3 zł.

BIENIASZ JÓZEF: „Maturanci“. Lwów—Kraków. Księgarnia T.S.L. str. 332, 6 zł.

BYSTRON JAN St.: „Przysłowia polskie“. Kraków. Akademia Umiej. Str. 210+260. 8 zł.

BIGGERS EARL Derr: „Czarny wielbłąd“ przeł. St. Walski. Lwów, Biblioteka Kresowa. Str. 272. 6 zł.

COURTS-MAHLER J.: „Sprzedane dusze“ przeł. Eugenja Solska. Warszawa, Cukrowski II. t. w jednym. Str. 284. 6 zł.

ĆWIERCIAKIEWICZ STANISŁAW: „Przeklęta“. — Warszawa, Biblioteka. str. 330. 6 zł.

FARNOL JEFFERY: „W pogoni za młodością“ przeł. Felicja Zielińska. Lwów, Biblioteka Kresowa. Str. 320. 7 zł. 50 gr.

GOJAWICZYŃSKA POLA: „Powszedni dzień“. — Z przedmową Ign. Matuszewskiego. Warszawa. Rój. Str. 214—2 nlb. 5 zł.

GOSTOMSKA ZOFJA Nałęcz: „Echa staropolskie kniei“. Lwów. Zakł. Nar. im. Ossolińskich. Str. 96 2 zł. 50 gr.

HALL RUDCLIFFE: „Źródło samotności“ przeł. Dr. J. P. Zajaczkowski. Z przedmową Ireny Krzywickiej. Warszawa, Rój. str. 404, 10 zł.

IBANEZ BLASCO: „U stóp Venus“. przeł. Dr. J.P. Zajaczkowski. Warszawa, Rój. str. 354—2 nlb. 9 zł.

KÄSTNER ERICH: „Fabjan“. Warszawa. J. Przeworski. str. 268+4 nlb. 6 zł.

KESTEN HERMAN: „Szarlota“, przeł. Kazimierz Bukowski. Lwów—Warszawa. Globus str. 266+6 nlb. 7 zł.

KŁOSOWSKI JÓZEF Nikodem: „Tańcząca karaczma“. Kraków. Wydawnictwo Literacko-Naukowe. str. 184. 5 zł.

KUCHARZEWSKI JAN: „Rządy Aleksandra III.“ (Od białego caratu do czerwonego, t. VI). Warszawa. Kasa Mianowskiego. str. 4 nlb. — 522. 18 zł.

MAURIAC Fr.: „Rodzina Frontenac“. Warszawa. Płomień. str. 240. 6 zł.

NAPIERSKI STEFAN: „Rozmowa z cieniem“. Warszawa. Rój. str. 268 — 4 nlb. 5 zł.

PASZKIEWICZ HENRYK: „Jagiellonowie a Moskwa“ t. I. Warszawa. Fundusz Kultury Narodowej. Str. 2 nlb.—454. 12 zł.

PIOTROWSKI ROMAN: „Kartele i trusty“. Warszawa. Kasa Mianowskiego. str. X—358—2 nlb. 18 zł.

RITTER H. kpt. szt. gen.: „Wojna powietrzna“. Warszawa. Wojsk. Instytut Naukowo-Wydawniczy. Str. X — 214. Z tablicami. 10 zł.

SAMOZWANIEC MAGDALENA: „O dowcipnym mezu dobrej Ludwika“. Warszawa. Rój. Str. 218—6 nlb. 5 zł.

SEWER (Ignacy Maciejowski): „Wydzieńczone“. Warszawa. Księgarnia Popularna. str. 4—nlb. 212. 4 zł.

SOCHANIEWICZ K. Dr. „Herb miasta Lwowa“ (Bibl. Lwowska t. XXXIII.) Lwów. Tow. Miłośn. przeszłość Lwowa, str. 80 6 zł.

SZAWLESKI MIECZYSLAW: „Quo Vadere“ — Warszawa. Zakład. Graf. Koziańskich. str. 226—2 nlb. 4 zł. 50 gr.

WASSERMANN JAKÓB: „Bula Materi — Życie Stanleya“. przeł. K. Bi. Warszawa. Rój. str. 369—3 nlb. 10 zł.

WRZOS KONRAD: „Okno w okno z kryzysem“. Reportaż z podróży po Polsce. Warszawa. F. Hoesick str. 378—3 nlb. 10 zł.

ZWEIG STEFAN: „Marja Antonina“. Z ilustr. Warszawa. J. Przeworski. str. XII—500. 15 zł.

Skonfiskowano

Rady praktyczne.

KOSMETYKA I OSZCZĘDNOŚCI PRAKTYCZNEJ PANI

Są to przecież tylko drobne sumy w budżecie każdym domowym, które wydajemy na kosmetykę: kremy, pasty, eliksiry. Obroty jednak temi artykułami w kraju całym obliczone stanowią pozycję kilkudziesięciu milionów.

Nie jest więc rzeczą obojętną, — z ogólnego, państwowego punktu widzenia patrząc na tę sprawę, — jaki kupujemy produkt, polski czy zagraniczny. Trzeba wiedzieć, czy złotówka nasza idzie zagranicę lub do kieszeni obcego kapitalisty, czy zostać ma w kraju.

Bo powinna, bo musi zostać w kraju.

I te drobne rączki, które wydają złotówki polskie za kosmetykę pilnie śledzić winny, czy nie wyrzucają pieniędzy zagranicę. Wszak sprzedawca zawsze przedstawi do wyboru szereg produktów różnych marek, lecz kupujący sam się musi orjentować w wyborze marki krajowej, polskiej.

Hasło nabywania i popierania wytwórczości krajowej sprawiło, że kupiectwo polskie zaopatruje się chętnie w artykuły krajowe, zwłaszcza że są one lepsze i tańsze od zagranicznych. Jednak krzykliwa, hałaśliwa kosztowna reklama firm obcych napędza bezkrytycznych odbiorców wyrobem zagranicznym i kupiec polski często jest bezradny, sprzedając z konieczności towar obcy.

A przyznać należy, że znakomite wyroby kosmetyczne polskie zdobywają sobie uznanie zagranicą również, jak to ma miejsce z wyrobami całkowicie polskiej firmy Antiba (Skład główny Ludwik Spiess i syn). Jej „Dentosan”, mydełka te same nazwy są niedoścignionej jakości artykułami chętnie poszukiwanymi przez konsumentów.

Gdy jakość naszych wyrobów krajowych nie ustępuje, a nawet przewyższa wyroby obce, duma narodowa nie powinna pozwolić na używanie innych produktów i względnie wywołanie pieniędzy do obcych powinien również przypomnieć, że obok oszczędności indywidualnej jest jeszcze oszczędność narodowa, zbiorowa.

Taką oszczędność powinniśmy mieć stale na uwadze.

Fasolka zielona.

I. sposób: Zieloną szparagową fasolkę oczyszcza się z nitek i końców. Zagotowuje się ocet, na wrzątek ten rzuca się fasolkę i zaraz odstawia; zostawia się pod nakryciem, aby fasolka wystygła. Po ostudzeniu odciedza się wykładając na sita, aby obeschła i składa się do słoju. Ocet, w którym fasolka się zagotowała, zagotowuje się z korzeniami, t. j. z pieprzem angielskim i liściem bobkowym, soli się i zimnym już zalewa się fasolkę w słoju; w zimie fasolkę tę zagotowuje się w wodzie, kraje w ukośne paseczki i zaprawia jak świeżą.

II. sposób: Młodą fasolkę obraną z nitek, płukaną i osuszoną soli się, tj. układa się ciasno w słoiczku, przysypując warstwą soli, następnie znów warstwą fasolki i t. d. Po wierzeniu należy zalać roztopionym tłuszczem baranym bardzo szczelnie. Przed użyciem fasolkę należy opłukać z soli.

O suszeniu jarzyn.

Myśleć o przechowywaniu jarzyn na zimę powinny przede wszystkim panie, mieszkające na wsi lub na prowincji w małych miasteczkach, gdzie przez długi okres zimowy niema możliwości nabycia świeżych jarzyn ani warzywa. Suszyć i konserwować należy nie tylko w jesieni, ale poczynając od wczesnego lata, bowiem młode jarzynki są najbardziej aromatyczne. W mieście rzadko się opłaca robić większe zapasy konserwowanych jarzyn, trudno tu o zakupy tańsze, z pierwszej ręki, ze źródła: gospoście więc nieraz tracą czas i pieniądze na robienie dużej ilości zapasów, których część się zmarnuje często, a które taniejby wypadło kupić w zimie gotowe.

Ale na wsi, albo w małym miasteczku sprawa ta przedstawia się zupełnie inaczej! Na zimę pozostają tylko: kartofle, buraki, marchew, kapusta i kwaszone ogórki. Tu każdy strądek fasoli, czy groszku, każda róża kalafioru, dorodne pomidory są pożądanym urozmaicheniem jednostajnego menu, a w razie niespodzianych gości, gdy niema sposobu posłać gdziekolwiek dalej po zakupy upranionych jarzynek, staje się wprost błogosławieństwem. To też zapobiegliwa pani domu przez sezon cały gromadzi skrzętnie zapasy, by starczyło do nowego. Niestety nie wszędzie są inspekty, na to „nowe” długo nieraz czekać wypada...

Jarzyny przechowuje się w stanie świeżym w piwnicy, ale już zaraz po Nowym Roku nabierają ziemistego zapachu i tracą aromat. Małym kosztem można sobie zrobić mieszankę jarzynową na smak do zup; do sosów, pieczeni i t. p. Mieszankę tę opłaci się zrobić nawet w mieście, biorąc do suszenia pozostałe po użyciu, albowiem pęczki t. zw. włoszczyzny są zwykle za duże na jednorazowy użytek, a pozostawione do dnia następnego więdną.

Należy je ładnie pokrajać, rozłożyć po obiedzie. Systematycznie zabieg ten powtarzając dojdziemy do zapasu suszonej włoszczyzny bez specjalnych kosztów i fatygi.

Również i na wsi i w mieście należy robić zapas suszonego koperku, pietruszki, majeranku i t. d. a z pobytu na wsi można sobie przywieźć parę garści jagód jałowcowych. Nic to nie kosztuje a przyda się w zimie do przygotowywania drobiu „na dziko” oraz do sosów.

Suszenie groszku i najmłodszej fasolki opłaca się jedynie w miejscu produkcji, t. j. tam, gdzie się ma jarzyny z własnego ogrodu.

Szczaw i szpinak najlepiej przechowywać w butelkach, sterylizowanych jak na kompot. Fasolka zielona najłatwiejsza jest solona, groszek młody należy suszyć. Pomidory przechowuje się solone, kiszzone, lub poprostu zalane wodą nieco osoloną; takie są najlepsze i używać ich można na jarzynę i sałatę. Można z nich również robić marmeladę, albo przechowywać surowe, zatrute z dodatkiem salicylu. Zdane są wówczas na zupę, sosy i zaprawy; kalafiora można solić, albo sterylizować w aparatach Wecka. W ten sam sposób dobrze jest konserwować młodą marchewkę, t. zw. karotkę.

SKŁAD TEKSTYLNÝ FIRMY Stachiewicz i Abrysowski

przeniesiony został do własnego domu

Lwów, pl. Halicki 12 a. (róg ul. Batorego).

poleca: w olbrzymim wyborze i po najniższych cenach modne wełny i jedwabie, sukna męskie, płótna, koce. Tel. 30—70.

Pod światło.

Niebezpieczna kołtunerja.

Dokonano we Lwowie ostatnio zmiany nazw szeregu ulic. Zarówno ulic jak i tych, których postanowiono mieć uczcić — było podstatkiem. Wśród wielu sławnych nazwisk uwzględniono także imię... rabina Meiselsa. Dlaczego akuratnie tego bohatera wybrano z pośród tysięcy innych niewiadomo.

I niewiadomo również dlaczego nie znaleziono miejsca w starym, polskim Lwowie na nazwisko Gen. Rozwadowskiego i hr. Aleksandra Skarbka. Obu tym ludziom Lwów, a przede wszystkim kołtunerja lwowska uchwalając nazwy naszych ulic zawdzięcza, że może swobodnie w r. 1933 uczcić... rabina Meiselsa. Gdyby nie gen. Rozwadowski, gdyby nie wysiłek hr. Aleksandra Skarbka jeden z drugim kołtun lwowski, który zapomniiał o tych dwu wielkich Polakach — byłby już dawno wisiół przed ratuszem na drzewie z łaski apostołów ideologii rabina Meiselsa.

Kołtunerja lwowska jest zatem niewdzięczna. Niechże jednak niema pretensji, gdy kiedyś i inni wobec niej okażą się niewdzięcznikami. Niech wtedy nie podnosi hałasu o „partyjniczość”. Będzie zapóźno i po niewczasie.

Zor.

Luzem.

Historja społ.-gospodarcza w czasopiśmiennictwie.

Czasopisma naukowe w zakresie historii społeczno-gospodarczej odzwierciedlają najlepiej zainteresowanie i poziom tej gałęzi nauki. Interesującym jest też przedmiot sytuacji w tym zakresie u różnych narodów. Zestawienie sporządzone przez p. N. Gąsiorowską w jej krótkiej rozprawce o czasopiśmiennictwie w zakresie historii społeczno-gospodarczej wskazuje, że wyprzedzili w niem inni Niemcy. Pierwsza „Wirtschaftsgeschichte”

prof. wiedeńskiego v. Inama-Sternegga wyszła w r. 1879. Studja w zakresie zagadnień histor.-gospod. Büchera. v. Belova, Symbarta, Maxn Webera. Ukazywały się w latach 1890 — 1900. W r. 1893 powstaje Zeitschrift für Sozial- und Wirtschaftsgeschichte, przeobrażona w r. 1903 w Vierteljahrsschrift für Sozial- und Wirtschaftsgeschichte, wychodząca po dzień dzisiejszy.

We Francji pierwsze prace pojawiły się w połowie 19 w., ale interesowano się tu głównie historją doktryn, a nie życia ekonomicznego. Przed wojną założony został przez Deschamps i Dubots'a Revue d'histoire economique et sociale, a w r. 1929 Annales d'histoire economique et sociale o charakterze międzynarodowym. W Anglii dopiero od r. 1927 ukazuje się The economic history review przy udziale uczonych całego świata. W Stanach Zjednoczonych mamy od roku 1928 Journal of economic and business history; dotąd wyszły 4 tomiki. Jako dodatek ukazuje się Economic history wydawany w Londynie. W Holandji wydawany jest Economisch historisch jaarboek.

W Czechosłowacji wydaje się najpierw Agrarni archiv, potem Casopis pro dejiny venkova, a od r. 1928 Vestník ceskoslovenského zemědělského musea. W Rosji ukazuje się Istorik-marksist od r. 1926 w r. 1930 przeobrażony został w biuletyn organu partyjny bolszewików.

W Polsce posiadamy Roczniki dziejów społecznych gospodarczych wydawanych przez uczonych tej miary co prof. Fr. Bujak ze Lwowa i J. Rutkowski w Poznaniu. Wydawnictwo polskie stoi na najwyższym poziomie naukowym, a dzięki wszechstronności swoich zainteresowań i wspomnianemu poziomowi rozpraw staje godnie obok najlepszych wymianionych wydawnictw świata, G. B.

Zakład Artystyczno-Rzeźbiarski
Marjan SPINDLER
ul. Hofmana Opata 3.

Wykonuje wszelkie prace w zakresie rzeźby figuralnej wchodzące. Specjalność portrety i figury kościelne.

Společne

Biuro Pośrednictwa Pracy Lwów, Mickiewicza 1 26, tel. 3-24. Poleca Służbodawcom, kucharki, kucharzy, pokojówki, bony, pielęgniarki oraz dozorców domowych za minimal. opłatą.

Sklep galanteryjny pod Firmą *
KORNEL SOKAL ul. Na Bajki 10.

poleca towary galanteryjne przybory kra-
wieckie i kosmetykę w wielkim wyborze.

Salon i pracownia sukien męskich
L. Stieber i M. Sliwiński
we Lwowie
ZIMOROWICZA 16. parter.
Nr. tel. 54-15.



Przed zakupem każdy z Panów
powinien zobaczyć nasze okno wysta-
wowe, porównując rewelacyjnie niskie
— ceny i jakość towarów, —



Motylewski i Terich Lwów, Hotel George'a,
tel. 47-43.

Aleksander BELTOWSKI
Lwów, SOBIESKIEGO 4.
Pracownia i Magazyn sukien męskich.

SUKNA na ubrania męskie, ko-
stjmy damskie, mundur-
ki studenckie — poleca

FABRYCZNY SKŁAD SUKNA

Ludwik RALSKI

Lwów, Rutowskiego 7.

Stanisław Dobrzański

przedstawicielstwo ROYAL
am. maszyn do pisania
Wzorowe warsztaty re-
peracyjne Lwów, ul.
Kościuszki 6, tel. 15-27

Biuro Buchalterijno - Rewizyjne

ST. GRUSZECKIEGO

b Buchaltera Izby Skarbowej we Lwo-
wie — Lwów, Boczna 3, (Mickiewicza
l. 12) II p. m. 14 Telefon 86-90
Konto P. K. O. 143.767.

Zakłada i prowadzi księgi han-
dlowe, sporządza bilanse wzglę-
nie udziela wskazówek przy spo-
rządzeniu bilansów.

Przyjmuje nadzór nad księgowością
oraz udziela wszelkich porad buchalte-
ryjno-podatkowych

Spółdzielnia introligatorska

z ograniczoną odpowiedzialnością

we Lwowie

UL. BOURLARDA L. 2

Telefon nr. 57-25.

Jedyna chrześcijańska mechaniczna

Wytwórnia torebek

papierowych z drukiem

W. BOBOWSKI, Szwedzka 6. Tel. 32-86

Rok zał. 1905.



OSZCZĘDNOŚCIĄ I PRACĄ
LUDZIE SIĘ BOGACĄ



DUŻO OSZCZĘDZI KAŻDA PANI
KUPUJĄC WYBÓROWE MATERIAŁY
WEŁNIANE, JEDWABIE, PŁÓTNIA
ORAZ WIELKIE TOWARY TEKSTYLNE,
TYLKO WE FIRMIE

Jani sklep
ZYGMUNT ZALESKI
LWÓW, ul. HALICKA 8. TEL. 58-42.
OLBRZYMI WYBÓR. CENY BEZKONKURENCYJNIE NISKIE!

SUKNA

na ubrania, palta, raglany pokrycie futer,
kostjmy, płaszcze damskie, mundury studenckie

poleca

Tadeusz Cwetler

Ceny bardzo niskie.

Lwów, pl. Marjacki 8. (Gmach Sprechera).
Tel. 38-43.

WYTWORNA GALANTERJA SKÓRZANA

W. Ciechulski i Syn

Lwów — Legionów 5.

DYPLOMOWANA
Konserwatorzystka
z egzaminem pań-
stwowym udziela
LEKCJI GRY NA
FORTEPIANIE
Zgłoszenia od 3—6
Gródecka 131, Vbrama
I p., drzwi 70.

Towary bławatne, płótna, pościel
Największy wybór — Ceny fabryczne
FRANCISZEK ORZECOWSKI
Lwów, Rynek 29 — telefon 25-55.

DLA NIEZAMOŻNYCH
Udzielam początkują-
cym lekcji gry na
skrzypcach, 3 razy ty-
godniowo — 10 zł.
miesięcznie.
Wiadomość Lwów, ul.
Bajki 14, parter lewy,
od godz. 3—4 tej.

KODAKA aparaty fotograficzne są najprak-
tyczniejsze i bardzo tanie.
F-ma JAN BUJAR

Lwów, Kopernika 4.

posiada wielki wybór aparatów i przyborów Kodaka i dostarcza je na do-
godnych warunkach.
Katalogi bezpłatnie.

Okazyjnie do sprzedania

Salon machoniowy antyczny. Jadalnia orze-
chowa. Gabinet męski. Witryna. Sypialnia
cytrynowa. Biurko antyczne. Urządzenie biu-
rowe. Obrazy słynnych malarzy. Dywan
smyrneński. Kasa pacerna, oraz wiele innych
mebli antycznych i nowoczesnych. Lustra,
tapczany. **DOM SZTUKI Fredry 1.**
tel. 84-78.

STALE NA SKŁADZIE

posiada solidne sypialnie, jadalnie — także wykonuje na zamówienie wszelkie meble
po cenach przystępnych

WYTWORNIĄ MEBLI

EDWARDA KLEBANA, Lwów-Zniesienie ul. Jasna 22. Tel. 70-45.

STAŁA WYSTAWA I SPRZEDAZ ul. SOBIESKIEGO 3.

Zakład pogrzebowy „ELIZJUM“

Sobieskiego 9. Telefon 89-40
Mieszk. 92-92
przedtem pod firmą J. KURKOWSKIEGO urzą-
dza pogrzeby od najskromniejszych do najwspa-
niańszych, przeprowadza ekshumacje, wywozy
zwłok po cenach najniższych i na dogodnie spłaty.
Na składzie wielki wybór wieńców metalowych.

NAKRYCIA STOŁOWE przybory do
manicure
polecą Firma
JAN LAURUK
Lwów, ul. Halicka 6.
Telefon 55-72.

Bibliotekarze! Pamiętajcie, że wa-
szą hurtownią jest
Księgarnia T. S. L. Lwów, Batorego 32.

F-ma Mieczysław Zaleski

Lwów, pl. MARJACKI 10. tel. 53

zawiadamia niniej zem, że już otrzymała **NOWY TRANSPORT MATERJAŁÓW**
na ubrania, raglany oraz mundurki szkolne.

GOTOWE UBRANIA od zł. 39.— **RAGLANY** od zł. 60.

**Najmodniejsze
kapelusze
i czapki**
ANTON KATKA
LWÓW, HALICKA 4.

A. BEACOCKA następcą
**ALFONS
KOPUSZAŃSKI**
LWÓW
PL. MARJACKI 8
TEL. 16-16.
**MAGAZYN
FARB,
PERFUMERJA
SZTUKA STOSOWANA
PRZYBORY BILARDOWE
OGNIE SZTUCZNE**
towar
solidny,
ceny
umiarkowane

PRENUMERATA:

miesięcznie	0.70
kwartalnie	2.—
półrocznie	4.—
rocznie	7.50

NACZELNY REDAKTOR

przyjmuje codziennie od 11—13-tej

ADMINISTRACJA

codziennie od 9—14-tej.

Numer pojedynczy 35 gr.

CENY OGŁOSZEŃ:

Strona dzieli się na 3 łamy; szerokość łamu 80 mm; 1 milimetr
w 1 łamie kosztuje 60 groszy. Cała strona zł. 630.

Ogłoszenia w tekście i dwubarwne na ostatniej str. 50% drożej.
Miejsce zastrzeżone o 25% drożej.

Marian Kojczal
Suda.

Oplatę pocztową 40% uiszczono gotówką.

CENA 35 gr.

Nr. 8. (18)

Lwów 16 września 1933.

Rok II.

DWUTYGODNIK

społeczny, polityczny i literacki.

Redaktor naczelny: TADEUSZ ZADERECKI.

Adres Redakcji i Administracji
Lwów, ul. Niecała 5.

Konto P. K. O. 503.100

TREŚĆ NUMERU: T. ZADERECKI: Dwa fantomy. — KL. HRABYK: Kim nie jesteśmy. — LELIWITA: Niepokojąca pogłoska. — P. KONTNY: Tragedja lodów. — BEZET: Kronika tygodniowa. — CZESŁAW LECHICKI: Pospolite ruszenie katolickie. W. G.: Sztuki plastyczne na Ziemi Śląskiej. — GNIEWOSZ: Hitler we Lwowie. — BEZET: Société anonyme. — T. ZADERECKI: Przekład z hebrajskiego. — T. OLSZAŃSKI: Obrazki z niedawnego Lwowa. — Co ujrzymy na srebrnym ekranie? — Dział kobiecy. — J. BIENIASZ: Karpacki Miś (nowela) — Białe sport na przełomie i w. i.

Dwa fantomy.

Stoimy w obliczu świeżych uroczystości na pamiątkę dwusetnej pięćdziesiątej rocznicy odsieczy Wiednia przez rycerstwo króla Jana III. Jest to uroczystość jednego z najbardziej idealistycznych, najbardziej bezinteresownych czynów, jakie zna historia. I to nie tylko historia Polski, ale i historia świata.

Ostatni raz święciliśmy to święto w r. 1883. Smutne to były czasy. Pomiedzy trzech zaborców rozdarta, nawet chlubić się dawną chwałą nie wszędzie mogła Polska. Dla zaborców: pruskiego i rosyjskiego, to co polskie było wygnane; w zaborze austriackim — przekształcono pod wpływem stańczykowskim rocznicę w święto chwały rakuskiego tronu, któremu Jan III. powinna oddał przysługę. I dość niesmacznie, z kompletnym brakiem poczucia godności narodowej, usiłowano wkupić się pamięcią dawnych tryumfów w łaski zaborcy.

A zaborca — potokiem artykułów prasy wiedeńskiej i potokiem aktualnych broszur odzierał tylko Sobieskiego i jego armję z wszelkiej zasługi. Przedstawiano polskiego króla, jako politycznego spryciarza a wojskowego niedołęgę, zaś wojsko jego — jako bandę rabusiów.

Ta sama niewdzięczność, którą uratowany przy tronie cesarz Leopold okazał swemu zbawcy — drugi raz rozhułała się w naddunajskiej stolicy.

Dziś święto to znów święcimy.

Ale...

Ale jak na terenie wyznaniowym istnieją święta radosne i święta żalosne, tak i na terenie historii. A jak znów inny duch przepaja dzień pamięci męczennika, lub dzień Skonu Pańskiego, inny zaś dzień Narodzin Dzieciątka — tak i naród odmiennie święcić powinien pamięć swoich prawdziwych tryumfów, a pamięć swoich błędów politycznych w przeszłości, choćby one niewiedzieć jakimi blaskami chwilowo oświecały jego skronie. Zwłaszcza naród tak skolatany, dziejowymi burzami, jak naród polski. Bo co innego jest naprzykład Grunwald, a co innego odsiecz Wiedeńska.

Więc też z góry sobie powiedzieć potrzeba, że święto odsieczy wiedeńskiej — nie jest dla nas nazbyt radosne, nie jest samem pasmem chwały i prawdziwego lauru. Jest ono typowem świętem wielkiej politycznej pomyłki.

Istnieje mądre łacińskie przysłowie, że historia jest mistrzynią życia. I przysłowie to mówi prawdę.

W obliczu więc jego, instytucja świąt narodowych ma dużą rację bytu, duże uzasadnienie. Zaktualizowaniem jakiegoś dawnego wypadku, odnowieniem go sobie w pamięci i przemyśleniem raz jeszcze z okazji rocznicy, winien jest naród na przeszłości się uczyć, jak dziś postępować, jak naśladować co dobre, jak unikać pomyłek. Bo każda pomyłka w przyszłości się mści. Z tego więc względu święta historyczne są rodzajem narodowej szkoły.

I tylko naród głupi może pojmować dawną chwałę cześć przodków, jako upojenie się radosne. Naród mądry i dojrzały zmierzać musi do tego, by z każdej pamiątki dziejowej wyluskać aktualne wartości, aktualną naukę; charakter narodowy przeznawać, analizować jego zalety i wady, by za tem co dobre iść, a tego co złe — więcej nie czynić.

WYCIĄG Z PROTOKOŁU WSPÓLNEGO POSIEDZENIA NIEJAWNEGO!

Sąd Okręgowy Wydział VI. karny we Lwowie w składzie S. O. W. Medyński jako Przewodniczący S. O. Dr. J. Locker i Dr. L. Dworzak jako głosujący w sprawie konfiskaty Nr. 7 (17) czasopisma drukowanego p. t. „Wczoraj Dziś Jutro” z daty Lwów dnia 1. 9. 1933 r. do Sygn. 6. I. Pr. 409/33 na posiedzeniu niejawnym w dniu 6. 9. 1933 r. po wysłuchaniu zdania Prokuratora Sądu Okręgowego we Lwowie

postanawia:

uznać za usprawiedliwioną dokonaną dnia 1. 9. 1933 przez Starostwo Grodzkie we Lwowie konfiskatę czasopisma drukowanego p. t. „Wczoraj Dziś Jutro” Nr. 7 (17) z daty Lwów, dnia 1. 9. 1933 zawierającego

1) Na stronie pierwszej znak swastyki
2) w artykule p. t. „Nasze” itd. w całości wraz z tytułem,

3) Kronika itd. w całości wraz z tytułem
znamiona ad ustęp 1) 2) i 3) z art. 154 k. k. zarządzić zniszczenie całego nakładu i wydać w myśl § 493 zakaz dalszego rozpowszechniania tego pisma drukowego.

Zarazem wydaje się odpowiedzialnemu red. tego czasopisma nakaz, by orzeczenie niniejsze umieścił bezpłatnie w najbliższym numerze i to na pierwszej stronie. Niewykonanie tego nakazu pociąga za sobą następstwa przewidziane w § 21 ust. 17. 12 1862 Dzpp. Nr. 6 ex 1863 tj. zasądzenie za przekroczenie na grzywnę do 400 złotych.

UZASADNIENIE

Ogłoszenie drukiem wymienionych wyżej artykułów ma na celu podnieść innych do przedsięwzięcia czynności przystępnych mogących naruszyć spokój publiczny. Według §§ 487, 489. 493 pk oraz §§ 36 i 37 ust. pras. jest zatem powyższe postanowienie uzasadnione.

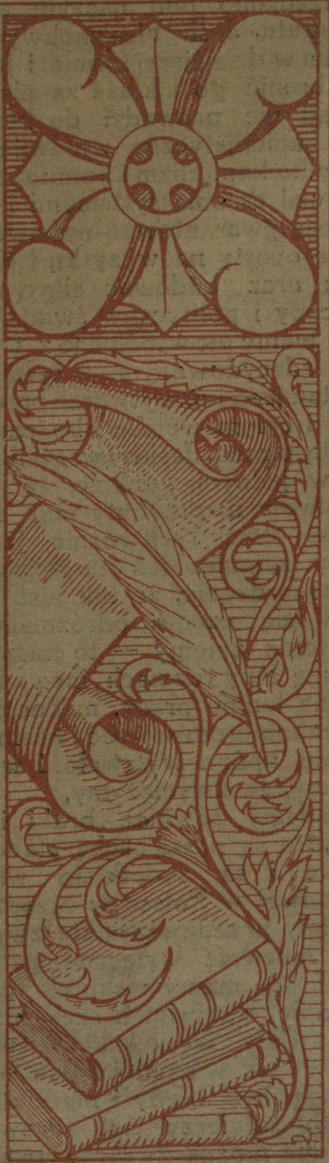
Przew.: Medyński w. r. Protokół. Tursiewicz w. r.
Za zgodność:

M. Janowicz
st. sekretarz

W
C
Z
O
R
A
J

DZIS

J
U
T
R
O



rys. Wład. Gosiński 1933

Czyn Sobieskiego polegał na bezinteresownym porwywie duszy polskiej, która z zaprzeczeniem interesów własnych, lubi innym czynić dobrze. Nie było nic w nim godziwego egoizmu, nie było nic z tego, co się streszcza w przysłowiu, że „bliźsza koszula ciału, niż kabał”. Ale to, co aplauz i poklask wywołać może dla poświęcenia się jednostki, która ostatecznie ma prawo sobą rozporządzać i sobie ścielić przysłowiowe łoże, to pod innym punktem widzenia rozważone być musi, jeśli stawką w grze jest naród, jego interes i jego przyszłość.

Krółom, rządcom — dysponować nie wolno tak łatwo wielkodusznością, jak jednostce prywatnej. A Sobieski nią zadysponował.

Zwiedzono Jana III fantomem. Żołnierz to bowiem był tylko — nie żaden polityk. Zadeklamowano mu górnio o chwale nieśmiertelnej, zadeklamowano mu o obronie chrześcijaństwa. Złowiono jego wielkoduszność na miraż dźwięku pięknego słowa: „Polonia — antimurale christianitatis”.

Tymczasem, co wynikało z chwały wiedeńskiego oręża? Czy zaiste ocalenie chrześcijaństwa w ścisłym tego słowa znaczeniu? Chyba nie! Turcy bowiem zawsze, mimo iż mahometanie zaciekli, byli narodem liberalnym; religie miały w ich państwie znośne warunki rozwoju. Wyprawę wiedeńską tedy ocalone zostało nie chrześcijaństwo, ale cesarstwo Leopolda, ale korona na głowie Habsburgów, ale Austrija. Ta sama Austrija, która w wiek potem zebrała żniwo z posiewu wiedeńskiej odsiecz — w rozbiórce Polski.

Sobieski, zlekceważył wartości polityczne, jakie mógł wytargować i od Francji i od Turcji, gdyby był tylko oręż ostrożny rozstawił na granicach własnego państwa i czekał. Zlekceważył wartości, jakie dać mogła Polsce — neutralność wobec sułtana.

I na tem, nie na głupiej niewdzięczności późniejszej, zarówno cesarza Leopolda jak i Niemców wiedeńskich, powinni Polacy dzisiaj oprzeć analizę wyprawy wiedeńskiej. Na tem winni się uczyć politycznego kunsztu, a nie na małostkowych gniewach o brak wdzięczności. Króla Jana złudzonego fantomem ideału, który się pomścił na jego państwie.

Dziś stoimy wobec podobnej sytuacji. Znow fantomami nas łudzą. Nie fantomami chwały orężnej, ale fantomami nazwy: „Ostoi kultury”!

Jest to w związku z obecną eksterminacyjną polityką niemiecką. W imię fantomu każą nam przejąć cały ciężar, jaki Niemcy zrzucają z bark.

Czy na to pójdziemy? Czy niczego nie nauczymy się z historii?

Chwila obecna jest ważna. Decyzja w tej sprawie nie jest bynajmniej mniejszej miary jak decyzja Jana III, gdy porwał swych husarzy pod Wiedeń.

Oby nie sprawdziła się jeszcze raz na Polsce prawda napoleonowego aforyzmu: „Niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli”.

Oby!

TADEUSZ ZADERECKI.

Kim nie jesteśmy?

Tak się czasem składa w ludzkim życiu, że dobra wola nie spotyka się ze zrozumieniem i uznaniem. Ludzie weszli w prostych i uczciwych sprawach podstęp, nie widzą zaś go często tam, gdzie tkwi on istotnie.

Stało się tak, że występ grupy młodych publicystów z obozu narodowego na łamach naszego czasopisma wywołał nadprogramowe ożywienie i poniekąd zdenerwowanie w niektórych sferach. Nie znalazło ono wyrazu publicznego, ale schowało się w cieniach plotek, podejrzeń, ba oskarżeń i niedomówień. Życie jest twardą drogą i chociaż jesteśmy młodszy wiekiem, nie jest dla nas dziwną walką, byle prowadzona sumiennie. W otwarte karty. Niczego nie pragniemy jak tylko tego jednego, aby wszyscy pojmowali walkę i pracę dla Polski w sposób uczciwy. Chcemy, aby ludzie uczciwi mogli się w tej walce zawsze porozumieć, aby wzajemnie się odnaleźli i przemawiali do siebie jednym językiem. Nasz język jest prosty i szczery. Nie mamy niczego do ukrywania.

Wyrosli wśród wielkich dni wojennych, dojrzewaliśmy w pierwszych kilkunastu latach istnienia Państwa Polskiego przepojeni tą samą troską, co całe społeczeństwo o wspólny byt i wielkość Polski. Od pierwszych dni naszej młodości wychowywaliśmy się — jedni bardziej bezpośrednio, inni nieco w pewnym oddaleniu — w atmosferze idei obozu narodowego. Wiemy, żeśmy z jego tradycji. Idei narodowej pozostajemy wierni. Przez nią chcemy służyć tylko Polsce w granicach istniejącego już obozu narodowego.

Jest to tak jasne, jak słońce na niebie, ale uważamy za konieczne jaknajmocniej to podkreślić, aby nikt nie ważył się sądzić o nas inaczej.

I dlatego nie jesteśmy żadnym obozem narodowych socjalistów, jak to chciało jedno z pism krakowskich. Są jeszcze inne terminy rozumniejsze, budzące zaufanie, aby nie uciekać się do tak wyświechtanego frazesu jak „socjalizm”. To słowo budzi w nas odragę już choćby dlatego, że zostało skonstruowane przez mózg żydowski. Sam socjalizm skompromitował się doszczętnie. Chcemy być dobrze zrozumiani: więcej uczuciowego szacunku

budzi w nas komunizm, niż socjalizm, który okazał się zbankrutowanym oszustwem. Oczywiście, aby nie było nowych plotek, idzie nie o program komunizmu, który precz odrzucamy, ale o jego energię i konsekwencję. Nie jesteśmy zatem narodowymi socjalistami także i dlatego, że umysłowość polską stać jeszcze na coś więcej, niż na ślepe naśladowanie niemieckiego hitlerizmu.

Nie jesteśmy też komunistami, o czym zdawałoby się nie trzeba tu mówić, a jednak

To co najważniejsze.

W drugiej połowie bieżącego miesiąca odbywają się w Wsch. Małopolsce dwa procesy. Jeden w Sanoku, drugi w Samborze. W jednym i drugim idzie o ludzkie istnienia. W Samborze sądzą morderców głośnego, wybitnego działacza i przewodcy, w Sanoku mordercę i współsprawców mordu na osobie cichego, skromnego pracownika społecznego. Obaj zamordowani byli Polakami. Obaj pracowali dla kresów wschodnich, chociaż każdy z nich na innej, odmiennej platformie rozwijał swoją działalność.

Inna też pozornie była śmierć obu. Pierwszy, Hołówo zginął od kul terrorystów ukraińskich, zamordowany zniemacka, tuż przed odpoczynkiem nocnym. Drugi Chudzik padł niewinnie od zbrodniczej kuli również zniemacka na ciemnej ulicy małego miasteczka. Tylko, że kulę tą posłał mu — Polak namówiony do tego, jak twierdzi prokurator, przez wywiadowcę policji państwowej.

Straszliwą była śmierć obu tych ludzi. Straszliwszym jednak jest zestawienie obu zbrodni i obraz stworzony z nich wspólnie. Nie można bowiem dwu tych ponurych spraw oddzielić od siebie. Mimowoli uzupełniają się.

Jeśli jest bowiem prawdą, że Hołówo zginął od skrytobójczej kuli terrorystów ukraińskich,

nie oszczędzono pod naszym adresem i takiego zarzutu. Jeśli nie zachwycamy się kapitalizmem w dzisiejszej formie i jeśli nie mamy zamiaru bronić go i kłaść za niego głowy, to droga stąd nie prowadzi do komunizmu. To sugestia kapitalistyczna wzmocniła w świat, że istnieje tylko kapitalizm i komunizm. Są jednak między temi dwoma systemami i inne ustroje, które mogą gwarantować uczciwą pracę i zarobek nie oparty na wyzysku i głodzie szerokich mas oraz budować silny, mocny ustrój ekonomiczny i polityczny świata przyszłości.

Nie mamy nic wspólnego z t. zw. sanacją. Jesteśmy zdecydowanymi, w pełni świadomymi antysemitami, co już wytwarza przepaść między nami jak i całym wogóle obozem narodowym — a tamtą stroną. Jeśli by wszystkie drogi zbiegały się w jednym punkcie, to jeden antysemityzm stawia nieprzybyty mur między nami a tamtymi. Jest tych różnic jednak więcej. Nie mamy zamiaru ich tu rozpatrywać. Wystarczy stwierdzenie, że tak jest.

Jeśli się czemś odróżniamy od tego, w czym teraz żyjemy — to naszą młodością. Idzie za nią inny rozmach, inna wiara w przyszłość, inne tempo pracy, mocne przywiązanie do idei, bezkompromisowość i bezinteresowność w działaniu, upór i wytrwałość w walce.

Wiemy, że zwyciężymy. Posiadamy również braki i błędy. Ale walory, które są naszą cechą, stanowią część zwycięstwa i są zadatkami wielkiej mocy idei narodowej w Polsce w przyszłości.

Musimy przede wszystkim zwyciężyć, aby w Polsce zapewnić wyłączone panowanie idei narodowej. Nie mamy wskutek tego czasu na formułowanie wszystkich szczegółów naszego programu. Cały wysiłek kładziemy w walkę. W walce — jak w każdej walce — muszą być ofiary. mogą być błędy i niedociągnięcia, ale jeżeli duch żołnierzy jest zdrowy, na tamte szczegóły nie można zwracać uwagi.

Chcemy, aby zaufano temu duchowi, który reprezentujemy zresztą nie sami. Tym samym duchem owiane jest całe polskie młode pokolenie. Nikt tego nie zmieni. Występując na jednym odcinku życia polskiego, chcemy współdziałać z wszystkimi, którzy mają równie dobrą wolę walki o przyszłość — jak my ją posiadamy.

Kto jej nie posiada może pozostać w tyle i zatruwać siebie i innych atmosferą plotek i niewiary. Nie będziemy leczyli malkontentów, z rękocemnością zaś ludzi złych nie będziemy nigdy polemizowali. Złotwartymi wrogami damy sobie radę.

KL. HRABYK

Dwa procesy.

to nie powinien być nigdy ginąć Chudzik. Jeśli zaś zginął Chudzik, a mówi o tem aż nadto wymownie jego mogiła, to śmierć Hołówo była niejako logiczną konsekwencją, aczkolwiek wcześniej zaszła. Te dwie zbrodnie nierozdzielnie ze sobą się łączą.

Jeżeli oba procesy, sanocki i samborski, są potrzebne, to nie tylko na to, aby odkryć całą ohydę popełnionych zbrodni i ukarać winnych — ale, aby odsłonić stokroć potworniejszą atmosferę, która te zbrodnie zrodziła. Obie — jakby strasznym zrządzeniem losu — wydarzyły się na ziemi, która jest ciężko dla Polski zapracowaną dzielnicą. Właśnie tu padły dwa polskie trupy w dwu różnych miejscach i dwu pozornie różnych warunkach, od dwu innych kul, a jednak obie ofiary wynikły z jednego związku przyczynowego.

Dopóki będą mogli ginąć Chudzikowie od takich kul, od jakiej zginął młody Polak w Brzozowie, tak długo będą musieli ginąć Hołówo od innych, nie polskich kul. Strzałem takim, jak w Brzozowie, — odpowiedzą zawsze strzały w — Truskawcu.

Jeśli ktoś myśli na serjo o Polsce, to musi zastanowić się nad tym związkiem. Sambor i Sanok narzucają tu tą refleksję aż nadto gwałtownie.

KL. HR.



Niepokojąca pogłoska.

Prasa doniosła, że w najbliższych tygodniach ogłoszone będzie w drodze dekretu Prezydenta Rzpltej nowe prawo małżeńskie, na mocy którego dopuszczone zostaną w Polsce śluby cywilne i rozwody, wedle zmienionego w szczegółach projektu komisji kodyfikacyjnej.

Niepokojącej tej pogłosce nie dajemy wiary, mimo, iż nie wywołała ona sprostowania czynników kompetentnych. Ale już samo przypomnienie tej sprawy ma swoje znaczenie. Okazuje się, że projekt Lutostańskiego, schowany chwilowo pod zielone sukno, stanie się podstawą zdawna wyczekiwanej reformy ustawodawstwa małżeńskiego, względnie zastąpienia nim obowiązujących jeszcze (po 15 latach niepodległości!) ustaw zaborczych.

Kodyfikacja tego rodzaju jest bez wątpienia konieczna i nikt nie neguje jej potrzeby. Najzagorzalsi przeciwnicy projektu nie myślą zaprzeczać, że przedstawia on pewien postęp już choćby przez to, że obmyśla jednolite prawo dla całego Państwa i wszystkie stąd wynikłe sprawy oddaje pod kompetencję sądów cywilnych. Ale sposób, w jaki załatwia się z pojęciem dożgonnego związku małżeńskiego i jego konsekwencjami, wywołać musiał i wywołał sprzeciw uzasadniony i merytorycznie najzupełniej uprawniony.

Obóz katolicki, inspirowany przez najwyższe sfery kościelne, stawiał projektowi opór najbardziej stanowczy i zdobył dla niego wyraz zbiorowy w postaci fali protestów zwła szcza wiecowych, jaka blisko dwa lata temu późną jesienią 1931 r. zalała kraj cały. Dziś fala ta dawno opadła, zainteresowanie przeniosło się na inne tereny, gorączka protestacyjna minęła, — niemniej rzecz sama nie posunęła się naprzód, nie znalazła rozwiązania kwestja zasadnicza: świeckie, czy wyznaniowe prawo małżeńskie, i nie rozstrzygnięto sprawy dopuszczalności rozwodów wogóle. Wszystko utknęło na martwym punkcie.

Rozumiejąc doskonale motywy kierujące postępowaniem tych, którzy projekt zwalczały publicznie, dzieląc stanowisko ideowe przeciwników projektu i solidaryzując się z argumentami, wytoczonymi przez nich na pogębienie jego — nie wydaje nam się przecież taktyka, wtedy obrona, trafna i skuteczna.

A polegała ona, jak wiadomo, na wysunięciu hasła odrzucenia projektu à limine, przekreśleniu go w całości i zohydzeniu przez odszukanie jego genezy w — talmudzie, prawodawstwie bolszewickim i t. p. Było zgóry do przewidzenia, że tą drogą niewiele się wskóra pozytywnie, że pogłębi się tylko przedział, a właściwie przepaść między zwolennikami, a wrogami projektu, że w najlepszym razie skompromituje się autorów, ale tworu ich nie pogrzebie ostatecznie. Zbyt długo pracowano nad wygotowaniem projektu, zbyt gruntownie go przemyślano i zbyt znaczną większością (a właściwie jednomyślnie) uchwalono, aby można się serjo łudzić, że projekt ów przy ostatecznej kodyfikacji będzie zlekceważony, względnie wogóle nie wzięty w rachubę.

Dlatego należy wyrazić żal, że nie wygotowano ze strony przeciwników projektu poprawek do niego, poprawek formalnych i merytorycznych, które stając na gruncie świeckich założeń projektu, umożliwiłyby jednak pogodzenie go w szczegółach z postulatami, katolików, zresztą słusznymi i usprawiedliwionymi racjami teologicznymi. Pewien rozumny kompromis zapobiegłby konfliktowi prawa

kościelnego z państwowem i stępiłby ostrze zbyt widocznej laicyzacji stosunków prawno-małżeńskich.

Są niewątpliwie w projekcie postanowienia, które wystarczy przestyliżować i nadać im bardziej ograniczony zakres, a tracąc charakter przykry dla uczuć większości obywateli.

Projekt przyjmuje fakultatywność ślubu, t. zn. zostawia swobodę formy jego zawarcia bądź w kościele, bądź w urzędzie stanu cywilnego, z tem, że czynności przedwstępne załatwia nie proboszcz, lecz urzędnik. Jeśli chodzi o prawdziwych katolików, z przekonania, nie z metryki (o resztę nie powinno bardzo chodzić, bo i tak „przymuszony pacierz P. Bogu niemiły”) — ci z pewnością wybiorą kościelną formę ślubu. Sprawa zapowiedzi i metryk jest formalną, a nie zasadniczą. Lecz co innego nasuwa zastrzeżenia: oto zrównanie obu sposobów zawarcia małżeństwa, religijnego i świeckiego, kiedy dane strony zamierzałyby się rozejść, lub rozwieść.

Tu jest punkt niebezpieczny. Można bowiem dla oszukania sumienia jednej strony, (tj. jednego z narzeczonych) zawrzeć ślub przed ołtarzem i być w obliczu Boga nierozzerwalnym węzłem sakramentalnym połączonym, — a w jakiś czas potem uzyskać w sądzie cywilnym rozłączenie, automatycznie po trzech latach (i nawet prędzej) zamienialne na rozwód. Tą drogą każde małżeństwo, bez względu na to, gdzie zostało zawarte, będzie rozerwalne, bez żadnych kłopotów. Tymczasem conajmniej małżeństwo kościelne powinno zostać nierozzerwalne.

Jeszcze bardziej niebezpieczne jest wprowadzenie najdalszych ułatwień dla chcących się rozejść małżeństw bezdzietnych (bez podania powodu po 3 latach pożycia). Dziś, kiedy neomaltuzjanizm wskutek agitacji za poradniami „świadomego macierzyństwa”, tak licznych znajduje stronników i wykonawców, kiedy przyrost ludności katastrofalnie maleje a wśród inteligencji boją się już nawet jednego dziecka, — małżeństwa na próbę (po paru latach się rozchodzące), czynią z rodziny ja-czejkę uregulowanej i ograniczonej do dwójga partnerów — prostytutce...

Równie nieodpowiednie i dające pole do nadużyć są pewne inne paragrafy projektu, np. o zrównaniu narzeczonej w ciąży z żoną, rozwiedzioną z winy męża, lub dopuszczalność unieważnienia, rozłączenia i rozwiedzenia zawartych przed wejściem w życie projektu małżeństw, już wedle przepisów nowej ustawy, z pominięciem władzy duchownej.

Żle się stało powtarzamy, że obóz nasz katolicko-narodowy nie wygotował poprawek do projektu i nie ogłosił ich publicznie pod rozważę czynników rządowych. Może przecież doszłoby się do jakiegoś takiego kompromisowego rozcięcia tego węzła gordyjskiego skomplikowanych postanowień prawa małżeńskiego i salwowałoby się interes Kościoła, który za wielkiej swobody swoim wiernym w tych rzeczach zostawiać nie może. I domaga się, aby nadużycie zostało nadużyciem, a handel duszami za cenę rozwodu nie przestał być świętokradztwem.

Leliwita.

Kropla gorzkości.

Powiedział — zdaje mi się Bismarck — bardzo przykre dla naszej narodowej dumy, ale niekiedy — niestety — słuszne zdanie, że „dla Polaków można wszystko zrobić, ale z Polakami — nic”.

Zdanie to przypomina mi się teraz w obliczu dość przykrej rzeczywistości.

Wiedzą wszyscy czytelnicy, czem było czasopismo „Wczoraj — Dziś — Jutro” przed objęciem go przez naszą redakcję. Jaką — filijką „Wiadomości Literackich”, z ich „życiem świadomem”, z „Rehabilitacją Judasza” z tem podobnemi występnymi. Dlatego też nikogo nie zdziwiło, jeśli dwa miesiące temu „Gazeta Kościelna” z 25. czerwca (nr. 26) pomieszczyła słuszny atak przeciw „Wczoraj — Dziś — Jutro” w dniu zaś 16 lipca (nr. 29) po raz drugi czasopismo to zaatakowała za niewłaściwe jego występy.

Ten stan był słuszny i uprawniony, dopokąd istniała redakcja poprzednia.

W międzyczasie atoli rzecz się zasadniczo zmieniła.

Na skutek tych ataków pobudziła się czujność grupy młodych publicystów Obozu Narodowego. A ponieważ i wydawca pisma p. Mieczysław Szykowski, widząc co się — poza jego wolą — z pismem wyrabia, okazał się chętnym stan ten radykalnie zmienić, wobec tego pismo przeszło w ręce grupy młodych publicystów narodowych. Postanowiono przytem równocześnie pismo rozszerzyć, zmienić na dwutygodnik i na odpowiedniej wyżynie postawić, więc chyba nie trzeba mówić, że prócz bezinteresownych wysił-

ków, nakładu pracy, zabiegów i t. d. nie obeszło się też bez poważnych ofiar finansowych dla dobrej sprawy. I to funduszami prywatnymi kilku interesowanych jednostek, a nie żadnemi subwencjami czy zasiłkami organizacyj.

Zmianę tę zapowiedział p. Szykowski już w numerze sierpniowym. Osobno zwróciliśmy się z prośbą do redakcji „Gazety kościelnej”, by o zmianie tej raczyła napisać, a to tembardziej, iż był to w dużej mierze skutek jej własnego uderzenia w dzwon alarmu.

I tu — rzecz dziwna — spotkaliśmy się jakby z brakiem zainteresowania, z niechęcią. Na ataki smutnej sławy poprzedników naszych na tych łamach — miejsce się jakoś i to dwukrotnie znalazło, na poparcie moralne naszego wysiłku — miejsca tego już nie stało.

Po długich i ciężkich cierpieniach dano, tylko 4-wierszową, ogólnikową notatkę zbywającą. Dla ataków wrogów Kościoła miano miejsce raz 42 wierszowe, drugi równo 100 wierszy. Rehabilitacji pisma nie chciano dokonać.

I gdybyśmy nie prosili o to poparcie, nie byłoby jeszcze dziwa. I gdyby nazwiska nasze nic nie mówiły — teżby trudno mieć żal. Ale tak?

Żalu nie czujemy. Ale kropla gorzkości zawsze pozostaje. Wolelibyśmy bowiem się nie przekonać, że w bezinteresownej pracy ideowej, nie tylko nie można liczyć na poparcie ideowe tych, którym na zwartym, wspólnym froncie powinno najbardziej zależeć, ale chyba liczyć można tylko na — jeśli nie klody pod nogi — to obojętność.

Tragedja lodów.

Z okazji Roku Sobieskiego zwróciliśmy się do p. Piotra Kontnego jako inicjatora akcji ochrony zamku w Olesku, miejsca urodzenia Jana III., z prośbą o napisanie artykułu o Olesku.

Nadesłana praca odnosi się do przedhistorycznych czasów Oleska.

Długa, wielka zima legła nad połową świata. Z północy i północno-zachodu, z mglistych otchłani bieguna, z Norwegii i Szwecji poczęły na południe napływać żywe masy lodów. Na ziemiach naszych odgrywały się ostatnie sceny dramatu, którego akcja centralna największym nasileniem skuła obszary środkowej i północnej Europy. Potężne cielska lodów minawszy okolice dzisiejszego Lwowa ostrzem gigantycznego pluga wżarły się w krawędź wyżu podolskiego. Lemiesz lodów krajał skibę 150 m grubości: lody tutaj były ostatecznie cienką już płytką. Nie tak, jak w Europie północnej, gdzie grubość lodu przekraczała 2 km wżyz.

Długa, sroga zima legła nad połową świata. Może nawet nad całym światem. Ślady jej okowów znaleziono już w Ameryce południowej, a więc po tamtej stronie równika.

Blado-zielony księżyc pochylił się ku zachodowi. Odbite od bezmiarów lodu promienie słońca lśnią na jego tarczy jak w lustriannej tafl.

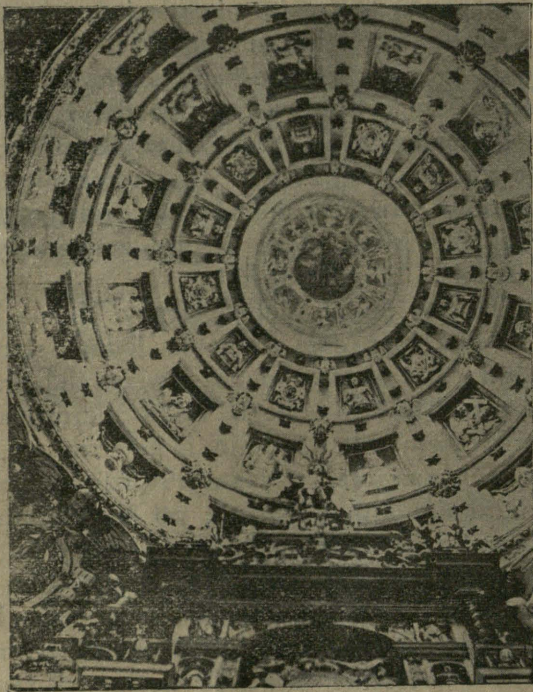
Na wschodzie pełza czarny mrok. W skosach promieni dojrzałej pełni rudzieją wokół lodowe pola, spiętrzone jak drapacze chmur lodowawy, ostre szklane turnie, zamazłe lodospady. Groźne cielska lodów, poprute tunelami wewnętrznych grot, zioną rozpadlinami przepaścistych szczelin o ścianach lśniących muszlowo, ostrych jak pola zakrzepłej lawy, a wysokich na sto metrów.

Lody drgają w nagłych wstrząsach pod naporem nieustępliwej pracy siły.

Na pozornie równych skosach, na taflach lodowych szlifowanych wichrami w księżycowej sennej poświacie czernieją plastry ziemi. Dienne skwary spotęgowane lodowymi refleksami operującymi niczem wklęsłe zwierciadła, nagrzewające powietrze do temperatury wrzenia wody, toczą lodowiec jak choroba ryje rozpadem gangreniejące ciało. Tysiące i tysiące bystrych strużek zbiegają srebrnymi migotami po stokach lodowych turni i piargów z lodu.

Na równiach zasłoniętych od wiatrów narastają rozległe jeziorzyska zasilane powierzchniowymi i w głębi lodowca drążącymi strumieniami wody. Z pobliskich zboczy Podola, ściętych równo lodowym plugiem, spły-

wają leniwe rzeki szlamu; walą się z hukiem gromu lawiny ziemistej calizny i zasypują lodowe pola. Rej wodzi woda: woda pracuje, szlamuje, grupuje, sortuje, zabiera, unosi, przekłada, tasuje, skupia, odkłada. Wśród lodowych pustkowi rodzą się i rozrastają wzdłuż i wszerz oazy ziemi na których natychmiast kiełkuje nowe życie. Skaczą na długich jak u szarańczy nogach owady co zdają się żywić lodem. Na zieleniejących wczoraj dopiero piórkach traw rozkładają się wachlarze liści, bujają gęstwy gąszczów, krzewów i zielsk. A potem drzą na wietrze i szemrzają listki brzoźki lodowej wyrosłej na tundrze, brzoźki, wysokie



Lwów, Wnętrze kopuły w kaplicy Boimów.

wszystkiego aż na dwa łokcie a już rodzące skrzydlate owocki. Bo powstała na oazach czarnej ziemi wśród morza lodów tundra taka jak tam, pięć tysięcy kilometrów stąd daleko na północy, i taka sama, taka samiuteńka jak tamta, w kraju Lamutów, Jukagirów, Czuwanów, Samojedów, Korjaków i Czukczów.

Śmigają na wietrze wyostrzone mikroskopijne drobnymi brylancikami krzemienia ostrza turzyc, długie jak pałasze. Sinieją kwietne główki tymianków. Jaskrawa lakierowana barwą błyszczą żółte jaskry. Na karłowatych łodyżkach i pieńkach dzwonią trącane powietwem lilipucie dzwonki — kielichy goryczki.

Wiatr muska i pieści delikatne pędzle okwiatu rutewki. Pękają napęczniałe sokami paki żółtych maków, a po gałązkach karłowatych brzoźek lżany swych długich pędów wiję Atragene, brunatnokwiatna, z płatkami złożonemi na krzyż, jak ta siostrzyca jej rodzona zachowana do dziś jeszcze w gąszczach czarnohorskich borów naszych Karpat.

Zima na tundrze, rozkwitłej na lodach kosi pokotem rozkwiecone życie. Mróz warzy liście wyhodowane przez gorące lody podbiegunowego lata na szerokości Brodów, Oleska Złoczowa czy Lwowa. Ale nawet w gospodarce zimnych lodowców nic nie idzie namarnie Skoszone zimą życie umacnia i ożywia tundrę: na jałowizny naniesionych pleszy ziemi rzuca zasoby przyszłego rozwoju i bujności. Jest spiżarnia tundry i jej szpichlerzem. Na świeżej, tłustej próchnicy łapczywie chwytą się ziemi każde ziarno i trzyma się jakby pazurami. Zdrowe, wytrwałe, uparte i zwycięskie nawet z ogromem lodów.

Nad lodowcem ku zachodowi pochylił się ogromny krąg księżyca. Za chwilę na bezmiar lodowej pustyni rzuci oprawę lśniącego pierścienia blasków smętną jak blask platyny.

Lód dokoła nie taki jak ten, co go zimą na naszych wyrębujących stawach. Ten tutaj dziwnie czegoś brunatny. Jak w źle odlanej bryle szkła, co roi się od zamkniętych w szklanej masie białych baniek powietrza, pełno w nim podłużnych wmarzniętych bąbelków. Odkruszysz bryłę, odkujesz złomek z głębi bryły, lód zda się biały, jasny jak zwyczajnie lód, choć zamknięte w nim powietrzne bańki trafiają się już rzadziej, nielicznie i są okrągłe. Ale po chwili już i tutaj wykłwita rudy nalot lodów. Lód rdzewieje jak stara, żarta rdzą, stal.

Na złomach lodowej pustyni rozkwita oaza tundry. Ale w głębi, gdzieś w lodowych trzewiach panoszy się rak: tysiączne strużki, strumienie i rzeki tajemnicze toczą ciało lodu. Nad przemyskającymi ze śpiewem wężykami połyskliwej wody rozpięły ogromne łuki sklepienia pieczar, kryształowych grot, labirynt tumów o filarach wyniosłych na dwieście stóp.

Podlodowe pieczary i grotty same dla siebie kryją lśniąca cuda lodowych czarów, sople stalaktytów wążące tony, lasy stalagmitów, ostrych jak ostrokoł twierdzy, srebrne kolumny z lodu podpierające sklepienia lodowych zaklętych chramów.

Nad otchłanią grot cienka warstewka sklepienia rozpięła zuchwały kruchy łuk z lodu. Nad otchłanią, na lodzie cieniejącym z dnia na dzień i coraz bardziej srebrzącym się w przebijającym się świetle dnia, zieleni się i kwitnie tundra. Na lodową pustkę dalispywa uśmiech radości bijący z jaskrawych barw

BEZET.

Kronika tygodniowa

Bęc! Ni stąd ni zowąd rozpętała się okropna burza w szklance wody. Poprostu strach pomyśleć, co się działo ostatnimi dniami we Lwowie z powodu powstania nowego dwutygodnika „Wczoraj—Dziś—Jutro”. Istny Sąd Pański, zamieszanie, rwetes, wieża Babel. Plotki, domysły, żale, dąsy, narady, gniewy, konferencje, intrygi, groźby — co kto chce.

Kochana cenzura (oby żyła wiecznie) narobiła nie tylko nam, ale opinii publicznej istnego bigosu, bo w głowę zachodzono, zaco nas skonfiskowano. Oczywiście tego nie powiem, bo inaczej moja kronika świeciłaby żałobną pustką, białą plamą, gdyż i praworządne wieści, z jakimi się chcę podzielić mogłyby jako zakazane ulec snadnie srogiemu ołówkowi srogiemu cenzora, z którym osobiście wolę jak najlepiej żyć, bo życie jest tak miłe!...

Ale a propos tej burzy. Więc najpierw okrzyknięto nas Hitlerowcami, tak, jakbyśmy w Polsce nie mieli dość przyzwyczajonych polskich nazwisk na wyrażenie ideologii narodowych socjalistów. Czemu zaraz akurat Hitler? Tak niewolno. Nazwij-

my nasze bractwo n. p. wiśniowemi koszulami, lub żeby nie małpować zagranicy podartemi koszulami, a będziemy mieć godło jak ułan, bo mniej więcej każdy z nas jeśli już ma koszulę na grzbiecie, to napewno podartą. Potem sztydono z nas okrutnie, że jacyś dziennikarze, literaci, ludzie bez kredytu pieniężnego i t. d. ośmielili się mieć odwagę i zaczęli nie tylko wydawać dwutygodnik społeczno-polityczno-literacki, ale co gorsza — odgrają się, że małuczko, a przejdą na tygodnik. Z tego powodu radzono, radzono i... nic nie uradzono.

Mowa była nie tylko o konkurencji, ale o chęci zrobienia kariery, o rozboju na gładkiej drodze i o wszystkich siedmiu grzechach głównych wogóle i w szczególe. Ktoś się poczuł obrażony, ktoś w swym istnieniu zagrożony. Ci się bali, że im przybył nowy, groźny konkurent, owi zasie, że nowy wróg i nieprzyjaciel. Więc społem, społecznie, po polsku: Hajże na Soplicę!

Jednym słowem pękła we Lwowie bania z mydlinami. Niepozorny dwutygodnik, in spe tygodnik, nawarzył jednym piwa, jednym napędził strachu, a jeszcze jednym napsuł złości. Nikt się jakoś nie znalazł, któryby powiedział szczerze: witamy was chlebem i solą, bo tylko nato nas stać. I sercem. Lwów, gdzie się tyle cygaństwa literackiego mieściło i mieści nie mógł się jakoś ani rusz zdobyć na tygodnik niezależny, a wy

młodzi straceńcy porwaliście się z motyką na słońce. Ale nic to. Stworzyliście rzecz dobrą i pożyteczną i przeto was witamy. — Tak nikt nie powiedział, ale zato uderzono we wielki bęben, że przybył nowy intruz.

Tak było jednak tylko „w sferach miarodajnych”, bo Lwów jako taki, ten żywy, wesoły, rozgwarzony, lwowska ulica, handel i rzemiosło — przyjęły nas z otwartymi rękami, bo właśnie potrzebowano takiego organu prasowego, jakim jesteśmy; dalekiego od kalkulacji, kombinacji i o jasnym, uczciwym obliczu.

I takimi pozostaniemy.

Jak już wiadomo z prasy codziennej, doszło w Pradze do czułej zgody pomiędzy prześladowanymi żydkami, a hitlerowskimi Niemcami. Interes sfinalizowano narazie kosztem trzech milionów marek, bynajmniej nie w gotówce, ale w naturze. Transakcji patronował Nahum Sokół, wielki żydowski prorok współczesny. W ten sposób Niemcy pozbyli się niewygodnego balastu tanim kosztem, a Izrael ma odjechać do Palestyny z pieśnią tryumfu na ustach.

Fakt, że zgoda została zawarta dał się jednak odczuć i na naszym rynku. Władze celne mają już niemało kłopotu z przemycanymi futrami, jedwabiami, tkaninami i innymi artykułami z napisem „made in Germany”. Zapytany przeze mnie na

kwiaków, leci poszum szklany drobnych liści brzoźowego gaju, wysokiemu człowiekowi, gdyby się tam znalazł, zaledwie po pas.

Księżyc zaszedł, Dokoła rozsnuły się srebrzyste ostatnie lśnienia poświaty. Drzemia szare pola lodów. Plesze tundry sinieją jak stal. Tylko dale pachną lodem a niebo nabite gwiazdami ucieka w głąb.

Na załom lodospadu wytoczyła się raptem czarna kula — i czeka. Ma lśniących oczek dwoje, kanciaste policzki, lepkie kosmyki włosów i płaski nos.

Głowa przymarzła do krawędzi lodu patrzy i czeka. Góry lodowych zwałów nieruchome i groźne, zimne i złe, w dotknięciu parzą mrozem.

Od szarych lodowych wzgórz, opodał od krawędzi z przyczajoną kulą z ciekawymi oczkami, oderwała się bez szmeru ogromna skośna bryła, czarniejsza niż lód. Bryła rusza się, idzie, raczej sunie ścieżką pośród lodowych stoków.

Kiedy przystanie i obróci się bokiem, z przodu żywej góry zwisa ruchomy konar, niespokojny jak rozdrażniony pyton. Po bokach ruchliwego węża, ku górze, ku śmiesznie ludzko sklepionemu czołu żywej masy sterczą zagięte w ogromny łuk żółtawe zęby.

Dwa długie i grube konary z kości, każdy po trzy cetnary wagi.

Mastodont — mamut.

Błyszczącą parą oczek kula na krawędzi lodu zapadła się za lodowy ostry złom.

Żywa góra cielska, ogromna jak sterta siana, kudłata, obwieszona pasmami sierści niczem rudy mech, sunie ku brzegowi tundry. Każdemu krokowi, na którego wykonanie potrzeba wiele czasu, towarzyszy zadowolony gulgot i wyparsk mozołu pod naciskiem trzydziestu ton żywego ciała.

Pęki zielska i traw duże jak wiązki siana huśtają się na końcu trąby nim znikną w otchłani paszczy.

Do świtu już niedaleko. Cisza, mroźna i drżąca, wisi nad lodami. Z dali dudni głuchy grom; biegnie lodem, mruczy w jego głębiach jak rozdrażniony zwierz.

Gdzieś pękł lód na całej szerokości lodowca, sto metrów w głąb.

Dudniący głucho grom do złudy przypomina chrupot łamanych kości...

Żywa sterta pasacą się pośrodku tundry zachwiała się w mroku, w tem jakby przysiadła tyłem, pochyliła i zapadła się w tundrę, w nieznaną głębię.

Runął grom i wstrząsły się w posadach swych lody. Nad trundrą załamał się ostry, suchy, szklany brzęk. Biały tuman lodowego

opylu zawisł przez moment nad otchłania zimnego krateru, i jakby kopnięty stopą olbrzyma, zwałił się lawą mroźnego mialu na lodowe turnie, perlówce jary i tundrową ruń.

Tundra zakwitła nagle białą puchem lodowej oszedzi.

Tysiące rozbryzgów szklanych dzwoni po niewidocznych ścianach. W głąb otchłania, nieskończenie chyba głębokiej przepaści, sypie się wciąż i wciąż, z szumem wielkiej wody, srebrny, szklany piach.

Z głębi otchłani, po której z śpiewem słodkim w podskokach zbiega ostatni szklany złom, ryczy w przedśmiertnym ścisku bólu i ślepego strachu przerażona krtań. Orkan śmiertelnego bólu grzmi po lodowych polach, łamie się po zakamarach, chlipie łzami w szczelinach, okręca grube lodowe sople. Od zimnych, szarych w porannym brzasku, turni lodowca echem tysiąkrotnem odbija się groza.

Po muszlowych śliskich ścianach przepaści spadają czarne grudki ziemi. Z szelestem listków zsuwa się karłowata brzośka. Wśród nagich żółtych korzeni czepiają się uparte strzępy darni. W zimny grób wiankiem wesołych jaskrawych barw pochyliły się podbiegunowe kwiaty. Głęboko zwisa girlanda brunatnych krzyżyków Atragene na długich ljanach pędów, mocnych i giętkich jak stalowy drut.

Jest znowu słoneczna cisza poranku.

Nad lodowym złomem wyskoczyła nagle czarna kula głowy. Radośnie skrzą się roz-

biegane oczka. Ponad głowę podniosło się nagie ramie i w tej chwili dziesiątek lepkimi kosmykami oplecionych głów obsiadł lodowy cypel. Podskoczyły i wyprostowały się ludzkie pochylone postacie w kożuszkach i zgrają bezładną pogały w martwą ciszę rozsnutą nad szczątkiem tundry. W dłoniach ludzkich śmigają długie kijki, a na nich przymocowane były krzemienia wyostrzone na straszny klin.

Wstające słońce świeci nad lodami radnym uśmiechem życia. Rdzawe zwały lodów w ciepłym złocie wschodu płoną krwawo, jakby oblane świeżą posoką.

Nad tundrą wzbił się wysoko siny, równy słupek dymu.

Zza lodowych skał, płonących w słońcu, zajęczał żałośnie płacz szał. Odpowiedział mu w dali cichy skowyt rozbudzonego jaskiniowego wilka. Wietrzy zapach świeżego pieczonego mięsiwa.

Na płaskim strzępku tundry, przedartej w pośrodku potworną raną przepaści, zosłał człowiek — zwycięski i syty...

W przedsionku kościoła w Olesku wisi na łańcuchach kilka mamutowych kości, znalezionych przed laty w okolicy.

PIOTR KONTNY

Pospolite ruszenie kato lickie

Historyka Kościoła katolickiego doby nowożytnej uderza jedno, wysoce charakterystyczne zjawisko: przesunięcie terenu ideowego jego walki na lewo. Społeczność prawowiernych chrześcijan na ziemi, walczyła zawsze, bo od tego była, jest i będzie Kościołem wojującym, pomnym słów Zbawiciela: „Nie przyszedłem wnieść pokój, ale miecz”. Różnemi jednak czasami, walczyła rozmaicie. Inaczej w średniowieczu, inaczej za reformacji, inaczej w erze nowoczesnej.

Schizma wschodnia i wystąpienie Lutra zmobilizowały katolicyzm do walki o demozyt wiary, o całość i nienaruszalność Objawienia, o ciągłość i poszanowanie kościelnej tradycji poapostolskiej. Ale od drugiej połowy XVII wieku zaczyna się — ze Spinozą — atak na same podstawy chrześcijaństwa. Nie w sensie takiego lub innego rozumienia dogmatów, nie o taki, czy inny stosunek do autorytetu biblij, względnie papieża, nie o zależność człowieka

od łaski Bożej. — jeno atak na sam teizm, jako taki, na dogmat stworzenia i odkupienia, na nieśmiertelność i substancjalność duszy ludzkiej, na winę, karę i odpowiedzialność jednostki za zło, które w niej jest.

Jansenizm stanowi ostatnią herezję w Kościele katolickim, po nim przychodzi już w wieku XVIII, w wigilię rewolucji francuskiej, wolna myśl wolterjańska, wyśmianie cudów i nadprzyrodzoności, materializm, powrót do religii natury. I odtąd zaczyna się walka z nowym pogaństwem, z bezbożnictwem, z bezprawiem moralnym, które na miejsce przykazań Bożych stawia samowolę jednostki, przed nikim za nic nie odpowiedzialnej.

Ta walka o rację bytu zasad Chrystusowych, jako drógowskazu, o rację istnienia chrześcijaństwa, któremu ludzkość zawdzięcza nieskończenie wiele choćby tylko w dziedzinie kultury, — nadaje ton i barwę poczynaniom katolików ostatnich dwu stuleci. Natężenie jej

ten temat jeden wielki żydowski patryjot, tak mi rzecz wyłożył:

— Proszę pana, tu idzie o interes, a kto nie chce zrobić interesu, ten głupi i goj. Niemcy nas bili i wtedy był gwałt, ale dziś nas już nie biją i można z nimi jakoś żyć. Uś, czemu by nie? A zresztą, czemu my mamy być lepsi niż wy, którzy kupujecie przemycany towar? Dla żydów my nie przemycamy!

Naturalnie na tak postawioną kwestję nie miałem responsu. Słusznie! Dlaczego oni mieliby być lepsi, niż my? Całe szczęście, że poczciwi nasi strażnicy graniczni czuwają nad przemytnictwem i w ten sposób przyczyniają się pośrednio do czystości naszego sumienia i narodowego uświadomienia.

Ten sam patryjot, zwierzał mi się następnie pod największym sekretem, że do tej ugody doszło, tylko dlatego tak łatwo, ponieważ pojawił się w krajach Trzeciej Rzeszy horrendalny pomysł sterylizacji wybranego narodu, i tego właśnie, miał się przestraszyć kongres w Pradze, a najbardziej sam Nahum Sokołów, który nie chce być absolutnie sterylizowany. Woli wyjechać raczej tam, kędy rosną daktyle i dojrzewają pomarańcze, lub choćby do Polski. I tem mnie oczywiście przekonał.

Niemal w przededniu rozpoczęcia roku szkolnego akademickiego, przeprowadzono redukcję katedr. Zlikwidowano więc szereg katedr na wszystkich uniwersytetach polskich, tak, że tym

razem bezrobocie dotknęło najwyższe nasze powagi naukowe. Ale Warszawa już pomyślała o zabezpieczeniu pracy i dla zredukowanych. W miejscach zniesionych, mają być kreowane nowe: gimnastyki, futbolu, szybkiego, z płótkami i bez płótków, hokeyu, a dla starszej generacji bridża. Oprócz tego jak donoszą z Warszawy, uniwersytet jerozolimski został zrównany pod względem nauki i uprawnień z krajowymi, czyli że polacy profesorowie będą się mogli ubiegać o niejedną z katedr w Jerozolimie, z którą istnieje najżywszy kontakt. Niewiadomo tylko czy nasi uczeni dadzą sobie radę z tamtejszymi przedmiotami, które obejmują m. i. naukę o lichwie, sztukę szmuglowania, handel kokainą i żywym towarem kumie najważniejszą z katedr — sztukę robienia komunizmu i internacjonalizmu. Jak słysząc, dla wychowanków uniwersytetu jerozolimskiego robi się już wolne posady, to też kto żywy, winien tam wyjechać na studia, zamiast męczyć się na krajowych fakultetach, a potem czekać beznadziejnie na posadę, z pensją 150 zł miesięcznie, albo nawet mniej, bo różnicę można sobie z łatwością dorobić w godzinach pozaurzędowych śpiewaniem przed oknami na podwórzach przy dźwiękach gitary, jak to jest obecnie praktykowane dziś we Lwowie.

Jeśli kto nie wiedział, gdzie leżą Zaleszczyki, ten kiep. Takiemu trzeba wyjaśnić, że to dziś sławne miasto leży nad Dniestrem, na granicy

rumuńskiej, niedaleko Buczacza, gdzie zawarto w swoim czasie niesławny dla imienia polskiego pokój. Owóż na Zaleszczyki są obecnie zwrócone oczy nie tylko całej Polski, ale całego świata. Tak, jak na Genewę. Wedle doniesień pism krakowskich i zawsze dobrze poinformowanych łódzkich, ma tam zawitać niebawem premier rumuński, poseł sowiecki, ktoś z rządu tureckiego, jugosłowiańskiego i innych rządów. Bawi tam także znaczna część „elity”, podobno same tuzy. Mój przyjaciel Fajn zapewniał mnie pod słowem honoru, że w Zaleszczykach bawi też cudotwórca z Betza i wysnuwał stąd nieprawdopodobne wnioski. Jest to oczywiście wiadomość, uzyskana pocztą pantoflową i podaje ją nie na rachunek PATA, ale tegoż Fajna. Niech on odpowiada za autentyczność! Z wiadomości tych wynika jednak niezbicie, że niebawem dojdzie w Zaleszczykach do doniosłych konferencji i postanowień, które wstrząsną podwalinami niejednego państwa i zadecydują o wielkich rzeczach i sprawach. Tym sposobem Zaleszczyki przejdą do historii podobnie jak Haga, Trianon, albo Brześć, gdzie zawierano różne wielkie pakt.

Nakoniec ostatnie, najważniejsze zdarzenie tygodnia. P. majora Owoca, na skutek wniesione apelacji do Najwyższego Sądu, uwolniono od winy i kary za zbrodnię kichania. Gdyby nie to, byłby się musiał odnieść aż do łaski P. Prezydenta.

(zakres i owocność) wzmagalo się i słabło, ale nigdy nie zamierało całkowicie.

W naszym pokoleniu przyszedł czas na konsolidację tej walki, na ujęcie rozproszonych wysiłków w zwarte ramy organizacyjne, na „zestrzelenie myśli w jedno ognisko“, ognisko miłości Boga i bliźniego.

Owo scalenie, zunifikowanie indywidualnych poczynań, tego, co się robi w pojedynkę, od wypadku do wypadku, zamiast gromada i na dłuższą metę — ma dać i zapewnić Akcja Katolicka, czyli apostołstwo świeckich pod kierunkiem hierarchii kościelnej, prawdziwa armia na Chrystusa ordynansach.

Możemy więc śmiało nazwać tę Akcję popolitem ruszeniem Kościoła, powołaniem przez Namiestnika Chrystusowego pod broń, zmobilizowaniem do walki pod najszczytniejszym ze wszystkich hasłem archanioła Michała: „Quis ut Deus“ — „Któż jako Bóg?“

Nie na zwycięstwo klerykalizmu, nie na panowanie księży, formuje się na placu boju to wojsko ducha. I nie o polityczne cele, czy widoki idzie tu gra. Stawka jest wyższa: zbawienie dusz, pieczy Kościoła poruczonych, realizacja Królestwa Bożego, o którym Mistrz wyraźnie powiedział, że ono w nas jest.

Tyle się już mówiło, dyskutowało, pisało na temat istoty, przeznaczenia i wykonywania Akcji Katolickiej, że spora biblioteczka z tych głosów (drukowanych tylko) złożyłaby się dała. A przecież zamało i za słabo podkreśliło się znanie uduchowiające, znaczenie umoralniające owego werbunku ochotniczego do pracy w winnicy Pańskiej, nie za grosz dziennej zasługi, ale za nagrodę wieczną.

Żyjemy w czasach przeraźliwego materializmu, kiedy wokół osi zabiegów o chleb codzienny wszystko zda się bez reszty obracać. I w takich czasach szarzyzny beznadziejnej, egzystencji nieledwie zwierzęcej, czujemy od sztandarów Akcji Katol. świeży, krzepiący powiew idealizmu czystego, do którego niejedną w skrytości ducha tak niekiedy w tajemnicy może przed samym sobą tęsknić.

Ogromnie nam tego idealizmu potrzeba. Dźwignią on wielką i niezastąpioną i nieocenioną wszystkich szlachetniejszych w człowieku pierwiastków, wznoszących go ponad naturę i marne, niskie warunki zwierzęcego bytowania, czy po prostu — wegetacji.

Dziś, kiedy różni podejrzani „reformatorzy“ przenoszą punkt ciężkości i zainteresowań z głowy do podbrzusza, sprzymierzając się z „partią pełnego żołądka“, jaką tworzy socjalizm i komunizm — tembardziej ważny jest głos, wołający i przypominający z wyżyny obowiązków duchowo-moralnych, że nie samym chlebem żyje człowiek ale i Słowem Bożem, powierzonym tym, którzy poznają Prawdę i których Prawda wyswobodzi.

Prawem reakcji i prawem kontrastu winniśmy właśnie naprzekór tymczasem Antychrysta najwyższą wagę przywiązywać do spraw wiekujących i tą nieustanną, gorliwą troskę o duszę, jako rękojmię człowieczeństwa, przepając i przeświecając całość drogi życiowej, całość wędrówki po rozłogach doczesności, prowadzących ku bramom zaświata.

W tem idealizującym nastawieniu umysłów i serc widzimy cechę wytyczną, kierowniczą Akcji Katolickiej, niezależnie od jej doraźnych pociągnień i bieżącej taktyki. Bo te codzienne ćwiczenia pospolitego ruszenia katolickiego są niewątpliwie pożyteczne i nawet niezbędne, jako przygotowanie i jako przeszkolenie, lecz nie one decydują o zwycięstwie.

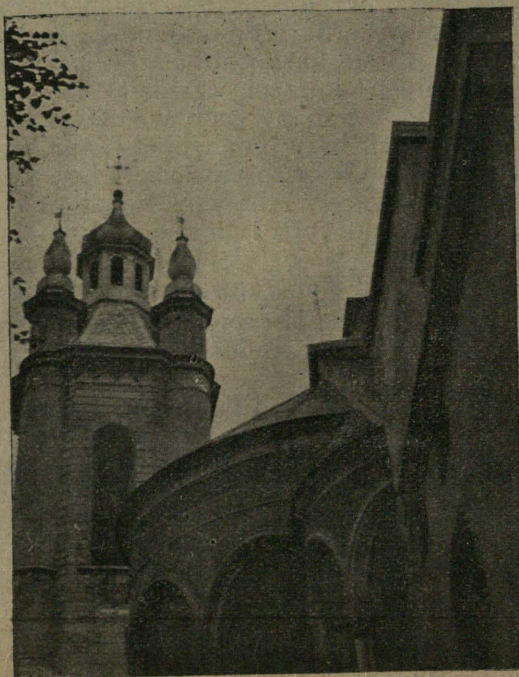
O tem drugim rozstrzyga u żołnierza — odwaga, u katolika, u sprawiedliwego — wiara, bez której nie można podobać się Bogu. A wiara nie narodzi się w sercu materialisty, bo jego bożkiem brzuch jest. I łaski posięścia wiary nie otrzyma ten, kto zapomni o słowach Pana, że „Duch jest, który ożywia, ciało nic nie pomaga.“

CZESŁAW LECHICKI.

Sztuki plastyczne na Ziemi Śląskiej

Lasy dymiących tumanami sadzy komiń. Miarowy stukot tysięcy maszyn, podziemne dudnienia, wstrząsy i detonacje, kłębówisko ludzkie pulsujące życiem, zapracowane, żądne dóbr materialnych, lub nawet kawałka chleba tylko. Oto środowisko, w które nieśmiało krokami chwiejnie wkracza Sztuka, pragnąca oderwać na chwilę myśl społeczeństwa od realizmu życia, materializmu, wskazać inne wartości życiowe.

Wyrokami Przeznaczenia rozrzucone po tej Ziemi Śląskiej jednostki zdolne, służące Sztuce. kierując się myślą aby zbiorowym wysiłkiem zbudować potężny gmach Sztuki, zrzeszyły się, tworząc „Związek Zawodowy Artystów Plastyków na Śląsku, z siedzibą w Katowicach.“



Lwów. Fragment katedry ormiańskiej.

Mimo przeciwności, mimo niezrozumienia i obojętności, popierany z początku przez czynniki władające na Śląsku, ostatecznie zupełnie zapomniany, żyje Związek i pracuje, wykazując upór dziecięcia, domagającego się z dnia na dzień swoich praw do egzystencji.

Organizuje pokazy prac swoich członków i obcych artystów, ufając że mimo „kryzysu“ nie tylko materialnego lecz i umysłowego uda mu się wszczepić nie tylko wśród jednostek, umiających żyć życiem intelektualnym ale i wśród najszerzych warstw urzędniczych czy rzemieślniczych, zamiłowanie do Sztuki prawdziwej, wolnej od błagi, wnieść słońce i barwy nie tylko do gabinetów i salonów luksusowo urządzonej przez możnych i zasobnych, ale do skromnych mieszkań urzędnika czy robotnika.

Ktoś gotów mnie posadzić o mrzonki i twierdzić że niemożliwe aby sztuką interesować się mogli ludzie tego pokroju jak górnik, rzemieślnik, drobny kupiec i inni.

Tego zapraszam ze mną do mieszkań tych ludzi na Śląsku. Tam będzie mógł przekonać się że Ślązacy lubią czystość, estetycznie urządzone mieszkania, a na ścianach znaleźć tam w pięknych, nieraz bogatych ramach, reprodukcje lub bezpretensjonalne, skromne malowidła, zdobyte za cenę, która pozwoliła by nabyć dzieło wykonane ręką artysty. Zamiłowanie do Piękna w ludzie Śląskim jest, tkwi w głębi duszy, trzeba je tylko rozbudzić.

Powstanie Związku jako takiego datuje się od czasu urządzenia przez grono artystów Krakowskich za pośrednictwem Towarzystwa wystaw i Propagandy Gospodarczej w Katowicach, wystawy dzieł sztuki w r. 1928, w którym oprócz artystów Krakowskich, jako grupa, wzięli udział artyści pracujący na Śląsku. Wówczas okazało się, że Śląsk posiada wielu artystów bardzo zdolnych, których prace stoją na należytym poziomie, a stworzenie Związku ożywi, dotychczas tylko przez jednostki pobudzany ruch artystyczny.

I rzeczywiście. W czterech latach istnienia Związek zorganizował szereg wystaw, a mianowicie jako Związek w październiku i listopadzie 1929 r., w jesieni 1930 wystawę honorowego prezesa śp. prof. Juliana Fałata, w grudniu 1930 wystawę prac własnych członków, po niej wystawę „Szukalszczyków“ i karykatur Roleckiego, ponadto sztuki huculskiej w grudniu 1931 wystawę prac własnych członków, a przedtem wielką wystawę Sztuki Religijnej oraz wystawę jesienną w r. 1932.

Jak wynika z tego przeglądu, nie chodziło tylko o wystawy prac własnych tylko członków, ale Sztukę we wszelkich jej przejawach.

Śmiało rzec można, że wystawy te, popularyzując Sztukę, przyczyniły się do zainteresowania się nią coraz to szerszych kół publiczności, tak z Katowic jak i okolicy, a w połączeniu z wystawami urządzonymi poza Związkiem, jak Styków i Kossaków, spełniały dobrze swoją misję, dając publiczności zawsze coś nowego.

Krok za krokiem Sztuka zdobywała sobie sympatię nie tylko środowiska kulturalnego, ale najszerzych mas, tłumnie zwiedzających wystawy Kossaków, Fałata, Sztuki Religijnej, Styków i Związku.

Szczegółowego opisu tych wystaw nie potrzeba. Zajmowały się tem w pewnej mierze dzienniki (coprawda nie w tych rozmiarach jak np. kroniką sportową).

Nie będę zajmować się krytyką, bo to nie należy do tematu który sobie postanowiłem, i nie chciałbym niczem urazić krytyków miejscowych, przez podważanie tem ich autorytetu, co mógłbym snadnie, (ze swoją szkodą w przyszłości), uczynić.

Wzamięniam za to, odważę się scharakteryzować grono plastyków z mojego punktu widzenia. Niech mi wybaczą ci którym tylko parę słów poświęcę, oraz ci którym ze względu na ich twórczość należałoby się szersze omówienie. Ograniczone ramy niniejszego artykułu zmuszają mnie do tego, a o każdym członku Związku, pragnąłbym parę słów napisać, możliwie w sposób jak najbardziej obiektywny.

Dla ułatwienia zorientowania się czytelnikowi, postaram się ująć charakterystykę, dzieląc artystów pod wzgl. twórczości na grupy zbliżonych do siebie, jakkolwiek o istnieniu jakiejś wyraźnej wyodrębniającej się grupy nie można mówić, bowiem przeważnie każdy z artystów pracuje samodzielnie, idąc swoimi drogami i zdobywając własną pracą nowe wartości.

Najliczniej przedstawia się grupa realistów, hołdująca dobrej Sztuce — do której trzeba mieć należyte przygotowanie, umieć posługiwać się rysunkiem tak zaniedbanym przez niektóre modernizujące jednostki, no i kolorem jakoteż fakturą. Potrzebne też jest tu, aby pracować z powodzeniem, tzw. sumienie artystyczne, które artyście nie pozwala zejść na manowce.

Senjorem w tem gronie (równocześnie jednym z założycieli związku) jest prezes — prof. Stanisław Ligoń. Może się on poszczycić bardzo poważnym dorobkiem w dziedzinie Sztuki religijnej, dekoracyjnej. Uprawia z zamiłowaniem tematy rodzajowe — zasłużony karykaturzysta regionalny, wybitny przedstawiciel realizmu, wychowanek szkoły Monachijskiej.

Józef Kidoń to malarz par excellence portretów świata eleganckiego, elity towarzyskiej Katowic, z pasją oddający się portretowi kobiecemu, jakkolwiek ostatnio do swych pędzli wniósł dużo słońca, powietrza i barwy. Mocny portret męski.

Steller Paweł, realista, doskonały rysownik, cała duszą grafik, może się poszczycić wieloma sukcesami w tej dziedzinie. Uprawia z zamiłowaniem malarstwo rodzajowe, tak akwarelowe jak i olejne. Silne piętno wywarła na nim szkoła prof. Skoczylasa, przejawiająca się w pedanterji i sumiennosci w rysunku. Oryginalny dorobek posiada w zdobnictwie książkowym.

Bunsch Adam — komponuje obrazy o podłożu filozoficznym, większość na tematy wojenne. Doskonały rysownik, z pasją oddaje się grafice, pracując głównie w drzeworycie kolorowanym. Wystawia w kraju jak zagranicą. Wychowanek Krakowskiej Akad. Szt. P. Charakterystyczną cechą jego obrazów jest chłodny ton szary, z którego przez umiejętne stosowanie dekoracyjnych plam barwnych wydobywa efekty bardzo ciekawe, niemające jednak nic wspólnego z pospolitą łaskotliwością efekcikami. Obrazy te zmuszają widza do zatrzymania się, przykuwając niejako do miejsca. Z równym powodzeniem maluje portrety jak pejzaże. Bardzo oryginalna technika. Wybitna indywidualność w tem gronie.

Bardzo zdolnym przedstawicielem realizmu, patrzącego też na świat z punktu widzenia impresjonisty, jest Myśliwiec Rudolf, malarz wszechstronny, z równym powodzeniem malujący tak pejzaże jak portrety. Prace jego noszą znamiona bardzo sumiennego fachowego przygotowania i znamionują artystę o b. dużej przyszłości.

Gościński Władysław — oddaje się w równej mierze rzeźbie jak i malarstwu. Realista w jednym jak drugim, wykazuje wszechstronność w tematach. Jego portret — żywy, mocny w kolorze, śmiały w ujęciu. Maluje pejzaż śląski, Zagłębia węglowego, jest i z Beskidów Śląskich, oraz Tatr. Ma za sobą poważne prace w zakresie rzeźby dekoracyjnej i na tematy batalistyczne. Uczeń m. i. prof. Skoczylasa.

Wałach Jan — realista i przedstawiciel sztuki religijnej. Z równym powodzeniem malujący portret, pejzaż, jak i sceny rodzajowe oparte o regionalne motywy ze Śląska Cieszyńskiego. Sztukę swoją umiłowal z fanatyzmem i kontynuuje ją, nie opuszczając swego pustelniczego ustronia w Istebnej i swego tam Sanktuarium — mimo że frywolna bogini Fortuna zwykła do pustelnicznych zakątków nie zaglądać. Dlatego też zasługuje na podziw i uznanie.

Wymienię jeszcze należących do tej grupy, z większymi lub mniejszymi odchyleniami od niej jak: Klimowski Stanisław, malarz wszechstronny i doskonały pejzażysta oraz portrecista. M. Helm — Pirgo, architekt, który jednak z zamiłowaniem opracowuje tematy malarskie wykazując zalety doskonałego rysownika. Bimmler Augustyn, typowy przedstawiciel Szkoły Monachijskiej z jej zaletami i wadami, Kratochwila Adam — pejzażysta, Neumann Jan, bardzo zdolny malarz, opracowuje tematy zaczerpnięte z ciężkiego przemysłu, Kowalewicz Piotr — obrazy o tematach rodzajowych, opartych na folklorze śląskim w pięknych strojach ludowych. Oglądanych niestety rzadko w życiu codziennym, częściej w muzeach.

Dalej idą: Konarzewski Ludwik, malarz opracowujący głównie tematy z zakresu Sztuki ludowej, i sztuki kościelnej — w ostatnich czasach nie daje znaku życia o sobie, Grabczok Jan — impresjonista, przeważnie maluje pejzaże, Tor Józef — malarz o zacięciu impresjonistycznym suchy, twardy w rysunku, opracowuje różne tematy, z różnym powodzeniem i Skawiński Jan — pejzażysta.

Następnie Lewandowska Aniela o zacięciu impresjonistycznym absolwentka Szkoły Warszawskiej, dobrze zapowiadająca się artystka, Kontski Stefan — malarz wszechstronny, b. zdolny portrecista i pejzażysta, Słupik, Chrzanowski Stanisław i Pol Leon znany tego ostatniego tylko martwe natury oraz Kłapucki L.

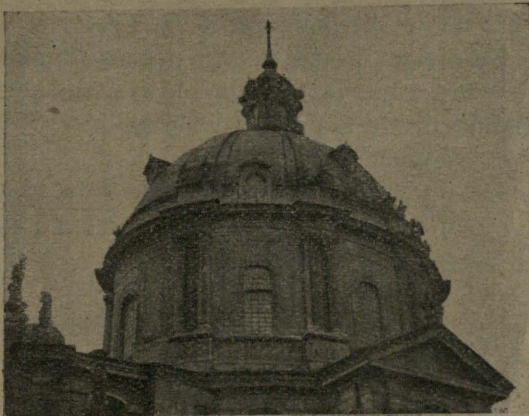
Zechce mi wybaczyć cierpliwy czytelnik, który tą drogą litanję przeczytał od deski do deski i może cokolwiek się znudził. Zależało mi na wymienieniu wszystkich, którzy nie tylko w szerszym zakresie pracują, ale choćby tylko skromnym dorobkiem przyczyniają się do krzewienia Sztuki.

Uważam za obojętne dla nas, czy wszyscy idą z duchem czasu i tworzą wielkie rzeczy, czy też skromne obrazki, pokupne, o różnej wartości, jak gdyby oderwane od dzisiejszych poglądów na Sztukę; należą do naszej skromnej rodziny artystycznej, i należy ich wy-

mienić. Najważniejszym jest, że pracują i krzewią swoją ideę.

Tu nie od rzeczy będzie, jeżeli w tej materji przypomnę czytelnikom słowa jednego z najpoważniejszych obecnie filozofów i myślicieli polskich W. Lutosławskiego, który mówiąc o sztuce przytacza takie zdania: „Niema muru chińskiego między najdoskonalszym dziełem Sztuki a najpospolitszymi jej przejawami, choć są nieskończone stopnie doskonałości każdego obrazu. Wszystkie jednak one są wywołane dążeniem do piękna, którego niższe szczeble taksamo są niezbędne jak najwyższe”.

W innym miejscu pisze: „Czy ten urodzony artysta, który maluje na sprzedaż obrazki mniej doskonałe zasługuje na naszą pogardę i naganę? Czy ma zarabiać na życie nie pędzlem, ale jakim narzędziem rzemieślniczym?”



Lwów. Kopuła kościoła OO. Dominikanów.

F a ł s z y w y idealista odpowie, że artysta powinien tylko szerzyć najlepszy ideał do którego jest uzdolniony i malowanie pokupnych obrazków jest poniżeniem Sztuki”.

Na uspokojenie tych którzy łączą mogliby mi zarzucić, że odważam się szerzyć propagandę miernoty — przytoczę znowu zdanie tego wielkiego myśliciela: „Wielki artysta o ile nim jest istotnie, to będzie czuł nieugaszone pragnienie twórczości i na zarobek tyle będzie pracował, ile koniecznie potrzeba”.

Wszak specjalnego tłumaczenia nie potrzebuje fakt, że najcenniejsze dzieła sztuki latami oczekują na nabywców, którzy niestety dopiero namyślą się i nabywają dzieło, kiedy artysta już przeniósł się w zaświ ty. A proszę sobie tylko wyobrazić ile to zachodu, trudu, specjalnych studiów wymaga stworzenie „d z i e ł a”? Wszak dzieła nie tworzy się w minucie i trzeba lat pracy nieraz żeby jakieś monumentalne dzieło zostało wykonane. A prawa życia są nieublagane. Aby wyżyć trzeba posiadać choćby najskromniejsze podstawy materialne, zapewniające artystę byt.

Oderwijmy się znowu na chwilę od poglądów filozoficznych na Sztukę i zajmijmy się znowu artystami — bowiem lista jeszcze nie wyczerpana, jakkolwiek ma się ku końcowi. Parę słów pragnę poświęcić przedstawicielom „modernizmu”, krzewiącym swoje idee w sposób

może zbyt radykalny. Są tu: śp. Applebaum Maurycy (angielska szkoła), który w ub. roku opuścił nasze grono pozostawiając obfitą spuściznę w postaci dzieł opartych na nadrealizmie, mocnych w ujęciu i kompozycji, oryginalnych w kolorze, kompozycji, opartych na logicznie wyrozumowanej konstrukcji, i Sikora Franciszek zimny, twardy i ciężki przedstawiciel szkoły Berlińskiej.

Z rzeźbiarzy Związek posiada: honorowego członka Raszkę Karola i Chorembalskiego, twórcę pomników Moniuszki w Katowicach, Pawstańca w Królewskiej Hucie już wspomnianego Gościńskiego Władysława, Serrettę J. rzeźbiarza pracującego z powodzeniem w tak trudnym materiale jakim jest drzewo — oddającego się przeważnie sztuce religijnej, i młodego wychowanka prof. Laszczki, Langmana Bogusława.

Tu kończy się lista czynnych członków Związku.

Są może ludzie, którzy zaciekawili by się rozbiorem krytycznym działalności poszczególnych przedstawicieli sztuki. Przepraszam jednak, że sprawię im zawód — bowiem celem niniejszego artykułu było przedstawienie w sposób popularny, dla każdego zrozumiały tego, co jest, danie obrazu żywotności i pracy Związku, a nie krytyka.

Opisując życie Związku, trudno nie wspomnieć o tem, że w czasie organizowania był Związek jako taki popierany przez Województwo, Magistrat Katowic i in. oraz prasę.

Stanowisko to Władz zachęcało do pracy, oraz pozwalało na zorganizowanie szeregu imprez które na początku artykułu wyliczyłem. Obecnie jednak jest przez te czynniki zupełnie zapomniany; mimo że pracuje, i swoją misję spełnia.

Bardzo poważnym ciosem jest odebranie Związkowi lokalu przez Województwo. Z jakich przyczyn — trudno dociec, bowiem to, że sklep który tam się znajduje i Urząd Skarbowy na piętze płacą czynsze dzierżawne, to nie jest istotnie. Wszak Skarb Śląski mimo kompresji budżetu nie został tem właśnie uratowany.

W byłej siedzibie Sztuki, na parterze rozpiera się dziś szewstwo — skład obuwia Del-Ka, z piękną reklamą świetlną, na piętze Władze Skarbowe przysparzają dochody Skarbowi Państwa, a „Sztuka”?

Siedzi sobie nago na ulicy i poplakuje z zimna.

Naiwni — różne z tego wysnuwają wnioski na temat likwidacji Związku, upadku a nawet swego czasu jakiś przygodny korespondent, do tak fachowego pisma jakim jest „Głos Plastyków” wychodzący w Krakowie, w numerze okazowym nowej edycji wysnuł, że dzięki temu, ruch artystyczny na Śląsku jest minimalny.

Tym odpowiem na otarcie łez, że lokal nie stanowi Związku, bo Związek to żywi artyści, którzy aczkolwiek ledwo zipią — pracują.

W. G.

Restauracja i pokoje do śniadań

śniadania — obiady — kolacje

Obfite dania „menu” i à la carte mięsne i jarskie — wyborowe trunki i napoje — Gorące i zimne dania.

Przy bufecie już od 50 groszy.

Wieczorem koncert. Ceny kryzysowe! Osobna sala na 80 osób na bankiety, towarzyskie zebrania i zabawy

???

KAMERALNE POLSKIE
KINO CHIMERA

Lwów, Akademicka 8.

???

Marjana Rafki

przedtem A. SZKROWRON

Lwów, ul. Kopernika 3

Telefon 26-72

Hitler we Lwowie (bajeczka)

Ulica Rejtana miała tego dnia swój zwyczajny wygląd. Tysiące niespokojnych postaci o typie wschodnim, ponurych oczach i niezwyklej ruchliwości. W twarzach chytrość i dobroduszość, przebiegłość i trwoga. Młodzie i starzy, mężczyźni i wyrostki, kobiety i dzieci, eleganci i nędzarze — wszyscy o twarzach wyrazistych, rasowych, niekiedy pięknych lub wręcz odpychających. Majestatyczne postacie starców o sklepionych łukach brwi, cienkich, prostych, lub krogulczo zakrzywionych nosach, albo obrzękłe twarze starych kobiet, tak brzydkie, że aż potworne, tłum rozgorączkowany, wiecznie zadyszany, niecierpliwy, swarliwy, rozgadany — całe ghetto, jakie istniało lat temu dwa tysiące i jeszcze dawniej. Tu stragany, pełno pomarańcz, bakalij, orzechów i różnych innych przysmaków, ówdzie roznoszą chłodniki: mętna ciesz o podejrzanym czystości i kolorze, gdzieś indziej makagigi, ciastka, słodycze. W każdym zaułku, kacie, cieni gromady a wszystko gada, naradza się, gestykuluje gwałtownie rękami i całą postacią, coś namiętnie udowadnia, przekonuje, namawia... Ręce w kieszeniach narzutek, skąd dochodzi dźwięk pieniędzy, w których przebierają nerwowe, niespokojne palce. Stoja po dwóch, po trzech, grupkami, grupami a oczy każdego skierowane podejrzliwie, łapczywie, czy nie pokaże się ktoś nie „ich“, obcy, przybłąda z innego świata, innej rasy, innego usposobienia. Jeśli się pokaże, zaraz go otaczają zdaleka, dyskretnie, krążą, kołują i przyjaźnie a chytrze zagadują.

— Może dolary?...

Jeśli wypadnie kupić — sprzedadzą chętnie, jeśli sprzedać — kupią z całą gotowością. Wtedy suche, kościste ręce wyciągają wytłuszczone portfele, pełne banknotów, lub wielkie parciane worki, napelnione srebrem a nerwowe palce liczą z zadziwiającą szybkością i wprawą czy to szeleszczące banknoty, czy monetą bitą.

Nikt tu nic nie robi przez cały dzień a przecież żyje. Czasem i to na krótko zapadnie w jakiejś ciemnej norze dla wypicia ciepłego wrzątku, gdy zimno lub zimnego chłod-

nika, gdy ciepło, przekąsi, posili się miniaturą drobiną i sunie znów na ulicę, stanowiącą wieczne targowisko, niezawodny warsztat pracy, niewyczerpane źródło dochodów.

Wtem tłum drgnął. Właśnie wszedł na ul. Rejtana silnie zbudowany, barczysty, krzepki mężczyzna. Oczy stalowe, chód pewny, stanowczy. Ale ubrany wytwornie, starannie. Oczy chytre, nieufne, inteligentne, wylupiające, zgaszone — wszystkie kierują się w tę stronę. Interes pewny, widoczny jak na dłoni, bo cóżby tu robił człowiek tego rodzaju, ten nie „ich“, gdyby nie miał interesu? Są pewne dolary, funty, marki, franki a może inna, grubsza jeszcze transakcja? Bo tu wszystko do nabycia i sprzedania: kamienice, majątki, zboże, artykuły drobne i większego kalibru, mieszkania, odzież, nawet ubezpieczenie na życie!

Najpierw pojedynczo, potem grupkami, ostrożnie, zdaleka kołują, krążą, zachodzą, zastępują drogę a potem dyskretnie:

— Może dolary?...

Obcy przystanął, popatrzył groźnie, chwilę jakby się nad czymś zastanawiał a potem warknął jedno tylko słowo:

— Rrrraus!

Tłum rozprószył się w mgnieniu oka. Szept, narady, swary.

Wtem ktoś krzyknął:

— Hitler!

Jakby za uderzeniem różdżki czarodziej-skiej ulica opustoszała. Czarne czeluście sklepów, sklepików, banków, bankczków, sienie, skrytki, zakarmarki — wszystko to wchłonęło błyskawicznie nieprzejrzane rzesze. Poznikały stragany. Nigdzie ani śladu chłodników, makagigi, czy bakalij. Pustka. Na ulicy pozostał jedynie brud i śmiecie...

W tej właśnie chwili nieboszczyk Rejtan musnął sumiastego wąsa i poprawił karabelę. Był zrehabilitowany...

GNIEWOSZ.



BEZET.

Societe anonyme

Czyby się znalazł w Polsce drugi taki spryciarz, któryby wpadł na domysł, że Don Miguelo Cattaro z Argentyny i pocziwy Majlech vel Mechel Katar z Jaworowa są jedną i tą samą osobistością? Prawda, że dudy w miech! — A przecież ja wpadłem na ten domysł! Ale bo też ja mam nos, co to nos! — Nochał, jak sam Sherlock Holmes! Ho, ho, ze mnie spryciarz nie na żarty, to też byłoby najwłaściwiej, gdyby mnie władze skarbowe zaangażowały do wywiadu podatkowego. Wziąłbym niedrogo, daję słowo, poszedłbym nawet na 10 proc., było niebyło! Zato urządziłbym takie spustoszenie w szeregach uchylających się od płacenia podatków, żeby im się rodzona babka przyśniła!

Majlech vel Mechel Katar jako taki żył właściwie krótko, bo wszystkiego co około 15 lat, to jest tak długo, dopóki siedział w Jaworowie, pomagając ojcu robić w zbożu i częściowo w żelazie, jak to głosił napis na drewnianym szyldzie i dopóki go nie zawezwała do Argentyny rodzona siostra Fajga, która już od kilku lat miała pierwszorzędną salon w Buenos, gdzie zarabiała w pocie czoła na swój posag, uparłszy się wyjść koniecznie zamąż za mecenasa, który bez posagu nie chciał o żeniactwie ani słyszeć.

Jadąc w tak dalekie światy, rozmyślał młody Majlech, że ostatecznie tak koleje jak i okręty

wymyślano tylko nato, żeby jemu było dobrze jechać. Bolało go tylko srodze, dlaczego jego takie tego interesu wprawie nie wymyślił, przez co nie on zarabiał, ale właśnie na nim zarabiano i przysięgił sobie w duchu, że niech się tylko rozejrzy w świecie, to on jeszcze nie takie rzeczy wymyśli.

Wysiadłszy na ląd amerykański, mały Majlech, idąc za wskazówkami już bardzo cywilizowanej Fajgi, pozwolił sobie choć z żalem obciąć korkociąg koło uszu i wykapał się po raz pierwszy w życiu. Uznawszy, że kąpiel nie tylko nie boli, ale co więcej jest rzeczą wcale dobrą, nabrał od razu animuszu i poczuł się nie tylko Aryjczykiem, ale samym Amerykaninem z krwi i kości.

Ponieważ w Ameryce a więc i w Argentynie wszystko idzie w należytem tempie i po amerykańsku, przeto i mały Majlech ani się nie spostrzegł, jak niebawem wyrósł na wysokiego dryblasę i nabrawszy eleganckich manier w pierwszorzędnym salonie swojej siostry, u której zaawansował na sekretarza, przezwiał się Don Miguelem Cattaro, rodem z samego Madrytu, czem imponował okrutnie gościom swojego własnego wyznania.

Gdy wybuchła wojna, Don Miguelo, jak przystało na prawdziwego syna swej wielkiej ojczyzny, zamienił się z wielkiego patriotyzmu na liweranta mrożonego mięsa argentyńskiego dla walczących szeregów austriackich. Kiedy mu po niej jakim czasie przeszkodziła w tem blokada,

Poświęcenie kamienia węgielnego pod kościół w Olesiovie.

W nowym rozwijającym się uzdrowisku Olesiovie pod Stanisławowem odbyło się poświęcenie kamienia węgielnego pod kościół murowany. Poświęcenia dokonał ks. Infułat dr. Baziak w asystencji proboszcza Łysieckiego, ks. kanonika Bąkowskiego i przeora OO. Dominikanów ks. Płaszczycy z Bohorodczan. W uroczystości wzięli udział pp.: Wicewojewoda stanisławowski Czerwiński, starosta Pajczkowski, im. m. Stanisławowa asesor Dąbrowski i dyrektor Ziobrowski, zastępca komendanta wojew. P. P. Zakrzewski, kom. pom. P. P. Hanusz, właściciele Olesiowa pp. Lewiccy i wielu innych zaproszonych gości. Również przybyła procesja z Drohomirczan i Łyscia, przy bardzo licznym udziale mieszkańców tych miejscowości.

Przed założeniem kamienia węgielnego odczytano akt darowizny, spisany na pergaminie, w którym podano, że właściciel Olesiowa ppulk. w rezerwie p. Aleksander Lewicki darowuje plac pod kościół w ilości 1.300 m² na wybudować się mający kościół rzymskokatolicki pod wezwaniem Św. Jakóba, p. kpt. rezerwy Jakób Lewicki zaś budowę kościoła przeprowadzi własnym sumptem jako jego fundator. Akt ten obecni podpisali i akt ten został wmurowany w kamień węgielny na wieczną pamiątkę. Kościół w Olesiovie według projektu inż. Krykiewicza ze Lwowa będzie miał pomieszczenie na przeszło 600 osób, a postawiony będzie na pięknym placu w samym środku Olesiowa i dominować będzie nad całym uzdrowiskiem. Budowę przeprowadzać będzie inż. Noskiewicz ze Stanisławowa, zaś przedsiębiorstwo budowlane objął p. Pawłowicz ze Stanisławowa.

Po odprawieniu mszy świętej polowe oraz po wygłoszeniu przez ks. infułata dr. Baziaka kazania, fundator kościoła kpt. Lewicki podejmował zaproszonych gości śniadaniem w zakładowej restauracji w Olesiovie przy dźwiękach muzyki.

przedziernął się z rozpaczą w dostawcę narkotyków dla wrażeń Francuzów, bo z bronią, lub co gorsza z amunicją, wołał lepiej nie zaczynać. Do takiego towaru, który strzela, miał wstręt od urodzenia. Nie cierpiał go i już!

Siostra Fajga, która w tym czasie zwinęła swój rozwinięty interes, uznawszy, że ma dość tej paskudnej roboty i że zarobiła sobie już nie na jeden, ale na dziesięć posagów, mawiała nieraz do brata:

— Nu, po wojnie to my chyba kupimy cały Jaworów! Albo wiesz co Miguelo, założymy do spółki jakiś salon, albo bank... Uś, jabym tak chciała być bankierową!

— Ja potrzebuję zostać baronem — przysłała raz Miguelowi szczęśliwa myśl do głowy.

— Miguelo, ty jesteś imponujący i taki zdolny, tak strasznie zdolny, że ja się ciebie boję! Ja już cię widzę baronem! Ty wszystko potrafisz, jak tylko zechcesz, taki rok na mnie! Cały Jaworów pęknie z zazdrości, zobaczysz!

Sama panna Fajga miała mniejsze ambicje, to też gdy jej się trafił handlarz kawy Don Jose Kohn, uznała, że już czas wyjść naprawdę zamąż i została panią Don Jose Kohnową, export—import engros.

Po skończonej wojnie Don Miguelo zateknął naraz do swej polskiej ojczyzny, a że i Don Kohnowie nie odbyli jeszcze podróży poślubnej, urządzono przeto wyjechać razem do ojczystego Jaworowa.

Menachen ben Jehuda di Lonzano,
(1540—1608)

Rozmowa Boga z Izraelem.

(Szaagath arje).

Bóg mówi:

Miałem rozkoszną gazelę,
Córę szlachetną miałem, —
Tkaniny, przepaski, manele,
I szaty bogate jej dałem,
Pieśń mi dziękczynną śpiewała,
Nocą na łonie mem spała —
Ja żyłem z nią radośnie.

Lecz gdy zgrzeszyła mi, gniew mój zapłonął zły,
Sprzedałem ją, by więcej już nie oglądać

Lecz gdy to wspomnę, z pod powiek płyną mi
[nędznicy.
[izy:
Gdzież jej piękność?! Gdzie oczu jej błyska...

[wice?!...
I wówczas ręce łamię i bruzdy po twarzy ryję,
I wyję z bólu, wyję!...

Izrael mówi:

Biada Panie! Kto dziś mię ujrzy —
[poznać mię już nie może,
Tak znękały mię Twoje udręki!
Wielu panów posiadało me łożę,
Jazmem skuli wolność mojej ręki —
Zburzyli dom mój, część wzięli bez zmazy,
Lżyli, sztydził mi, kąśliwie płaży,
Bom Ciebie się wyrzekła.

Bóg mówi:

Twójże to głos, niebogo, co takim dziś krzyczę
wołaniem?
Dobrze! Zdrowie ci niosę oto i lepszą dolę!
Bo płacz twój, biedna ma siostrze, wzrusza mię
swojem płakaniem,
Więc zmilknij, zmilknij znękana, już wkrótce
cię wyzwolę!
Przyodzieję pomsty szatę, złości miecz podniosę
dziki,
I mojego gniewu stopą — w proch rozdeptę
buntowniki.

Będę ich gnieść dopokąd ich krew szat moich
nie popłami,
Pięść moja mścić się będzie sług moich wier-
nych krwi!
Poniszczę ich świątynie, sąd sprawię nad ich
bożkami, —
A kiedy gniew mój opadnie i pomsty dopełnią
się dni —

Znów wspomnę oblubienicy swej, by dokonać
przymierzy,
I Sjonu się zlitować, co dzisiaj w gruzach leży.
przełożył
TADEUSZ ZADERECKI.

Menachen ben Jehuda di Lonzano, Żyd włoski*
był jedną z najwybitniejszych postaci na terenie Żydostwa
XVII. r. Żył i działał na Wschodzie, głównie w Jerozolimie
i Konstantynopolu. Wszechstronnie wykształcony w nau-
kach żydowskich, głównie w Talmudzie i Kahale. Był też
wytwornym poetą o ciekawym zabarwieniu mistycznej
erotyki religijnej.

Obrazki z niedawnego Lwowa.

Nic o majstrach pióra, ani zadrukowanej
bibuły dziennikarskiej, po których bodaj cień
cienia pamięci pozostał, tak, że postacie ich
nadnie odkopać można, jeśli kto tylko zechce
wetknąć ciekawy nos w pyły biblioteczne
Ossolineum — ale o zwykłym prostaczku, po
którym zapewne i prochy na Cmentarzu Ły-
czakowskim się dawno rozsypały — pisać dziś
chcemy. Dzieła jego rąk, zdarły się dawno na
nogach ludzkich i albo bystre nurtami Pełtwi
spłynęły do morza, albo poszły ostatecznie na
spalenie w dawno już zburzonych piecach. Ale
wtedy żyły. Żywotem jętki — jednodniówki:
krótko i pożytecznie. Chroniły stopy człeczce,
niczem ci aniołowie z psalmu, o których tak
pięknie śpiewał Jan z Czarnolasu; zadaniem
ich bowiem było baczyć, aby klient ich twórcy:
..... idąc drogą

o ostry kamień nie obraził nogą.
Tak, tak! Były to bowiem zwykłe buty,
twórca zaś ich był szewcem.

Rzecz jasna, szewcem bardzo starego typu.
Nie dźwigał więc tytułów „Absolwenta” za-
danych kursów fachowych, ani się „Fabrykan-
tem obuwia”, mianował. „Panie majster” —
był to jedyny jego tytuł, „szwedryga” zaś zwał
go dialekt niewdzięcznej ulicy lwowskiej. Bo
szkołą jego na drodze ku tytułowi majstra był
tylko śmigły pociąg, nierzadko rachujący mu
kości na grzbiecie. A kiedy czeladnikiem zos-
tał, wówczas wyższego wykształcenia nabywał
wędrowką po świecie. „Rajzował” — jak to
wówczas mówiono — po krajach dalekich.
Rajzował środkiem lokomocji, znanym jeszcze
w odległej starożytności, t. zw. „perpedesem”.
A kiedy ogłady nabył grosiwa uciulał, a z
zagranicznymi fasonami obuwia się na wylot
zapoznał — wówczas wracał do kraju, do maj-
sterstwa swego dobierał panią majstrową i kil-
ku praktykantów — i zaczynał żywot zbożny,
osiadły, żywot obywatela.

Jako więc szewc prawdziwy, nieodrodny
tego kunsztu majster, był nasz bohater w miarę
łyśy, w miarę polityk, w miarę pobożny
i w miarę trunkowy. Miał czeladników, miał

warsztat w dwu pokojach — i nad tem kró-
lestwem był panem. Ale tylko nominalnie, na
szyldzie. Rzeczywiście władanie bowiem i nad
królestwem i nad królem samym, dzierżyła
niemniej śmigła pociąg, nierównie zaś śmi-
glejsza w jezorze, połowica jego dzielna, pani
majstrowa.

Lwów zaś ówczesny, poza śródmieściem,
brudnym zresztą i zabłoconym, mającym wie-
czny charakter wielkiego zajezdnego domu,
był samem pasmem zieleni, ogrodów i sadów.
Po ogrodach zaś tych i sadach — kryły się
parterowe lub piętrowe dworki, gubiące się
w barwności kwiecia, dzikiego winogrodu
i owoców.

Był to już okres popowstaniowy.

W jednym z takich dworków, przy ul.
Zimorowicza nr. 2, gdzie dziś aż cztery kamie-
nic się rozsiało na tem miejscu, mieszkał nasz
mistrz dratwy i kopyta. Jak się tam zwał —
mniejsza o to. Dość że żył, buty robił solidne,
do bractwa szewskiego należał i do cechu za-
wodowych polityków, przewracających co wie-
czór kartkę Europy przy bombie piwa, na-
przeciw w szynkowni.

Majster nasz bowiem pilnie pracował nad
tem, aby stało się zadość Krasickiemu, co
między bajki wkładał istnienie szewca „który
nie pijał”.

Ale cóż? Pani majstrowa krótko go trzy-
mała. Inkasowała wszystko, co małżonek za-
robił, wydzielając mu jeno skąpe grosze „na
tabakę”.

Nierzadko więc miał się biedny szewc
podstępów.

I ot, pewnego dnia, zaległy pracownię
jęki. Straszliwa migrena, opuściwszy sterzące
dumnie pałace inteligencji i sfer wyższych,
zawitała do skromnej szewskiej izdebki i po-
walała majstra na łożo. Jęczał biedaczysko, aż
żał brał. Nadarmo majstrowa, co za lat młod-
szych służywała po hrabinach, z zapasu do-
świadczeń swoich dobywała medycyny; na-
darmo plasterkami cytrynowymi skronie mu
okładała; nic nie pomogło! Aż wtem sam nie

Gdy majestatyczny statek „Atlantic”, wiozą-
cy trójkę egzotycznych gości zawinął do Gdań-
ska, wiedziała o tem cała Warszawa. Sprytny re-
porter stołecznych pism Schwarzbach, czuwający
jak żuraw nad sensacjami w porcie, zdołał się
zaraz wywiedzieć, że do Polski przyjechała wy-
cieczka z Argentyny w celu nawiązania stosunków
handlowych z zaprzyjaźnionym państwem, o czem
zawiadomił telegraficznie swoje redakcje. Wiado-
mość rozeszła się lotem błyskawicy po mieście,
wywołując w sferach decydujących potężne wra-
żenie, bo przecież na wycieczkę z tak dalekiego
kraju nie pozwala sobie pierwszy lepszy, ale bo-
gata finansjerka. Na marginesie tego przyjazdu o-
mawiano już kombinacje eksportowe - importowe,
dopływ nowych wysokowartościowych dewiz, uła-
twienie stosunków dyplomatycznych itp.

Na wieść o tem zainteresowane sfery, poro-
zumawszy się telefonicznie z Gdańskiem, poleciły
bezwzględnie udekorować dworzec główny zielenią
i biało-niebieskimi flagami zaprzyjaźnionego mo-
carstwa Argentyny i gdy pociąg, wiozący zamor-
skich gości zajeżdżał na dworzec już na peronie
stała w błyszczących cylindrach delegacja ministe-
ryjalna z podsekretarzem stanu na czele, a orkiestra
grała narodowy hymn argentyński.

Pani Fajga zauważyła pierwsza tę niezwykłą
paradę na dworcu.

— Mechel, przedzie! Josele kim-no! Tu ko-
muś paradę urządzają! — krzyczała podniecona
po swemu na towarzyszy podróży, rozpartych
wygodnie na poduszkach wagonu I. klasy, którą

jechano, bo co to kosztowało na złote polskie?!
Czysty śmiech!

— Ja już wiem, to pewno dyplomaty. —
Odgadł Don Miguelo, który takie rzeczy widział
już nieraz w kinie.

— Popatrz, popatrz! Podchodzą do naszego
wagonu!... Aj waj! Co to jest?! Kłaniają mi się!

Istotnie grupa eleganckich panów, podsze-
dłszy do Pullmana naszych podróży, kłaniała
się błyszczącymi cylindrami, a jeden z przybyłych
podał zdumionej pani Fajdze imponujący bukiet
białych róż, przemawiając do niej po hiszpańsku.
Pierwszy ochłonął z wielkiego wrażenia
Don Miguelo.

— Tak, to nam robią te honory — szepnął
szczypiąc porozumiewawczo siostrę w pośladek. —
Ty Fajga nie bądź głupia i mów także po hisz-
pańsku, to my na tem zrobimy jeszcze interes!...

Powitaniom i komplementom nie było końca.
Po opuszczeniu dworca, delegat ministerjalny to-
warzyszył wszędzie przybyłym, obwoząc ich w re-
prezentacyjnej limuzynie po mieście i pokazując
osobliwości stolicy, którą się Argentyńczycy za-
chwycał, cmokając z podziwu ustami. Wieczorem
odbył się w Bristolu raut, na którym pito praw-
dziwym, reprezentacyjnym szampanem na pomyśl-
ność zamorskich przybyszów i ich słonecznej
ojczyzny.

Niebywały jednak entuzjazm wywołał wśród
zebranych Don Miguelo, bo zaproszwszy sobie
pałę, popisywał się znajomością kilku wyrazów

polskich, jakich się zdołał wyuczyć już podczas
tak krótkiego pobytu w tym egzotycznym kraju.
Naczelnik dla handlu zamorskiego pił z Migue-
lem „Bruderschaft” i całował się z nim z dubeltu
przysięgając ułatwienie wszelkich koncesyj, byle
pozyskać zagraniczny kapitał tego bogatego fi-
nansisty.

Istotnie już w tydzień później, powróciwszy
z ojczyznanego Jaworowa, uzyskał Don Miguelo
monopol drożdżowy na cały kraj dla firmy M.
Cattaro et Cie w Buenos Aires, a korzystając ze
stosunków z wysoko postawionymi osobistościami,
wyrobił też nienajgorszy monopol cukrowy dla
drugiej zamorskiej firmy Don Jose Kohn, export-
import engros.

Z czasem te dwie firmy, wciągnawszy do
snółki swoich bogatych krewniaków, zdołały uzy-
skać za niewielkim odstępem dalsze takie mo-
nopol, jak naftowy, węglowy, solny, a obecnie są
na najlepszej drodze do uzyskania monopolu piw-
nego i autobusowego. Mają też dostać patent na
udzielanie rozwodów.

Marzenia Majlecha ziściły się co do joty.
Nie tylko sam został prawdziwym baronem monopo-
lowym, ale uzyskał też baronostwo dla całej
swojej licznej rodziny, nie wyłączając siostry
Fajgi...



szczęśnik cierpiący znalazł w pamięci należyte lekarstwo.

Słyszał oto, że gdy kogo głowa boli i nic pomóc nie chce, należy do skroni przyłożyć cwancygiera z Matką Boską. Monетка ta bowiem ma tę właściwość, iż bole głowy wypędza, jak najlepsze lekarstwo sympatyczne. Przemówiło to do przekonania pobożnej szewcowej, wydobyła cwancygiera z pończochy i przyłożyła na opasce do skroni szewcowi, który zaraz uczuł dziwną ulgę uzdrowienia.

Bo oto kiedy tylko żona zakreśliła się gdzieś około domu, nasz bohater jęczący dotąd żałośliwie, w mgnienie oka zerwał się z łoża boleści, cwancygiera pochwylił i zniknął. Gdzie? — o tem fama milczy. Jest więc tylko, że cwancygier tak poskutkował cudownie, iż nietylko wygnał migrenę, ale i na humor chorego niezwykle dodatnio wpłynął.

Czy i na humor szewcowej?..

Ale nie o tem właściwie chcieliśmy mówić. U szewca naszego bowiem stała się rzecz ważniejsza, cud.

W skromnej izdebce jego wisiał obraz święty. Nie żadne dzieło wielkich mistrzów, ot, zwykły obraz, jakich kopiami na każdym odpuszczeniu zakupisz. Był to tylko obraz stary, odpowiednio zaproszony, odpowiednio zczerniał. I pewnego dnia poszła fama po mieście, że obraz ten się odnowił.

Tak orzekła komisja, największych znawczyń cudów, kumoszek z bractwa przy parafii Sw. Mikołaja.

W domu szewca nastąpiło święto. Sam majster, nakrywszy stół obrusem i ustawivszy na nim „cudowny” obraz w towarzystwie dwu świec po bokach i tacy na przodzie — zawiesił fabrykację obuwia na kolek, i wysztafirowany na ostatni guzik „od święta”, w permanencji już urzędował naprzeciw upiśmiałego pejsatego sąsiada, gdzie chętnym opowiadał szczegóły faktu. Przez dom tymczasem przechodziły istne procesje. Wszystkie kumoszki z miasta się zbiegły, ofiary sypały się jak z rogu obfitości.

Ale wieść dobiegła wreszcie i do proboszcza parafii. I tylko ten jeden w dodatku książdz, nie zrozumiał się na cudzie. Przyszedł, obraz zabrał, powiesił w kościele Sw. Mikołaja. Nawet nie na honorowym miejscu, tylko po prawej stronie, niedaleko bramy. Nie pomógł nic żal, ani mruczenie właścicieli. Biedny szewc od teologicznych wykładów musiał wrócić do kopyta.

Wogóle ten proboszcz — Odelgiewicz było mu miano — niezawsze najlepiej obchodził się z biednych szewców lwowskich cechem. Walił im prawdę bez litości. Ot, na przykład,

zaproszony do wygłoszenia kazania na święcie cechu, taki im speech wypalił:

„Kto jest pobożny? — Szewc! Kto należy do bractwa? — Szewc! Kto najpilniej uczestniczy w godzinkach? Szewc! To wszystko prawda!

Ale odwróćmy kartę!

Kto się upija? — Szewc! Kto w rowie najczęściej leży? — Szewc! Kto żonę bije? — Szewc! Tak, tak! moi wierni!”

To też kiedy delegacja cechowa przyszła mu wręczcie dziękować za kazanie, zapytana, odpowiedziała nieco z żalem:



Lwów. — Fragment Kościoła O. O. Dominikanów i wieży cerkwi Wołoskiej.

„Oj, księżu proboszczu, wszystko by było pięknie, żeby ta kartka nie była się odwróciła!”

Gdzie te czasy, gdzie tacy majstrowie! Nie masz już ich, niedobitki jeszcze może tu i ówdzie po prowincji się znajdują! Inne oblicze przybrał świat, inaczej dziś Lwów wygląda. Akademicką ulicą nie szumi Pełtew jak dawniej, jeno na cmentarzu drzewa jesienne śpiwają Requiem dawnym typowym postaciami Lwowa, kołysząc do snu wiecznego ich prochy.

TADEUSZ OLSZAŃSKI.

Sprawy słowiańskie.

Odrodzenie Słowacji

Wiadomo czem była dawniej Słowacja, pod rządami Węgrów. Naród nie miał żadnego wpływu na sprawy państwowe, posłów w parlamencie pesterńskim miewał 2, w najlepszych zaś latach 5, wybory były kontrolowane, szalały wszelkiego rodzaju represje. Ludność tonęła w ciemności i nędzy.

Kilka tych lat, jakie Słowacja żyje wolna, przyniosło zdumiewające zmiany i postępy. Jest głosowanie powszechne, równe i tajne, są wybory do ciał ustawodawczych, prowincjonalnych i gminnych, jest autonomia Słowacji, jak i Czech i Moraw. Słowacją rządzi Rada Prowincji, złożona z krajowców, w rządzie są ministrami i Słowacy, i to na tak ważnych stanowiskach, jak sprawy wewnętrzne, wychowanie publiczne, rolnictwo. Jest uniwersytet słowacki w Bratisławie, są setki zakładów technicznych, są tysiące bibliotek. W ciągu trzech lat ostatnich zdołano zbudować „tylko” 333 szkół elementarnych i wyższych.

Na budowę lub adaptację budynków szkolnych przeznaczono od r. 1918 sumę 264. milionów kor; prawie połowę tych kosztów poniosło państwo. Wychodzą w kraju setki dzienników, nakład książek stale wzrasta. A temu rozwojowi intelektualnemu Słowaków, towarzyszy równorzędnny rozwój mniejszości: węgierskiej i niemieckiej; 700.000 Węgrów słowackich ma więcej szkół ludowych dla siebie, niż zwykły milionowy Budapeszt, stolica Węgier.

Na budowy publiczne od r. 1918 wydano około miliard. na drogi 225 milionów. Dwie trzecie ludności ma już dziś możność korzystać i korzysta stale z takich urządzeń społecznych jak szpitale, przytuliska i t. p. Na mosty wydało państwo 32 milionów, dzielnice zaś 29 milj; na budowę wodne i urządzenia portowe w Bratisławie 110 milj. w Komarnie zaś 60 milj. Roboty melioracyjne rolnicze, elektryfikacja i td. pożarły 335 milj.

Tego wszystkiego zdołano dokonać w ciągu lat 15. A to dopiero początek i budowa niemała od podstaw.

Imponujący zaiste wysiłek!

Kazimierz Bryła

major W. P. w st. sp.

Poradnik szermierczy.

(c. d.)

W innym zakresie rozwija odwagę grupa ćwiczeń cielesnych, do których zaliczyliśmy zapasy, szermierkę i gry ruchowe.

Niebezpieczeństwo występuje tu w dwójakiej postaci. Pierwszą — to przedmioty martwe, znajdujące się w ruchu (szermierka), które zagrażają uderzeniem. Ucząc się uchylać przed temi ciałami, odbijać je, lub chwytając w locie, pokonywamy również uczucie obawy.

Drugą postacią niebezpieczeństwa, która prawie zawsze kojarzy się z pierwszą, są ruchy przeciwnika, albo istotnie groźne, albo dążące świadomie do zastraszenia. Charakter walki pozornej, jaki posiadają te ćwiczenia, czyni i rodzaj odwagi, jaki się przez nie rozwija szczególnie cennym dla życia.

Ileż to razy w życiu ustępujemy słabszemu a nawet przeciwnikowi, który zna się dobrze na sztuce oniemiaenia!

Czyż nie o wiele lepiej zapłacić to konieczne „frycowe” nie w prawdziwej walce, ale wcześniej i w miniaturowej potyczce z młodo-

cianymi rówieśnikami obeznać się z arkanami psychologii walki?”

Quidquid honestum est, idem est utile.

§. 1.

Sztukę władania bronią ręczną nazywamy szermierką. Szermierka uczy nas odpierać natarcia przeciwnika, wyzyskiwać jego błędy, pokonywać, lub uczynić go niezdolnym do dalszej walki. Sztuka ta postępuje wedle pewnych zasad. Reguły szermiercze, osnute na tem praktycznym i ujęte w pewien system na podstawie nabytych doświadczeń, stanowią metodę, wszystkie zaś metody, zdążające rozmaitemi drogami ku wspólnemu celowi, posługują się jednym środkiem, t.j. nauką.

Nauka szermierki dzieli się na dwie części:

- 1) na ćwiczenia przygotowawcze;
- 2) na ćwiczenia z przeciwnikiem.

Pierwsze mają na celu rozwinięcie fizycznej sprawności, wyrobienie gibkości członków i sprytu, niezbędnego tak przy natarciu, jakoteż i obronie, drugie wyrabiają odwagę, bystrość oka, przytomność umysłu, rycerskie zachowanie się, szybkie myślenie a w końcu uczą jak wyzyskać nieudolność przeciwnika na swoją korzyść.

§. 2.

Bronią białą, dziś ogólnie używaną, posiadającą tę osobliwą właściwość, że może

być użytą tak do pchnięcia jakoteż i do cięcia, jest szabla.

Szabla składa się z trzech głównych części:

1.) z brzeszczotu, zaopatrzonego po stronie płazu żłobkiem; 2.) z rękojeści, krytej od strony brzeszczotu gardą, zwężającą się ku górze w obłaczek, przymocowany przy końcu guzem do trzona i 3.) z pochwy z górnym, dolnym i nasadowym pierścieniem, zakończonej włóczędem.

Brzeszczot zaś jest złożony: 1.) z ostrza, 2) tylca. 3) z części osadowej środkowej i końcowej. Część osadowa nazwana jest także częścią silną (ochronną, defenzynną), służy bowiem do podchwytywania cięć i pchnięć, zaś część kończynowa zwie się częścią słabą, gdyż nie zawsze powstrzymuje ze skutkiem dodatnim cios, ważna jest natomiast przy ataku. (ofenzywie).

Brzeszczot w przekroju jest podobny do klina a to w tym celu, by łatwiej w ciało się wcinał: klinowa ta forma jest tak w części osadowej, jakoteż i środkowej zachowana, przechodząc ku końcowi w kształt klina podwójnego, który tworzy po obydwu stronach ostrze, wychodzące w cienki koniec. To ostrze na końcu, po stronie grzbietu, zowie się ostrzem tylcowym.

Kasty hinduskie, a nowoczesny ruch narodowy Indyj.

Jak wiadomo każdemu przeciętnie wykształconemu Europejczykowi, w Indjach istniały od wieków cztery zasadnicze kasty: kapłańska, czyli bramińska, wojskowa, lub po indyjsku „Siatrja“, kupiecka czyli „Waisza“ i czwarta, kasta sług, zwana „Parja“ lub „Sudra“.

Kasty te cechował ścisły ekskluzywizm. W ciągu setek lat atoli, zacierał się jednak powoli ostry ów podział w narodzie na zamknięte w sobie grupy rodowe; ludzie należący do różnych kast, poczęli się z sobą mieszać i co dawniej prawem i zwyczajem było wzbronione, by hindus, należący do jednej kasty n. p. wojskowej, brał sobie za żonę kobietę n. p. z kasty trzeciej, kupieckiej — teraz zaczęło znachodzić zastosowanie. Wieki i idący z niemi postęp, uczyniły pierwsze wyłomy w bastionach kastowych; reszta dokonała niewola narodu indyjskiego u Anglików i dziś system kastowy twierdzić można śmiało, że upadł — dziś już niema prawie żadnej różnicy między kastami. Słowem, zaszedł podobny wypadek jak w Polsce; dopiero po rozbiorach zrozumieli irrydentyści, rekrutujący się z szeregów dawnej, ekskluzywnej szlachty, iż bez mas ludowych niczego nie dokonają przeciw przemocy zaborców i walczyć poczęli o zniesienie pańszczyzny, nadanie praw równych etc. dla chłopów i robotników i te masy zaczęły narodowo oświecać, by się wraz ze szlachtą poczuły dziećmi jednej Ojczyzny; tak i w Indjach, ruch narodowy i walka z kastowością poszły od sfer wyższych, ku niżynom społecznym, w imię jednego ideału: wolności.

Mahatma Gandhi, wielki wódz duchowy narodu hinduskiego i wielki wieszcz Bengalu Rabin-drath Tagore, pierwsi zrozumieli jasno, jaką przeszkodą dla narodowego zespolenia się Indji, jest system kastowy. Zaczęli z nim walkę bezwzględna; walczyli każdą bronią: słowem, piórem, przykładem. Gandhi praktycznie przełamał ustrój kastowy: wbrew opinii, wbrew głosom rodzinnym i oporowi żony, będącej, jak zwykle kobiety dawniejszego typu, konserwatystką i bojącej się takich kroków, nazbyt radykalnych (a w jej opinii nawet rewolucyjnych); przyjął za swoje dziecko z niższej kasty i nie uległ żadnym perswazjom, ani żadnym pogroźkom. Żonę zaś, mimo iż kochał ją i ona jego kochała — pozostawił do wyboru: albo przyjęcie dziecka, albo rozwód. W imię ideałów narodowych, rzucił na szalę szczęście swoje osobiste i wygrał; wygrał z żoną i krewnymi, których wreszcie przekonał o słuszności swej tezy, wygrał z narodem własnym i uświadomiwszy mu szkodliwość dawnych przesądów — nakłonił do swych postulatów; miejmy

nadzieję, że tak samo wygra walkę wszczętą z zaborcami.

Rok 1916 jest rokiem przełomowym w nowoczesnych dziejach Indji. W roku tym zorganizował Gandhi w Ahmdabad szkołę, do której przyjmuje członków wszystkich kast. Szkoła ta dzieli się na różne oddziały, jak literacki, rolniczy, przemysłowy i t. d.; uczęszcza do niej młodzież obojga płci. Dzięki finansowemu poparciu bogatych swych przyjaciół, zdołał Gandhi utrzy-



Artysta współczesny i wizja jego przyszłości.

mać szkołę przez cały czas ogniowy; dziś może oglądać owoce swej działalności, nie tylko w postaci wychowanków dawnych, ale i w formie pełnego zwycięstwa swej myśli; oprócz bowiem jego szkoły — istnieją po większych miastach indyjskich uczelnie podobne, ba, nawet uniwersytety poszły za myślą tego prawdziwego reformatora narodu.

Z punktu widzenia historycznego, jest system kastowy pozostałością czasów średniowiecznych. Zważyć bowiem wypada, że w Indjach sta-

łyżnych — kasty nie były tak zamknięte i o graniczone. W okresie Buddyizmu i Pobudyizmu, kasty mnożyły się i stopniowo stawały się coraz bardziej wyłączone. Z początku istniały cztery kasty, już wywienione poprzednio; następnie poczęły się one coraz bardziej różniczkować i zależnie od zajęć ludności powstawały coraz to nowe kasty; charakterem swym odpowiadały one europejskiemu, średniowiecznemu systemowi cechowemu, więc nie sposób wymieniać ich liczby; dość powiedzieć, iż było ich tyle, ile rzemioł, ile zajęć. Instytucje te stały się źródłem dociekań dla całej szkoły uczonych, znanych pod nazwą Socjalistów Quid.

Zadaniem kasty była nie tylko obrona jej interesów, ale i realizacja pewnych, założonych sobie celów, — konserwacja rzeczy osiągniętych, i zazdrośne pielęgnowanie tych cech, jakie jej członków wyróżniały od reszty społeczeństwa. Każda z kast, lub też każda grupa kast, pokrewnego zawodu — reprezentowała bowiem pewien stopień kultury, od czasu, gdy nastąpił zwrot od wymagań prymitywnych człowieka, ku potrzebom życia cywilizowanego. Rodził więc kasty rozwój uprzemysłowienia kraju; poza zawodem rzemieślniczym zaś, pielęgnowała każda kasta własną naukę, własną sztukę. Wysoki więc lub niski stopień kasty, polegał więc na wyższym lub niższym rozwoju systemu jej uprzemysłowienia, wyższej lub niższej skali jej kulturalnych wymagań.

System kastowy tedy był normalnym etapem rozwoju dawnych instytucji aryjskich, które stwarzały tę formę organizacji społecznej, celem łatwiejszego przystosowania się do warunków życia, jakie zastały w Indjach. System ten, można poniekąd porównać z systemem Greków i Rzymian. Istnieje pewne podobieństwo między ateńskim „genos“, rzymskim „gens“ i hinduskim „Gotza“. W krajach tych, szczególnie w Rzymie podobnie jak i w Indjach, składano ofiary duchom przodków, a obrzędy pogrzebowe tych narodów antycznych, mają wielkie podobieństwo z hinduskim „Shraddha“.

Kasty dzisiejsze w Indjach — to forma społecznej i przemysłowej organizacji, tak jak klasy w obecnych uprzemysłowionych społeczeństwach. System kastowy bowiem ulegał zmianom w ciągu wieków, razem ze zmianą warunków życiowych, historycznych i politycznych, — aż z dawnych kast pozostała niemal sama nazwa.

Mówi się, że Hindusi, dzięki tym właśnie kastom, są narodem niedemokratycznym. Zapomina się jednak, że niegdyś, byli oni takimi samymi demokratami, jak Rzymianie i Ateńczycy, dziś zaś, w formie przystosowanej do życia nowoczesnego, dążą też do tej demokratyzacji usilnie; kwiat społeczeństwa pracuje nad osiągnięciem tych ideałów.

Zwyczajna długość brzeszczotu wynosi 84 cm, bowiem dłuższy brzeszczot byłby do wykonania szybkich zamachów nieprzydatny, krótki zaś dozwalałby na nadmierne zbliżenie się przeciwnikowi, co by mogło być niedogodne a nawet niebezpieczne.

Środek ciężkości szabli powinien leżeć w części osadowej, 5 do 10 cm od gardy, zależnie od szerokości brzeszczotu, zaś szerokość brzeszczotu powinna być taka, by szermierz mógł wlaść szablę według swojego upodobania i z łatwością.

R o z d z i a ł I.

Ćwiczenia przygotowawcze dzielą się na: 1) ćwiczenia ciała i 2) ćwiczenia ręki.

Zanim przystąpimy do właściwych ćwiczeń, musimy najpierw poznać zasadniczy układ szermierza.

Jeżeli kilku uczniów bierze udział w nauce szermierki, to ustawia się ich albo w jednym szeregu, albo w odpowiednim oddaleniu w dwu szeregach. W tym razie stają uczniowie naprzeciw siebie, mając po obydwu bokach przynajmniej jeden krok wolnej przestrzeni, ażeby wykluczyć wszelkie wzajemne uszkodzenia. Szereg w ten sposób powstały tworzy linię frontową jedną, względnie dwie.

Linia, łącząca pięty dwóch naprzeciw siebie w ścisłym profilu stojących przeciwni-

ków, nazywa się bojową, zaś płaszczyzna na tej linii pomyślana — płaszczyzną bojową.

Układem szermierczym zasadniczym jest następująca pozycja ciała:

Na rozkaz: „Baczność! Układ zasadniczy!“ — staje szermierz w profilu w sposób następujący: prawa stopa na linii bojowej, lewa równoległa do linii frontowej względnie prostopadła do bojowej, tułów wyprostowany, styka kolana i pięty, stopy rozwiera pod kątem prostym, pierś zwraca na lewo, barki podaje cokolwiek w tył, przyczem twarz i prawą stronę ciała wraz z prawym ramieniem zwraca ku przeciwnikowi, lewą nieco chowa, zaś ręce kładzie na biodra tak, by kciuk był zwrócony ku plecom, zaś wszystkie inne palce ku przodowi.

Na rozkaz: „Układ szermierczy — raz!“ — Nie zmieniając powyższej pozycji, szermierz przysiadają tak, by kolano lewej nogi stanęło prostopadłe nad końcem lewej stopy, zaś kolano prawej nogi nad końcem prawej stopy; następnie stawia ku przodowi na oddaleniu mniej więcej dwu stóp własnych prawą nogą, tak, by obie pięty znajdowały się na linii bojowej o oba uda zakreślały kąt prosty, przyczem trzyma tułów prosto, barki w poziomie, głowę swobodnie, przyciąga brodę ku szyi bez wymuszenia i patrzy w stronę przeciwnika. Przedramię lewej ręki kładzie na krzyż a samą rękę chowa za szwiągawkę od spodni.

Ciężar ciała przenosi równomiernie na obie stopy i daje pół-apel.

Przez apel należy rozumieć dwurazowe tupnięcie prawą nogą, przez pół-apel zaś jednorazowe.

Zatem „układem szermierczym“ (garda) zwiemy taką pozycję ciała, z której najdogodniej możemy wykonywać ruchy i zwroty, wprzód, wstecz i w bok, przyczem dostęp do nas dla zadania ciosu jest wobec uzbrojonej ręki utrudniony.

Na rozkaz: „Zmień układ!“, lub „w lewo układ!“ — nie zmieniając w układzie dla nóg przepisanej pozycji, wykonuje szermierz na palcach stopy prawej zwrot w prawo (strona piersiowa w prawo, plecy w lewo), podchodzi o jeden krok naprzód, przysiadają na prawej nodze, rozdziela ciężar ciała na obie stopy i daje pół-apel lewą nogą. Ręce pozostają na biodrach.

Właściwym celem tego układu jest umożliwienie zaprawienia lewej ręki do władowania bronią, jakoteż zrównoważenie jednolitego wykształcenia wszystkich mięśni w całym ciele.

C. D. N.

Japonja zniósł całkowicie swój system kastowy, dzięki swej politycznej i ekonomicznej niezawisłości. Współpraca rządu i obywateli, nad wyraz zgodna i składowa — uwieńczona została usunięciem przestarzałych zwyczajów i instytucji. To samo mogłoby się stać i w Indiach, i napełnić się stan.

System kastowy miał jednak nie tylko swoje złe strony, a i dobre. Kasty, chroniły niejednokrotnie społeczeństwo hinduskie od upadku, w okresach przewrotów i najazdów. Poza tym zaś, każda kasta w obrębie swej działalności rozporządza siłą, która podtrzymuje tradycje społecznej moralności, wpływa dodatnio na rozwój sztuk, literatury i kultury i w ten sposób przyczynia się wydatnie do ogólnego postępu.

Dla współczesnych Indii atoli system kastowy jest raczej złem, ponieważ wstrzymuje ogólny rozwój narodu, dzieląc hindusów na niepotrzebne grupy. Gdy to uświadomiono sobie naresz-

cie — powstać musiał i powstał ruch reformatorski, jak n. p. Arja Samaj i Brahma Samaj, które go założenia walczą z kastami i starają się wzbudzić wielki ruch narodowy i religijny.

Arja Samaj propaguje więc powrót do tradycji najstarszych Ksiąg Świętych Weda, dla szukania w nich źródła religijnych i społecznych reform; powtarza się wtedy zwykle zjawisko cechujące wszystkie epoki reformatorskie, iż dla doktryn nowych, szukają one poparcia o prastarą tradycję, pod kątem znalezienia ich istotnego ducha, wbrew nalom późniejszym.

Mahatma Gandhi i wielu innych skierowali wszystkie wysiłki, aby obalić system kastowy; udało im to się już w dużej mierze i obecnie nie znajdzie już w Indiach dawnych ekskluzywnych kast. Wzrost uświadomienia narodowego obala dawne przesady i powoli wszyscy Hindusi łączą się, w nadziei uzyskania swej narodowej niezależności.

Co ujrzymy na srebrnych ekranach.

Sezon kinowy się rozpoczął. A że ciekawość, co przyszłość przyniesie jest jedną z naczelných cech człowieka, zwłaszcza zaś publicysty, więc wybieramy się w odwiedzinę do dyrekcji pierwszorzędných kinoteatrów lwowskich, chcąc u źródła zapoznać się z ich planami i zamiarami na czas najbliższy, a mianowicie czem będą bawić publiczność w przyszłym sezonie.

Dyrektor kina „Apollo“ — czasu nie miał na pogawędkę.

Idziemy tedy do „Atlantiku“.

Tu uprzejmy dyrektor zastrzega się wprowadzić zgóry, że nie wszystkie swe karty radby odsłaniać, idzie mu bowiem o względy konkurencyjne, ale co może — to już poda. Zaczynamy więc.

— Jakże są plany pana dyrektora na sezon obecny?

— „Planem naszym zasadniczym jest tak pokierować doбором obrazów, by publiczności naszej dać jak najwytworniejszą, jak najbardziej urozmaiconą i na prawdziwych wyżynach sztuki stojącą rozrywkę kulturalną. Licząc się tedy z rewelacyjnie czasami wysokim poziomem produkcji filmowej naszego wschodniego sąsiada, zakontraktowaliśmy w pierwszym rzędzie olbrzymi film „Sowkino“ w Moskwie p. t. „Turbina 50.000 H. P.“ Jest to film i z tego względu ciekawy, że stanowi on pierwszy obraz całkowicie mówiony i śpiewany w języku rosyjskim. Będzie to nasz następny program po ukończeniu granych obecnie.

Co do dalszych naszych programów, zakontraktowaliśmy obraz p. t. „Narzeczona z Wiednia“. Będzie to bardzo wesoła operetka filmowa. W głównej roli wystąpi w niej Marta Eggerth, znana z filmu „Śpiew, całus, dziewczyna“. Rzecz bardzo wesoła, bardzo melodyjna, z ilustracją muzyczną mistrza muzyki lekkiej, Lehara.

Jak z tego układu pan redaktor widzi, dążymy do przeplatania i urozmaicenia już w kolejności doboru programów. W tej też myśli zakontraktowaliśmy i trzeci film z zakresu tak ulubionych przez publiczność filmów niesamowitych, p. t. „Wampir“. Jest to film produkcji francuskiej, reżyserji Drayera. To wszystko co dotąd mogę powiedzieć.

— A poza tym, żadnych planów panowie nie macie?

— Owszem, nawet bardzo daleko sięgające. Chcemy bowiem przekształcić typ naszego kina. W październiku mianowicie myślimy uruchomić scenę. Nie myślimy atoli grać żadnych rewii, ale chcemy na wzór zagraniczny stworzyć rodzaj music-hallu. Będziemy więc grać na scenie pierwszorządne pojedyncze numery, przyczem wyświetlać będziemy tylko pierwszorządne filmy. A warunki po temu mamy wprost jedyne. Dawna sala bowiem Skarbowskiemu teatru, wyjątkowa swą akustyką, nadaje się jak rzadko do takiej imprezy.

Dziękując uprzejmemu dyrektorowi za informacje — idziemy dalej.

Następnym naszym etapem byłoby z ustalonego porządku kino „Casino“, ale tu, jak twierdzą pantoflową pocztą zebrane informacje — „dyrekcja właśnie wyjechała“. I ten etap tedy odkładamy do przyszłej okazji, waląc teraz jak w dym — do „Colosseum“.

„Założeniem naszym — tak zaczyna — jest stworzyć we Lwowie placówkę artystyczną, poświęconą lżejszej rozrywce. Oddawna bowiem we Lwowie Teatry Miejskie skasowały operetkę; dopokąd zaś artystom z „Zaspu“ nie wolno było grać w imprezach złączonych z kinem, mieliśmy i my siłą faktu, poprzestać jedynie na teatryku rewjowym. Teraz jednak dzięki ciężkiej sytuacji ekonomicznej i „Zasp“ zmienił swe stanowisko; mogliśmy więc zaangażować pierwszorządne siły z dawnej operetki lwowskiej, jak primadonnę Mele Grabowską, jak Sowińskiego i Ryłską, jak Pilarskiego z operetki krakowskiej a przede wszystkim Rapacką.

— A jakie jest założenie ogólne panów?

— Hasłem naszym jest dać tanio i na poziomie godziwą rozrywkę szerszej publiczności. Kombinacja z kinem pozwala na większą swobodę publiczności, jak teatr. Do kina bowiem nikt się specjalnie nie stroi, kino cechuje większa swoboda.

Dziękując za informacje — idziemy do dyrekcji „Kopernika i Marysienki“.

— Programy nasze — tak informuje nas sympatyczny dyrektor — obejmą większość ostatniej produkcji „Paramountu“ i „Universalu“. Z filmów Paramountu, które dotąd zakontraktowaliśmy, wymienię panu: świetną komedię „Monsieur Baby“ z Maurice Chevalier i małym Baby Leroy, następnie „Dama kier“ z Clarkiem Gable i Carolą Lombard, świetny romans hollywoodzki „Królewski kochanek“ reżyserji S. Walkera, film grozy „Tajemnice ogrodu zoologicznego“, wspaniały film lotniczy „Skrzydlate fatum“ z Frederic Marchem i Gary Grantem, „Życie bengalskiego lansjera“, kobiecą kreację a la Dr. Jekyll, zrealizowaną przez Carolę Lombard w „Tajemnych mocach“, Sylwji Sidney zaś „Zaułki życia“ i „Odmęt ulicy“. Asami tegorocznego sezonu Paramountu będą zaś: film reżyserji Cecile'a B. de Mille, „Sąd ostateczny“ i film „This day and age“ (tytuł polski jeszcze nie ustalony), tudzież monumentalny film z Marleną Dietrich, reżyserji Mamouliana p. t. „Pieśń nad pieśniami“, wedle powieści Sudermana.

Filmy „Universalu“ zakontraktowaliśmy w całości. A więc obecnie już pójdzie „Pocałunek przed lustrem“ wedle głośnej sztuki Fodora, film, który napewno wywoła namietne dyskusje. Mamy w zapasie też najnowszy film z Kiepurą p. t. „Gdy zakwitną bzy“, zwany „miljonowym filmem“, jest to bowiem najdroższy film świata. Borys Carloff ukaże się u nas w „Spekulancie“, Claude Rains w „Niewidzialnym człowieku“ i „Czło-

wiek, który zgubił głowę“, reżyserji Jamesa Whale, twórcy „Frankensteina“. Będziemy grali też Dupont'a „Kobietę Orchidei“, oraz rewelację sezonu „Skandal w Budapeszcie“. Jest to bardzo wesoły film węgierski, reżyserji Stefana Szekely, z węgierską orkiestrą. Franciszka Gaal, nieznana u nas jeszcze, światowej jednak już sławy gwiazda, wystąpi tam w roli tytułowej. Uniwersal zapowiada też szereg b. wesołych komedij ze Slimem Summervillem. Z zakresu filmów rewjowo muzycznych wyświetlimy „Zgrany zespół“, reżyserji Andersona, twórcy „Króla Jazzu“ przewyższający znacznie tamten obraz. Polka-amerykańska zaś, Tala Birell, niezapomniana z filmu „Niagara“ wystąpi w filmie na tle tajemnic królestwa podwodnego, p. t. „Córka wód“. Wedle powieści Vicki Baum nakreślono dramat p. t. „Kochałam go“, wyświetlimy go też w tym sezonie, a ukażą się w nim w roli głównej Sullavan Margaret i John Boles.

Jak z tego widać, zdolałiście panowie zapewnić sobie zdumiewająco bogaty program.

Eh, panie redaktorze, to jeszcze nie wszystko. W zanadru chowamy bowiem jeszcze szereg niezwykle przebojów, których jednak ze względów konkurencyjnych podać nie mogę. Polecam jednak bardzo panu następny nasz program „Pocałunek przed lustrem“, będzie to bowiem film, na tle którego rozegra się wielka batalia prasowa.

Dyrektora kina „Palace“ nie mogliśmy zastać. Innym więc razem uzupełnimy nasze wywiady.

Z nowych powieści.

(Tadeusz Dołęga Mostowicz: „Prokurator Alicja Horn“, 2 tomy. „Bracia Dalcz i Spółka“ tom I; wydawnictwa „Rój“, Warszawa 1933).

Autor „Karjery Nikodema Dyzmy“ specjalizuje się w powieści sensacyjno-kryminalnej, której typowym produktem jest „Prokurator Alicja Horn“. Bohaterka, jako 28-letnia „słomiana wdówka“ (mąż w zakładzie obłąkanych) poznaje w nocnym kabarecie warszawskim pewnego łobuza, który niegdyś po pijanemu zgwałcił ją, jako dziewczynkę. Niebawem zostaje jego kochanką. Z zazdrości o swoją młodocianą kuzynkę, która też durzy się w owym łobuzie, wyzyskuje Alicja pozory, przemawiające przeciw kochankowi, bo rzucające nań podejrzenie o skrytobójcze morderstwo na ciężarnej dziewczynie. Pani Horn, demon w pięknym ciebie, osobiście wnosi akt oskarżenia przeciw kochankowi, zapada wyrok śmierci skazaniec ucieka w drodze pod szubienicę, a prokuratorka popełnia samobójstwo — nieudane. Nagromadzenie sytuacji nieprawdopodobnych, niesamowitych a drastycznych czyni z tej powieści swego rodzaju curiosum. Spółopowiadania, język, styl, metoda pisarska całkiem na modłę Marczyńskiego. Atmosfera moralna okropna, typowo „boyszewicka“. Wartość literacka minimalna; niewybredna lektura „wagonowa“.

Niewiele wyżej stoją „Bracia Dalcz i Sp.“, jeszcze nie ukończeni. Tu znowu hochstapler opanowuje podstępem i oszustwem fabrykę, kierowaną przez jego ojca, który popełnił samobójstwo. Drugorzędny wątek stanowi miłość bratanka owego hochstaplera, młodego inżyniera, ku stenotypistce. Autor wymyślił jednak perwersyjny „pieprzyk“, okazuje się bowiem, że ów inżynier jest przebrany... kobietą (przypomina się „Półmężczyzna“ Rusinka, gdzie analogiczna sytuacja), owa zaś miłość — miłością lesbijską! Poziom „artystyczny“ identyczny z poprzednimi powieściami. Łatwość narracji, przechodząca w rutynę i bujność wyobraźni, krążącej najchętniej po krętych ścieżkach podłostek i wyczupirzeń lichych kreatur.

C. L.

Rok zał. 1860

Tel. 166

ZAKŁAD ART. BUD. BLACHARSKI

MARJAN BENDL

SKŁAD I WARSZTATY

Lwów, Wronowska 6.

poleca:

specjalne wyroby galanteryjne i budowlane.

Kącik kobiecy.

Obecnie toczy się walka o linię: klasyczna czy wysmuklająca a princesse. Zależnie od zwycięstwa jednej lub drugiej — suknie będą szersze lub węższe.

Nie ulega przecieży wątpliwości, że suknie nawet te codzienne będą o wiele dłuższe. Podłużenie jest konieczne ze względu na zasadniczą linię, rozszerzającą się dopiero w samym dole.

W związku ze zmianą linii pójdzie w parze zmiana gatunku materiałów. Benjaminkiem sezonu będzie aksamit w różnych gatunkach na suknie, płaszcze, kostiumy i kapelusze. Faworyzowane będą także mięsiste krepy i grube jedwabie, które się dobrze układają.

Kolory materiałów będą ciemne, ale zgaszone. Np. niobiesko — stalowy, ciemno — szary, zielony, cyprysowy itd. Niektóre kolory, połączone z sobą dają niezwykle harmonijne efekty, np. płaszczyk w kolorze wiśniowym i do tego sukni pomarańczowa.

Dekolty przy sukniach będą niewielkie i miękkie. Zobaczymy też połączenie wełny z jedwabiem.

Jedną z podstawowych wytycznych, jakimi powinniśmy się powołać w prowadzeniu domu jest punktualność. Ileż nerwów oszczędziłybyśmy sobie i swoim, gdybyśmy się trzymali tej tak koniecznej i tak pożądanej reguły: wszystko na czas!

Wiemy, jakie zdenerwowanie wywołuje opóźnione śniadanie, z którego w pośpiechu musimy niekiedy zrezygnować, co jest bodaj czy nie najlepszym rozwiązaniem w tym tragicznym momencie. Lepszy bowiem chwilowy głód i spokojne spożycie drugiego śniadania niż... parzenie sobie gardła na stojąco z zegarkiem w jednej, a z kławką w drugiej ręce. Oczywiście, że takie pójście pana domu czy dziecka bez śniadania nie pozostaje bez wrażenia i wyprowadza nas z równowagi przynajmniej do południa. Wszelkie jednak wymówki i wzajemne wyrzuty są już bezprzedmiotowe i należy myśleć raczej o przygotowaniu na czas obiadu.

Bywają jednak dnie obfitujące w niespodzianki! Przypuśćmy, że się udało pani domu i Kasi chcącej sobie poprawić opinię — przyrządzić obiad na godzinę oznaczoną. Alisci niespodziewany i niepunktualny powrót pana domu psuje cały wysiłek kulinarny pani i Kasi. Zupa gęstnieje, pieczeń wysycha, kartofle dębieją... tyle kłesk elementarnych z powodu niewinnej pogawędki w pobliżu biura położonym handelku.

Niepunktualność w wykonaniu robót modniarskich, krawieckich czy wszelkich innych, doprowadza nas niekiedy do rozpacz, a nawet stawia w sytuacji bez wyjścia i to dosłownie „bez wyjścia” w wypadku, gdy nie mamy w czym wyjść na ulicę. Pani X. zamówiła suknię na ślub swej córki. Suknia miała być gotowa w dniu oznaczonym. Tymczasem, okazuje się, że krawczyni nie zdążyła jeszcze przyszyć kokard i zatrząsek. Godzina ślubu się zbliża a tu pomyślicie państwo brak kokard i przerażający brak zapięcia przy sukni. Gdy zdenerwowana pani X. zdecydował się ubrać suknię tak jak była — zdążyła w ostatnim momencie przybyć do kościoła, okazało się, że... niema jeszcze pana młodego. Panna młoda bliska omdlenia, goście siedzą, ksiądz

Wystarczy jeden raz popatrzeć na pierwszą lepszą karykaturę, by bez wahania powiedzieć, że najbardziej charakterystyczną cechą danego osobnika jest nos. Tak, nos jest istotnie królem twarzy.

Noworodek przychodzi na świat z nosem niewykształconym, gdyż posiada tylko dolną, jeszcze niewypukłą część. Chrząstka rozwija się dopiero z wiekiem, nadając nosowi rozmaite formy.

Z punktu widzenia fizjognomji, należy rozróżnić kilka typów nosów.

Długi nos u mężczyzny dowodzi o dojrzałości umysłowej i fizycznej męskości. Nos długi i ostry znamionuje badacza, ludzi wiedzy i nauki, obdarzonych wielką zdolnością intelektualną. Nos krótki i szeroki zdradza inteligencję ograniczoną i zmysłowość. Nos płaski jest znamię głupoty.

Do kostiumu jesiennego modnie jest nosić czerwony pasek skórzany.

Do sukni z crepe de chine w tonie pastelowych nosi się pasek z torsadki w dwu kolorach, z których ciemniejszy powinien mieć kolor rękawiczek.

Co będziemy nosić w jesieni.

Stroje jesienne będą jak zwykle ozdabiane futrem. Płaskie i puszyste będą używane na pelerynki, kohnierze i obszycia rękawów. Srebrne lisy będą się cieszyć oczywiście nadal względami wszystkich pań.

Kostiumy. Zasadniczo niewiele się różnią od wiosennych. Używane są tylko ciemniejsze kolory i grubsze materiały.

Kostiumy mają nieduże wycięcie, które zasłania się jeszcze wysoko — wiązaniem szalem.

Kokardy pod szyją robi się z jedwabiu lub futer o płaskim włosie.

Żakiety osłaniające biodra, są przepasane paskami. Albo też luźnie, do kolan, o prostych plecach, jak w męskich paltach. Paski nosi się skórzane w kolorze guzików albo futra.

Jako kolory wymienić trzeba granatowy, czarny, bardzo ciemno — szary (mysi), ciemno — zielony, mahoniowy.

Punktualność w domu i wszędzie.

stoi — skandal!... Nareszcie! Sygnał trąbki automobilowej — niepunktualny pan młody przybywał!

Takie i tym podobne denerwujące momenty spowodowane niepunktualnością bliźnich są na porządku dziennym — należy więc tępić tę wadę bez miłosierdzia.

Starajmy się żyć z czasem w zgodzie i nie torturujmy bliźnich swoją niepunktualnością. Jeśli naprzykład prosiliśmy na kolację gości, starajmy się, by wszystko było na czas. Nie narażajmy zebranych już przy stole, na przykrość przysłuchiwania się wrzaskom łapanych na podwórzu kur w celu... zrealizowania projektowanej na kolację pieczeni z drobiu. Oszczędźmy gościom fetygi czyszczenia serwetkami noży i widelców, w czym są zmuszeni wyręczyć Kasię do wszystkiego, która nie zdążyła tego a także wielu innych bardziej jeszcze zasadniczych wyczynów pseudokulinarnych skutecznie. Zdążyła natomiast w pośpiechu zbić dwa półmiski i kilka drobniejszych utensyliów kuchennych.

Gości ogarnia tymczasem głód niepomahowany! Zdążyli spożyć z rozpacz trzy piramidy postych kromek chleba przyczem zużyli całą zawartość solniczki, przeznaczoną do polepszenia smaku bardziej wyszukanych potraw. Jedyna karafka wody nie zdążyła ugasić pragnienia zgłodniałych gości. Jeśli więc kochane Panie macie zamiar urządzić kolację, przygotujcie niektóre rzeczy dzień lub dwa najpierw, by uniknąć podobnego opóźnienia. Gdyby w międzyczasie uległa część prowiantów zepsuciu lub skonsumowaniu przez domowników, nie należy się tem przejmować, lecz przygotowywać potrawy na świeżo. Wszystko na czas!

Wiemy jak denerwującym jest opóźnienie rozpoczęcia przedstawienia, co doprowadza widzów do hulaśliwego wyrażania swego niezadowolenia — wiemy jak denerwujące jest oczekiwanie pociągu, który nie przyszedł punktualnie. Niepunktualność na wszelkich zebraniach, spotkaniach doprowadza nas niekiedy do najwyższej irytacji. Żyjmy więc w zgodzie z czasem!...

Czas to pieniądz a pieniądz na... czasie!
Jan-Ka Kochanowska.

O czym mówi twarz ludzka?

Orli nos jest dowodem energii i odwagi, grecki cechuje typy spokojne, „krogulczy“, zakrzywiony — skąpstwo itd.

Bywają jeszcze nosy mięsiste, wklęsłe, przyplaszczone a każdy znamionuje pewny typ.

Dla fizjonomisty są niemniej ważne nozdrza. I tak: szeroko rozdęte cechują usposobienie pierwotne i zdrowe, wąskie wyrażają usposobienie skryte.

Czerwoność skóry na nosie nie zawsze dowodzi skłonności do alkoholu. Nos purpurowy może być również oznaką zaburzenia w ustroju, chronicznego kataru, lub nieprawidłowego obiegu krwi.

Na podstawie powyższych cech fizjonomji, można w przybliżeniu określić charakter danego osobnika, ale tylko w przybliżeniu, bo apodyktycznie i z całą pewnością z pozoru sądzić nie należy.

Drobiazgi.

Bluzka z czterech szerokich wstążek, połączonych mierzka z przodu i z tyłu należy do najmodniejszych.

Strusie pióra cieszą się wielkim powodzeniem. Latem noszono często boa z piór strusich i kogucich do sukien letnich. Ta moda utrzymuje się nadal jako wie-

czorowa. Najładniejsze pióra są w kolorach pastelowych, kogucie — białe.

Dla białej sukni jest bardzo odpowiednie bolero z czarnych piór.

Beret spopularyzował się i utrzymał od czasu wielkiej wojny. Zmienia się nieznacznie a noszą go chętnie zarówno panie jak i panowie, bo jest praktyczny, twarzowy i dlatego długo jeszcze zapewne cieszyć się będzie powodzeniem.

Kapelusze aksamitne będą w jesieni b. modne. Mają zazwyczaj duże ronda a wykonane są w kolorze czarnym, ciemno — brązowym i granatowym.

Palta bez względu na to, sportowe czy podróżne, wyglądają najładniej z wełny beige, miękkiej i puszystej. Najładniejsze są materiały z wełny wielbłądziej albo imitacji. Do takich palt nosi się kapelusze z miękkiego filcu, pantofle z brązowej boksy i pasek z takiej samej skóry.

Cielecy zachwyty

Przed kilku dniami otworzono we Lwowie w najruchliwszym miejscu nowy sklep. Lokal położony pierwszorzędnie, bo w samym centrum, urządzony na europejską modłę, okna wypełnione tysiącem cacanych drobiazgów z podaniem cen, które są oczywiście „najniższe“, „prawdziwie trustowe“, wewnątrz nie pozostawia też nic do życzenia — jednym słowem Lwów jest bogatszy o jedną handlową placówkę.

Nazewnątrz umieszczone napisy zachęcają przechodni, by wstępować gromadami, bowiem fakt wejścia do środka nie obowiązuje do kupna.

Jak dotąd — wszystko w porządku, jest tylko jedno małe „ale“. Mianowicie całe to lukratywne przedsiębiorstwo nie jest polskie. Po polsku się tam oczywiście mówi a nie w żadnym żargonie i niby jest „nasze“, ale tylko w wyobraźni tłumy. Nazwa symboliczna właścicieli oczywiście nie legitymuje, kim są naprawdę, bo pod wygodną a szablonową firmą jakże łatwo się „zadekować“. Nie mówią o tem ani wdzięczące się za wystawą mydełka — pieścidełka, ani romantycznie wywieszone pończochy, ani tanie jak barszcz perfumy i woda kolońska, które uszeregowane pod rząd za lustrzaną szybą — aż się proszą, by je kupić, nie tak, jak one toware, sprzedawane w handlu ulicznym, lub na płachetce przy ul. Boimów, albo Krakowskiej. Tam są one w tym samym gatunku i może nawet tańsze, ale nie mają takiej dekoracji — i nie krzyczą. Tam krzyczy tylko mały Mordko czy Srułik — tu zaś krzyczy oprawa, fason, szyk. No i firma!

A publiczność — jak owce, albo gęsi. Tłoczy się, wystaje pod onym cudem świata, wchodzi, wychodzi, cmoka w cielecy zachwyty ustami i kupuje. Większość — to panie, panusie i panienki (bo panowie umiarkowańsi), opiekunki i patronki naszych polskich gniazd i naszego życia. Wchodzi ta i owa, choć niekoniecznie potrzebuje, ale zachęcona skrzętną obsługą, towarem „pierzwszorzędnym“ i cenami, zawsze „najniższymi“ — nabywa to, i owo za marne tylko grosze, ostatecznie za złotówkę, półtorej. Bagatela! Ta puder, ta mydełko, ta tylko flaszczynę wody kolońskiej.

Uśmiechnięta przymilnie kasjerka blokuje cierpliwie od 9-tej rano do 7-mej wieczór, zaś po „fajerancie“, zdając kasę p. szafowi uśmiecha się znowu. I słusznie! Bo z tych niewinnych grosików i marnych złotówek naszych polskich panius i panienek nabierały się setki, ba — tysiące.

I tak codziennie.

A gruby szef firmy, zakurzając się z lubością również grubym cyga-em, cmoka też ustami, wyrażając swe zadowolenie jednym tylko powiedzonkiem:

— Nu, nu!...

BOŃCZA.

Dział gospodarczy.

Czem jest właściwie kupiectwo? — Odpowiedzieć można nąto jednym zdaniem: kupiectwo jest pośrednikiem pomiędzy producentem, wytwórcą a konsumentem odbiorcą. Producent, wielki koncern, fabryka — wytwarza, kupiec nabywa te wytwory w większych lub mniejszych partjach i sprzedaje drobniaczko, detalicznie. Kupiec jest tedy łącznikiem pomiędzy źródłem produkcji a właściwym konsumentem, t.j. tysiącem drobnych odbiorców.

Jeśli przypatrzymy się bliżej kupiectwu w Polsce, przekonamy się, że kupcami są przeważnie Żydzi, a nieznaczny tylko odsetek przypada na Polaków. Są to oczywiście skutki naszego uprzedzenia do tego stanu z przed kilku setek lat, kiedy handel był profesją, która szlachcicom nie przystawała. Handlem mogli się trudnić Żydzi, Niemcy, mieszczenie niezawsze polscy, ale nigdy szlachta. Chłop, odsunięty od spraw publicznych i przywiązany do roli ustrojem pańszczyźnianym nie liczył się oczywiście.

Cóż się jednak działo z zapotrzebowaniem pieniędzy przez szlachtę, która wydawała ich zawsze najwięcej, czy to na sprawę wojenną, czy na wyjazd zagranicę, czy choćby na prywatne życie? — Musiała też sprzedać płody ziemi na której gospodarowała, że jednak jej samej handlować nie przystawało — pośredniczył w tem Żyd. Stąd zachowało się do dnia dzisiejszego zdanie, że „każdy szlachcic musiał mieć swojego żyda.”

Tak było w istocie. Pomiedzy wsią i miastem

istniała żywa wymiana towarów. Wiesz sprzedawała miastu produkty rolne, miasto wsi wytwory swoich fabryk i warsztatów a pośredniczył w tem wyłącznie kupiec żydowski, który wykpiwany przez obydwie strony — faktorował cierpliwie i ciulał grosz do grosza, wiedząc doskonale, że za cenę pieniądza nabyć można wszystko. Gdy wiesz i miasto miały swoje ambicje — żydowski pośrednik nie miał żadnych, oprócz jednej: zdobywanie jak najwięcej pieniędzy.

Ze zniesieniem pańszczyzny wzrosło zapotrzebowanie pieniądza. Chłop był wolny, a jakkolwiek za roboczną płacono mu jeszcze wciąż w naturze, to przecież skala jego zapotrzebowania wzrastała w miarę uświadomienia.

Zapotrzebowanie pieniądza jako środka pośredniczego wzrosło. Ożywił się handel, a z nim i przemysł. Faktorów czyli żydowskich kupców przybywało z każdym dniem coraz więcej. Z ożywieniem się handlu — rozbudowywać się zaczęły warsztaty i fabryki.

Na rozbudowę tych ostatnich potrzeba było znów pieniędzy. a któż je miał, jeśli nie dawny faktor? Element ten. poczuwszy nadmiar pieniędzy, sam budował, inwestował, tworzył koncerny wytwórcze, a tam gdzie nie mógł dotrzeć — pożyczał na lichwiarski procent, potem sprzedawał na licytacji i wkońcu sam stawał się właścicielem.

Dziś stan rzeczy jest faki, że jeśli nawet pewna część kupiectwa jest polska — to źródło, gdzie się to kupiectwo zaopatruje jest przeważnie w rękach żydow-

Błędne koło.

skich. A więc materiały lniane, wełniane i bawełniane, fabryki, garbarnie skór, gotowe obuwie, papiernie wszelkiego rodzaju, fabrykacja nici, przędzy, guzików, koronek, przemysł gumowy, artykuły kosmetyczne, artykuły pierwszej potrzeby i t. d.

I to nieliczne nasze kupiectwo jest w błędnym kole, bo jakże ma się zaopatrywać w towar produkcji polskiej, gdy właściwie niema polskiego wytwórcy? A jeśli kupiec ten ma odwagę ustosunkować się osobiście nieprzyjaźnie względem wytwórcy — jakże mu nieraz przychodzi gorzko zato odpokutować! Bo gdy detalista żydowski otrzymuje towar ze źródła z 20-procentowym rabatem, kupiec polski tej samej branży uzyskuje rabat znacznie niższy, gdy podatki i świadczenia społeczne z tytułu wykonywanego zawodu są te same.

Dlatego kupiectwo polskie się dusi i musi niejednokrotnie brać od klienta za towar drożej, niż jego żydowski konkurent, jakkolwiek osobiście mniej od niego zarabia. Utyskiwania kupujących nie mają tedy racji, z drugiej zaś strony stan ten dowodzi, że polskie kupiectwo pracuje w niezdrowych warunkach, których przyczyną są czasy dawne.

Wysiłki społeczeństwa winny się skierować obecnie do dziedziny wytwórczości, bo to jedyna droga do rozwiązania dylematu. Z chwilą gdy się to stanie, także i nasz handel ożywi się i wkroczy na zdrowsze tory.

Dr. Z. B.

Józef Bieniasz.

Jednego razu, kiedy głodny jak zwykle, włókł się borem, zaważał coś, co mu przypominało barany na poloninie, tylko że ów zapach był silniejszy i dziwnie łechcący. Niezawodny nos, skierowany pod wiatr, chwycił z rozkoszą tę niezwykłą woń, która drażniła niesłychanie jego podniebienie. Nie ulegało wątpliwości, że w pobliżu znajdowało się nowe, smaczne jado.

W pewnej chwili przystanął. Tuż przed nim, obok ogromnego kłosa, leżał okazały kawał mięsni, które wydawało tę przedziwną woń. To go zastanowiło. Swoim zwyczajem obszedł przedmiot ostrożnie dokoła, groźnie pomrukując i czekając na jakiś ruch, ale przedmiot nie ruszał się i woniał coraz ponętniej. Nabrawszy zaufania, podszedł śmiało i wyciągnął łapę po zdobycz, gdy naraz łapę tę pochwyliły z niezmierną siłą jakieś kleszcze. Ryknął z bólu i szarpnął się gwałtownie, ale kleszcze nie tylko nie puszczały, ale zaciskały się coraz bardziej. Rozwścieczony atakiem nieznanego wroga, stracił zwykłą flegmę i rycząc coraz groźniej, szamotał się z całych sił, dopóki nie ruszył kłosa. Wnet jednak zmiarkował, że ciężar jest za wielki nawet na jego siły a że łapa coraz dokuczliwiej bolała, przytrzymał drugą łapę i szarpał wytrwale uwieczoną, próbując coraz nowych sposobów. Wtem żelazo puściło. Był wolny. Wówczas odskoczył gwałtownie w tył; jakiś czas lizał obolałą nogę, zerknął raz jeszcze w kierunku niebezpiecznego przedmiotu, potem dał potężnego suna i zapadł w lasy.

Od tego czasu żył ladażak, unikał ponętnej woni, która mu się stała nienawistna, od kiedy zmiarkował, że woni tej towarzyszy nieodłączny zapach zdradzieckich kleszczy i obchodził zawsze zdaleka, ilekroć mu się zdarzyło spotkać je na drodze.

Zimą zbliżała się. Miś posępniał, stał się dziwnie ociężały i senny i choć głodny, szukał stosownego legowiska, co mu było w tej chwili miłsze nad wszystkie jadalne przysmaki. Znalazłszy w kniei lej po powalonym przez wichry smereku i uznawszy, że tu będzie dostatecznie chroniony przed wichrami, ułożył się wygodnie i zapadł w głęboki sen. Niebawem obfity śnieg przykrył go białym kołbiercem.

Jednego dnia, już w połowie zimy, słodki jego wypoczynek przerwało głośnie ujadanie psów i huk strzałów w lesie. Przebudził się natychmiast, bacznie nasłuchując. Wrzawa rosła, zbliżała się, aż się zatrzymała tuż nad jego legowiskiem. Czyjeś łapy odgrzebywały gwałtownie przykrywający go śnieg. Nie reagował. Dopiero gdy się dobrano do jego kudłów, rozgniewał się, że mu spokój zakłócono, podniósł się nagle na całą wysokość potężnego wzrostu i ryknawszy wściekle, rzucił się do ucieczki. Ale psy nie ustąpiły. Przeciwnie — nacierały i doskakiwały mu do boków; jeden szarpnął go nawet zębami za tylną łapę. Wtedy rozdrażniony, zmiążdżył najbliższego uderzeniem i usiłował dosięgnąć następnego, gdy posłyszał ponowny, silny grzmot i uczył piekący ból w udzie. Przerażony, rzucił się do tem szybszej ucieczki i przepadł w głębokiej kniei.

Uszedłszy szczęśliwie pogoni, włókł się jeszcze przez kilka godzin niedostępnym gąszczem. Kluczył, kołował, mimo dolegliwego bólu dawał od czasu do czasu potężne, kilkumetrowe susy w bok, by ślady nie naprowadziły na niego wstrętnych, szczekających intruzów i bolesne grzmoty istot, chodzących tylko na dwóch łapach i wyszukawszy bezpieczne miejsce, ułożył się ponownie do snu.

W tak twardych warunkach upłynęły mu lata młodości. W tym czasie poznał już dokładnie istotę na dwóch łapach: człowieka i działanie jego grzmiącej broni, której liczne ślady nosił na własnej skórze. Człowiek i żelazo wydawały najobrzydliwszą woń, jaką znał w górze, to też gdy wiatr przyniósł mu ten zapach do nosa, uchodził precz w góry i na niedostępne miejsca. Pomimo że unikał zarówno ludzi, jak i ich siedzib, nie dawano mu przecie spokoju. Nietylko jemu zresztą, bo tak samo prześladowano innych leśnych mieszkańców, jak jelenie, rożące, sarny, dziki, a nawet taki mały drobniak, jak zające i wydry. Oprócz tego trzeba było ustawicznie gęste bory, jego odwieczną ojcowinę, ścinać stare, nikomu nie niewinne smereki i jodły i nieraz docierano do jego kryjówek, gdzie go bez powodu niepokoiono.

Uciekał więc w miejsca coraz niedostępniejsze, ale zarazem jałowe i skąpe w pożywienie. Głód dawał mu się coraz częściej we znaki, coraz częściej wzbierała w nim głucha złość. Zaczął nienawidzić największego prześladowcy: człowieka, czworonożnego zdrajcę zwierzęcego narodu: psa, a nawet ludzki dobytek, pasący się za dnia opodal na obszernych poloninach.

Raz, kiedy głodniejszy niż zwykle drzemał w gęstym krzaku, zaważał znany sobie zapach bydła, na które patrzył dotąd obojętnie. Jedna sztuka oderwała się właśnie od stada i w poszukiwaniu za bujniejszą paszą, podeszła aż do jego kryjówki.

Niedźwiedź zawrzał gniewem. Mięso jadał dotychczas rzadko i tylko z konieczności, jego organizm nie znosił nawet tego rodzaju pożywienia, ale głód zadecydował o wyborze. Upatrzywszy stosowną chwilę, gotów do skoku, obserwował bacznie zbliżające się zwierzę i oceniwszy w lot, że przestrzeń jest odpowiednia, dopadł jednym susem wołu i wpiwszy straszliwe kły w kark, powalił na zienie. Szybki jak błyskawica, pochwylił następnie ofiarę za gardło i pazurami tylnych łap rozpruł wnętrzności.

Dopiero teraz zmiarkował, że mięso jest rzeczą nienajgorszą i posilną. Wolałby zapewne miód, orzechy, lub żółędzie, ale skoro ich zabrakło — musiał z konieczności zaspokoić głód w sposób, jaki się nadarzył. Tym razem nie był zbyt wybredny, dlatego najadłszy się dosyła, zawłókł niedojedzoną resztę w krzaki, magazynując jado na następne dni.

Odtąd stał się groźny dla polonin. Ufny w swoją niesłychaną siłę, rzucał się w biały dzień w sam środek pasącego się stada i ubiwszy upatrzoną sztukę, uciekał z nią z zadziwiającą lekkością w niedostępne miejsca. Zabijał z równą łatwością cielę, krowę, czy wołu. Rzucał

się nawet zuchwale na byka, choć z tym musiał staczać często zacieklą walkę. Byki były też silne, a co gorsza: solidarne i gdy on zaatakował jednego — inne przychodziły zaraz w sukurs. W ten sposób poturbowały go raz dotkliwie i zmusiły do ucieczki, ale mimo to krwawego rzemiosła nie poniechał.

Odżywiany obficie, rozrósł się, spoteźniał i miał poczucie tak ogromnej mocy, że w danym razie nigdy się nie zaważał. Powodzenie go rozzuchwiała. Nieraz, wpadłszy w dziką złość, dopadał stada i zabijał napoczekaniu dwie, a nawet trzy sztuki, choć tylko jedną unosił do swej kryjówki wśród skał.

Niebawem przyszli na poloninę ludzie z psami i zaczęli się pościg. Niedźwiedź uciekał, kluczył, zacierał ślady, przeświadczony instynktownie, że dwunożni prześladowcy wywęszą jego obecność, podobnie jak to i on umiał, wspinał się na niedostępne urwiska, ale wszędzie go goniło wraże ujadanie sfory psów.

Przepędzony z ulubionej poloniny, skrył się wyżej w kosodrzewinę i tu zapadł w nieprzebytej dla ludzi i innych zwierząt płataninie, pilnie nasłuchując i dokładnie węsząc. Węch i choć mały, ale czuły na każdy szmer uszy ostrzegały, że nieprzyjaciół krąży wciąż w pobliżu. Dochodził go zresztą ostry zapach dymu, charakterystyczny dla bytności człowieka, z czego wynikało, że prześladowcy jeszcze nie odeszli.

Przez kilka dni nie ruszał się z miejsca. Nudził się i z nudów lizał godzinami łapy, czuchrał się o chropowate pnie kosodrzewiny, albo przeciągał lubieżnie, pomrukując z poczucia okrutnej nocy i świetnego zdrowia. Chwilami ziewał. Byłby tak może jeszcze długo strzymał, bo na głód był odporny, tylko dokuczało mu nieznosne pragnienie.

Jednej nocy zmienił się kierunek wiatru i nie przynosił żadnego podejrzanego zapachu. Miś podniósł się ze swego łoża, stanął na tylnych łapach i wystawiwszy czarny nos, sprawdzał. Nie ulegało wątpliwości, że ta strona była wolna od nieprzyjaciela, to też nie namyślając się długo, zaczął się przedzierać w tym kierunku przez gęstwinę. Szedł wytrwale i śmiało, pewny, że go tu i tak nikt nie dosięgnie. Gdy stanął na skraju poloniny, dniało. Ugasiwszy w potoku pragnienie, rozejrzał się uważnie, znów wahał i jego niedźwiedzie serce zabiło z żywej radości. W zagrodzie, opodal, leżały dziesiątki cielsk tłustego bydła, najlepszego dlań w tej chwili przysmaku. W kilku potężnych susach dopadł ogrodzenia z żerdzi, zburzył je niezawodnym uderzeniem łapy i w mgnieniu oka rozszarpał najrozszejszą sztukę. W stadzie powstał popłoch i ryk trwogi, ale rabuś już sunął w gąszcz ze zdobyczą i zapadł w morzu kosodrzewiny, będącej dlań ostatnio ulubioną, bo bezpieczną schronieniem.

Ale od tego czasu nie zaznał spokoju. Ludzi i psów przybywało z każdym dniem coraz więcej. Ostre dymy otaczały go dokoła jak pierścieniem. W dzień przetrząsano skraj kosodrzewinowej płataniny, a w nocy palono wielkie ognie. Wprawdzie nikt jeszcze nie dotarł do jego legowiska, ale niedźwiedź zmiarkował, że istoty na dwóch

Karpacki Miś.

łapach czyhają na jego skórę i mięso, tak samo jak on czyhał na wołu. Zdobywcę zjadał pomału i oszczędnie, ale wnet mu zbrzydła, bo szedł od niej wkrótce tak obrzydliwy zapach, że nie dojadłszy, przeniósł się o kilkadziesiąt kroków dalej. Po kilku dniach był znów głodny i dokuczało mu pragnienie. Zjadał łapczywie mech i trawę, ale jadło było kwaśne i niezdane. Doprowadzony do ostateczności, wypadł raz wczesnym rankiem z kryjówki, po drodze zburzył ze złością namiot, gdzie spali ludzie, zabił psa i znikł w gęstej mgle świtanie.

Odtąd nie spotykał już na swej drodze na poloninach bydła, które widocznie pochowano, zato gdziekolwiek się ruszył, zaczynał znajomy i nienawistny zapach człowieka, psów i dymów. Na wygodniejszych przejściach i nad strumieniami leżały wprawdzie kawały nierównych, mięsnych przysmaków, ale miła tę woń obrzydła zapachem żelaza, czyhającego i tu na jego łapę. Gdzieindziej napotykał na głębokie doły, gdzie istnienie mięsa wzbudzało podejrzenie. Z konieczności żywił się dziczyzną, tylko że przebiegli mieszkańcy leśni umykali na jego widok z tak zadziwiającą szybkością, iż spotykały go i tutaj niepowodzenia.

Nie ulegało wątpliwości, że opanowany przez niego okręg stał się bardzo niewdzięczny, wobec czego postanowił go opuścić. Odchodził z żalem, bo znał tu każdą ścieżkę, każde zagłębienie skalne, ale go stąd precz pędziła jego niedźwiedzia dola, okrutniejsza, niż każdego innego mieszkańca lasów i gór.

Zgłodniały i posępny włókł się w dalekie, nieznane światy, gdy bystre jego nozdrza pochwytyły dobrze sobie znaną woń. Wprawdzie nie zaczął smacznego mięsa wołu, tylko barana, ale on nie pogardził i baraniną. Szedł nieufnie, co krok przystając i węsząc, lecz wiatr był czysty i nic nie wskazywało na niebezpieczeństwo.

Wychyliwszy się z lasu, ujrzał istotnie wielkiego barana, który przywiązany do słupa, leżał spokojnie na ziemi. Zastanawiające było tylko, że słup podtrzymywał w pośrodku wielką ilość ciężkich belek, spierających się jednym końcem o pokraczne konary jodły. Znał się dobrze na ciężarze, gdyż nieraz podobne łapę podnosił, tylko taka wielka ilość, niezwykły rodzaj budowli i łatwa zdobycz bez zapachu żelaza wzbudziły jego nieuwagę.

Przystanął tedy i głęboko się zamyślił. Kąsek był smaczny i należało go zjeść, zwłaszcza że był głodny, ale rusztowanie z belek wyglądało na zasadzkę. Obchodził tedy budowlę groźnie porykując, poczem wdrapał się ze zwinnością kota na dobrze sobie znany i nie kryjący żadnych niebezpieczeństw pień sosny, kędy były sparte belki i począł zrzucić jedną po drugiej. Dopiero gdy zburzył budowlę, zszedł na dół, usunął kłody, przegryzł powróż, którym był przywiązany martwy baran i porwawszy tę tłustą przynętę, przepadł w borze.

W długie wieczory zimowe opowiadali ludzie z polonin i mieszkańcy gór dziwy o niesamowitym niedźwiedziu pojedynku, którego się żadna kula nie ima, ani żelazo nie chwyta. Byli tacy, którzy go widzieli na własne oczy. Dochodził długości jałowki, tylko wzrostem rższy. Ważył ze trzy cetnary. Nazywano go królem polonin i słusznie, bo przez szereg lat porywał bydło domowe, burzył zagrody, atakował najgroźniejsze byki w stadzie i wychodził zawsze zwycięsko. Na ludzi nie napadał. Mądry był jak człowiek, bo na ludzkie podstępny znajdował zawsze sposób i nie było wypadku, żeby się nie potrafił wymknąć z zasadzki.

Pasterze znali go dobrze, bo nosił białą obrozę z sierści dokoła szyi.

Z tych okolic przepędziła go dopiero walna oblawa myśliwych i zaprzestanie wypasania bydła na poloninach. Dokąd poszedł — nikt nie wiedział.

WYTWORNA GALANTERJA SKÓRZANA

W. Ciechulski i Syn

Lwów — Legjonów 5.

ARTYSTYCZNIE!

SZYKOWNIE!

KROJEM ANGIELSKIM

wykonuje

GARDEROBĘ MĘSKĄ

ANDRZEJ CZAJKA

Lwów, Romanowicza 18

Ze sportu.

Mowa oczywiście o tenisie — tym kopciuszku sportu polskiego. Rzecz dziwna — rozmach wychowania fizycznego objął w mniejszym lub większym stopniu wszystkie dziedziny sportu począwszy od lekkiej atletyki, a skończywszy na podnoszeniu ciężarów, ale tenis tej wszechwładnej upaństwowionej opieki wcale nie odczuł. Sumy przeznaczone na wychowanie sportowe młodzieży jakoś z bardzo daleka obchodzą problem tenisowy; każde gimnazjum może się poszczycić kawałkiem boiska i pewną liczbą inwentarza sportowego, ale do rzadkości należy uczelnia posiadająca choćby prowizoryczny kort i parę rakiet; od tenisu jak od zarazy stronią wychowankowie różnych „Instytutów” obecni „pedagodzy” wychowania fizycznego — jak wszędzie i tutaj wyrobili się już specjaliści uznający i propagujący tę lub ową dziedzinę sportu — nigdy zaś tenis. Państwowa Odznaka Sportowa objęła bardzo szeroki zakres sportu, nawet strzelanie i łucznictwo, jednakże tenis gdzieś się zgubił.

Szerszy ogół — wbrew temu co się u nas mówi i pisze — jeszcze obecnie nie interesuje się tenisem do tego stopnia, aby można mówić o popularyzacji tej pięknej gałęzi sportu; kadry graczy wcale nie rosną — jak tego chcą rozmaite efemerydy sportowe — co najwyżej stoją w miejscu, t. zn., że miejsce starych graczy zajmują młodzi i że niema rażącej luki między jednym pokoleniem tenisistów a drugim. Czy znaczy to może, iż za parę lat będzie lepiej? Kwestja. O ile nie nastąpi prawdziwa popularyzacja tenisu, o ile najmłodszy nie dostanie do ręki rakiet i piłkami nie będą wybijać szyb, jak to czynią obecnie z futbalem — nie wiele się zmieni. Popularyzacja tenisu od dołu jest dla jego istnienia i rozwoju warunkiem sine qua non.

Jeżeli mamy być sprawiedliwi, musimy stwierdzić, że naogół w ostatnich czasach podniósł się

Biały sport na przetomie.

poziom naszej czołowej grupy rakiet. Ale ta czołowa grupa (ściślej: Jędrzejowska, Hebda, Tłoczyński) to wyskok naszego tenisu. Jej forma nie świadczy bynajmniej o poziomie naszego tenisu jest najwyżej średnią arytmetyczną wysiłków indywidualnych przedstawicieli tej grupy i klubów, do których oni należą. Z tem wszystkim jest nam bardzo daleko do takiej klasy, któraby gwarantowała zrównanie się choćby z naszymi najbliższymi sąsiadami Czechosłowacją czy Niemcami, bo Łotwę czy Estonję a choćby i Rumunię pobić w tenisie jeszcze od biedy przy odrobinie szczęścia zawsze potrafimy.

Są jednak pewne oznaki, świadczące o zbliżającym się przetomie. Najważniejszym jest fakt, że nawet te kluby tenisowe, które zdawało się już dawno skostniały, zaczynają zdradzać pewną aktywność; kluby zaś które zawsze wykazywały zrozumienie dla swoich zadań, nabrały ostatnio szerszego rozmachu. N. p. na terenie lwowskim zasłużony Lw. Klub Tenisowy dał nam w obecnym dobiegającym końcu sezonu szereg naprawdę pięknych spotkań, mogących pociągnąć szersze rzesze publiczności nie tylko nazwiskami zawodników, ale i poziomem rozgrywek. Przypuszczamy, że w przyszłym roku będzie jeszcze lepiej. Z czasem wyrobi się i zainteresowanie szerszych sfer — tych właśnie, które są finansową podporą każdego klubu. Zjawia się też już na widowni rozgrywek tenisowych i t. zw. „zielona trybuna” — objaw w naszych warunkach (to nie paradoks!) pocieszający, będący niernikiem zainteresowania warstw najniższych, świadczący, że tenis przestaje być (jak i wyścigi automobilowe) sportem arystokratycznym. Wprawdzie to nie jest jeszcze popularyzacja tenisu bez której nie ruszymy naprzód, ale możemy to uważać za wstęp do niej.

W. R.

Zdarzenia

Polska.

Ku czci Batorego. W Krakowie odbyły się uroczystości ku czci króla Stefana Batorego z udziałem Prezydenta Rzplitej, prymasa Węgier kardynała Seredi, delegatów rządu węgierskiego i wielu gości.

Umowa polsko-rumuńska. Podpisana została handlowa konwencja polsko-rumuńska.

Powrót ekspedycji polarnej. Do Polski powróciła polska ekspedycja polarna, która w celach naukowych bawiła na wyspie Niedźwiedziej.

225,518 strajkujących robotników. W ciągu pierwszego kwartału b. r. strajkowało w Polsce 225,518 robotników.

Min. Piłsudski w Zaleszczykach. Min. Piłsudski udał się na wywczas do Zaleszczyk. W kołach politycznych do podróży tej przywiązują wagę w zakresie pewnych posunięć w polityce zagranicznej.

Pożyczka wewnętrzna. Ogłoszone zostało rozporządzenie o wypuszczeniu pożyczki wewnętrznej w wysokości 120 milj. zł. w złocie.

Uroczystości Sobieskiego. We Lwowie odbyły się uroczystości Sobieskiego związane z 250-letnią rocznicą Odsieczy Wiednia.

Skazanie instruktora O. W. P. Sąd Okręgowy Apelacyjny w Warszawie zatwierdził wyrok skazujący Kazimierza Pytkę instruktora O. W. P. na 1 rok więzienia za obrazę prezydenta Rzplitej, min. Piłsudskiego, Becka, Pierackiego, wicemin. Koca i Sławka.

Rozprawa o mord ś. p. Chudzika. W dniu 18 września rozpocznie się w Sanoku wielki proces o zamordowanie w maju br. w Brzozowie ś. p. Jana Chudzika członka O. W. P. i sekretarza Str. Narodowego. Przed sądem staną niejaki Jajko oraz wywiadowca PP. Stan-

kiewicz i komisarz PP. Drzewiński. Proces zapowiada się jako niezwykle sensacja polityczna.

Akcja antyżydowska w Łodzi. Naczelnikowi wydz. narodowościowego w min. spraw wewn. przedstawiła delegacja żydów materiały w sprawie rozgątej akcji antyżydowskiej w Łodzi.

Nieznani sprawcy w Warszawie. W jednej kuchni żydowskiej w Warszawie nieznani sprawcy rozlali cuchnący płyn, wskutek czego publiczność musiała lokal opuścić. Kupcowej Esterze Elbichmanowej obłano naftą towar.

Zajścia w pow. stopnickim. W Piaskach Wielkich pow. stopnicki woj. kieleckie doszło do zajść z policją w czasie wiecu chłopskiego. Wedle urzędowych relacji ofiar w ludziach nie było.

Rusini przeciw Żydom. Związek Żydów jakoby uczestników walk o niepodległość zaapelował do ludności ruskiej, aby nie popierała szerzącej się wśród niej akcji antyżydowskiej.

Niemcy.

Żydzi za Hitlerem. Związek Żydów narodowo-niemieckich ogłosił odezwę przeciw mieszanemu się żydostwa sjonistycznego do spraw niemieckich i stwierdził głębokie przywiązanie Żydów do narodu niemieckiego. Równocześnie prasa doniosła o nowych aresztowaniach Żydów w Niemczech i umieszczeniu ich w obozach koncentracyjnych.

Śmierć Possa. Zginął lotnik Poss, który był konurentem śp. Żwirki i Wigury.

Konkordat z Watykanem. Konkordat Rzeszy z Watykanem został ratyfikowany, co było niespodzianką ze względu na pogłoski o zastrzeżeniach ze strony Watykanu.

Hitler i Göring. Prasa francuska donosi o tarciach pomiędzy kanclerzem Hitlerem a premierem Göringiem na tle walki o wpływy. Wiadomości te nie są jednak sprawdzone.

Francja.

Podróż premiera Deladiera. Premier Deladier odbył inspekcyjną podróż po wschodnich granicach Francji, gdzie zwiedził fortyfikacje, wyrażając się następnie o nich z zadowoleniem. Podróż była odpowiedzią na prowokacje niemieckie.

Anglia.

W sprawie zbrojeń niemieckich. Rząd angielski odbył ważne narady w sprawie zbrojeń Niemiec. Prasa francuska sądzi, że Anglia nie cofnie się teraz przed interwencją w powyższej sprawie.

Skon lorda Greya. W Londynie umarł jeden z b. przewodców partii liberalnej lord Grey, minister spraw zagr. w chwili wybuchu W. Wojny

Italia.

Pakt ze Sowietami. Oficjalnie ogłoszony został tekst paktu rosyjsko - włoskiego o przyjaźni, neutralności i nieagresji obu państw.

Stany Zjednoczone.

Nowa rewolucja na Kubie. Na Kubie wybuchła nowa rewolucja o charakterze socjalistycznym. Rewolucja odbyła się tym razem bezkrwawo. St. Zjednoczone podjęły interwencję zbrojną.

Nowy kążownik. W Filadelfii spuszczone na wodę nowy kążownik o pojemności 10 tys. tonn. Budowa jego kosztowała 11 milj. dolarów.

Austria.

Porwanie Hitlerowca. Z więzienia w Innsbrucku uprowadzony został jeden z przewodców austriackiego stron. narod. - socj. Franciszek Hoffer. Został on przez nieznanych sprawców wywieziony do Włoch.

Profesorowie przeciw kanclerzowi. 10 profesorów uniwersytetów ogłosiło pismo poddające krytyce prawny stan rządu Dollfusa. Prasa ocenia ten występ jako zdradę stanu.

Powiększona siła zbrojna. Austria powiększyła dodatkowo milicję i podniosła swoją siłę zbrojną z 22 na 30 tys. żołnierzy, uzyskując na to zgodę mocarstw.

250 lecie odsieczy Wiednia. W Wiedniu odbyły się wielkie uroczystości, związane z 250-leciem odsieczy Wiednia. Prasa niemiecka usiłowała pomniejszyć zasługi Sobieskiego i Polski. W uroczystościach wzięli udział licznie Polacy, delegaci armii polskiej itd.

Holandja.

Wypowiedzenie rozejmu celnego. Rząd Holenderski wypowiedział rozejm celny ustanowiony przez londyńską konferencję ekonomiczną.

Bułgaria.

Zmiana w polityce zagran. W polityce zagran Bułgarii zanoszą się podobno na zmianę mającą iść w kierunku zbliżenia się Bułgarii do Jugosławii. W związku z tem zwrócono uwagę na podróż króla Forysa do Francji.

Przez Kuratorjum koncesjonowane Kursa nauki pisania na maszynie

(Specjalne kursa nauki języków
niemieckiego i francuskiego)

K. Michalskiej

we Lwowie — ul. Sykstuska 10
Telef. 743 i 88-49.

Przepisywanie i powielanie w
starannem wykonaniu. — Wypożyczalnia
maszyn. — Warsztat napraw. — Fachowe
porady.

Towary bławatne, płótna, pościel Największy wybór — Ceny fabryczne FRANCISZEK ORZECOWSKI

Lwów, Rynek 29 — telefon 25-55.

STALE NA SKŁADZIE

posiada solidne sypialnie, jadalnie — także wykonuje na zamówienie wszelkie meble
po cenach przystępnych

WYTWÓRNIĄ MEBLI

EDWARDA KLEBANA, Lwów-Zniesienie ul. Jasna 22. Tel. 70-45.

STAŁA WYSTAWA I SPRZEDAŻ ul. SOBIESKIEGO 3.

F-ma Mieczysław Zaleski

Lwów, pl. MARJACKI 10. tel. 53

zawiadamia niniejszem, że już otrzymała NOWY TRANSPORT MATERJAŁÓW
na ubrania, raglany oraz mundurki szkolne.

GOTOWE UBRANIA od zł. 39.— RAGLANY od zł. 60.

SAMODZIAŁY NA UBRANIA MĘSKIE PO NAJNIŻSZEJ CENIE.

SUKNA

na ubrania męskie, palta, futra, kostjomy
damskie, mundurki stud. poleca
FABRYCZNY SKŁAD

LUDWIK RALSKI

Lwów, Rutowskiego 7.

Aleksander BEŁTOWSKI

Lwów, SOBIESKIEGO 4.

Pracownia i Magazyn sukien męskich.

Zakład pogrzebowy „ELIZJUM“

Sobieskiego 9. Telefon 89-40
Mieszk. 92-92

przedtem pod firmą J. KURKOWSKIEGO urzą-
dza pogrzeby od najskromniejszych do najwspa-
niańszych, przeprowadza ekshumacje, wywozy
zwłok po cenach najniższych i na dogodnie spłaty.
Na składzie wielki wybór wieńców metalowych.

PRENUMERATA:

miesięcznie	0.70
kwartalnie	2.—
półrocznie	4.—
rocznie	7.50

NACZELNY REDAKTOR

przyjmuje codziennie od 11—13-tej

ADMINISTRACJA

codziennie od 9—14-tej.

Numer pojedynczy 35 gr.

CENY OGŁOSZEŃ:

Strona dzieli się na 3 łamy; szerokość łamu 80 mm; 1 milimetr
w 1 łamie kosztuje 60 groszy. Cała strona zł. 630.

Ogłoszenia w tekście i daubaryne na ostatniej str. 50% drożej.
Miejsce zastrzeżone o 25% drożej.

Czytelnicy!

Z dniem dzisiejszym rozpoczyna swój żywot nowe pismo: awangarda idei prostych, bezkompromisowych, niezepsutych. Nie przychodzimy z hasłami innowatorskimi. Przeciwnie! Stać pragniemy na straży naszych narodowych pamiątek, tradycji i etyki, na których świętość nastają różni reformatorzy niearyjskiej provenjencji.

Wypowiadamy otwarcie walkę zakusom żydowsko-masońskich apostołów, propagujących idee bezbożnictwa, reformę obyczajów itp. hasłom „uszcześliwawczy” naszego polskiego życia. Wypowiadamy też walkę apatii i bierności społeczeństwa. Dość marazmu.

Wobec grozy moralnej deprawacji — biorą się w garście wszyscy nasi sąsiedzi. Sprobujmy, czy i nas na to nie stać. Przekonajmy się, że i my skupić się potrafimy dokoła świetlanego sztandaru. Bo jeśli nas nawet dzielą różnice przekonań — porozumiemy się bodaj na jednej platformie: na terenie kwestji żydowskiej.

Dokoła tego pisma skupiły się na nasz zew wszystkie młode cięte, narodowe pióra. Znacze je po części z „Kurjera Lwowskiego” i pracy narodowej. Nazwiska te są gwarancją czystości naszego kierunku i napewno nie zawiodą.

Utrzymanie tej nowej placówki o dość przejrzystej ideologii zależy teraz od polskich czytelników. Nie prosimy o darowiznę, ani pomoc, ale mamy prawo domagać się, by nas czytano. Komu się nasze hasła podobają — tego zapraszamy do prenumeraty, komu nie — tego zmuszamy, ale prosimy, by pokrył bodaj ten jeden egzemplarz. Kosztuje niedrogo i na tyle stać najuboższego.

Niniejsze pismo — to owoc bezinteresownej pracy ludzi dziś może najbiedniejszych, bo młodych literatów i dziennikarzy. Najbiedniejszych, bo gdy na kopanie pilek, lub inne rekordy znajduje społeczeństwo dość milionów — dla pionierów życia umysłowego brak nawet szelągów.

Niechże nasz zew nie pozostanie bez echa. Stańmy wszyscy do odnowienia życia polskiego! Wszyscy w szranki do obrony świętości i czystości gniazd naszych praocjów, rycerzy Marji.

Wszyscy do Apelu!

Redakcja.

Catalinical

Nr. 9 (19).

Lwów 2 października 1933.

Rok II.

DWUTYGODNIK

społeczny, polityczny i literacki.

Redaktor naczelny: TADEUSZ ZADERECKI.

Adres Redakcji i Administracji
Lwów, ul. Niecała 5.

Konto P. K. O. 503.100

TREŚĆ NUMERU: J. LASKOWSKI: Radykalni czy umiarkowani? — LELIWITA: Przykład Niemiec. — F. T.: Na marginesie procesu samborskiego. — CZ. LECHICKI: Deformacja obyczajów. — GOŚCISŁAW: Sztuki plastyczne, a człowiek dzisiejszy. — BEZET: Kronika tygodniowa. — Z. A. Kobiety w życiu Bismarcka. — WL. BRYŁA: Muzyka i teatr. — T. ZADERECKI: Starohebrajska sielanka Kasprowicza. — BEZET: Cud boga Apisa — C. Ł. Z nowych powieści. — Ze sportu. — Charakterystyczne teksty hebrajskie. — T. ZADERECKI: I rzekł Pan do Mojżesza. — Dział gospodarczy, kobiecy, grafologiczny itd.

Radykalni czy umiarkowani?

Jest rzeczą dowiedzioną, że tylko stronnictwa i partje najradykalniejsze, których programy i idee są zupełnie jasno postawione, które nie lawirują między poszczególnymi stronnictwami i nie bawią się w umiarkowanych, mogą mieć dziś znaczenie i oddziaływać na masę.

Wyrazem tego są dwa kierunki polityczne: faszizm i komunizm. Oba gotują się, by prędzej czy później opanować świat. Są to bowiem kierunki najbardziej radykalne w swoich programach, które jasno postawiły kwestję, czego żądają i do czego będą dążyć.

Widzimy dzisiaj i stwierdzamy, że wszystkie inne partje, tracą coraz więcej swoich zwolenników, a grunt na którym kiedyś kwitły i rozwijały się pomyślnie, usuwa się im powoli lecz nieuchronnie z pod nóg. Kwestja istnienia, względnie tylko chociażby wegetowania, jest dzisiaj najaktualniejszą, — jest kwestją najbardziej piękną dla władz partyj i reformy ich programów.

WYCIĄG Z PROTOKOŁU WSPÓLNEGO POSIEDZENIA NIEJAWNEGO!

Sąd okręgowy Wydział VI karny we Lwowie w składzie S. O. W. Medyński jako Przewodniczący S. O. R. Tertil i A. Jagodziński jako głosujący w sprawie konfiskaty Nr. 8 (18) czasopisma Wczoraj Dziś Jutro z daty Lwów dnia 15 września 1933 do Sygn. VI 1 Pr. 441/33 na posiedzeniu niejawnym w dniu 21 września 1933 po wysłuchaniu zdania Prokuratora Sądu okręgowego we Lwowie postanawia uznać za usprawiedliwioną dokonaną dnia 16 września 1933 ppzez Starostwo grodzkie we Lwowie konfiskatę czasopisma Wczoraj Dziś Jutro Nr 8 (18) z daty Lwów, dnia 15 września 1933 zawierającego w artykule 1) To co najważniejsze itd. w całości wraz z tytułem 2) Niepokojące itd. w całości wraz z tytułem 3) Kronika tygodniowa od słów Kochana do słów tak miła od słów Jak już wiadomo do łaski P. Prezydenta 4) Hitler we Lwowie w całości wraz z tytułem 5) Societe anonyme w całości wraz z tytułem 6) Cielecy zachwyt w całości wraz z tytułem 7) Błędne koło w całości wraz z tytułem 8) Zdarzenie od słów 225 518 do słów robotników od słów Proces do słów antyżydowskiej znamię wyst. z art. 170 kk zarządzić zniszczenie całego nakładu i wydać w myśl § 493 pk zakaz dalszego rozpowszechniania tego pisma drukowego.

Zarazem wydaje się odpowiedzialnemu red. tego czasopisma nakaz, by orzeczenie niniejsze umieścił bezpłatnie w najbliższym numerze i to na pierwszej stronie. Niewykonanie tego nakazu pociąga za sobą następstwa przewidziane w § 21 ust. druk. z 17. 12 1862 Dzpp. Nr. 6 ex 1863 tj. zasądzenie za przekroczenie na grzywnę do 400 złotych.

UZASADNIENIE

Ogłoszenie drukiem wymienionych wyżej artykułów ma na celu tendencyjnym zestawieniem różnych fałszywych wiadomości o stosunkach wewnętrznych Państwa przy specjalnem podkreśleniu roli żydów w Polsce wywołać niepokój publiczny.

Według §§ 487, 489, 493 pk oraz §§ 36 i 37 ust. pras. jest zatem powyższe postanowienie uzasadnione.

Przew.: Medyński w. r.

Protokul. Stec w. r.

Za zgodność: st. sekretarz: podpis nieczytelny.

Zbliża się i nadchodzi wielkimi krokami czas w którym ludzkość będzie musiała wypowiedzieć się bądź to za internacjonalizmem, bądź też za nacjonalizmem, a kiedy ta rzecz będzie już rozstrzygnięta, wtedy będzie można myśleć o rozwiązaniu problemów gospodarczych i politycznych, kierując się bądźto dążeniami narodowymi, bądź międzynarodowymi.

Sposobu trzeciego rozwiązywania tych spraw niema. Nie można wyobrazić sobie umiarkowanego narodowca, czy komunisty, któryby pewne punkty programowe, jako zbyt radykalne odrzucał lekkomyślnie, bądź też je świadomie lekceważył.

Narodowiec, któryby w pewnych razach zmieniał swoje zapatrywania, aby być wyrozumiałym t. j. umiarkowanym, nie byłby „narodowcem”.

Nigdy nie możnaby wiedzieć, jak ten człowiek postąpi w decydujących wypadkach. Osobników nie przedstawiałyby żadnej pewności, byłby poprostu materiałem, który można urabiać w różne kształty. Podobnie rzecz miałaby się i z komunistą.

Patrzmy chociażby na Kościół katolicki. Ten nigdy nie odstępował od swoich założeń, nigdy nie był zbyt „umiarkowany”, był instytucją dość radykalną, nie idącą na żadne kompromisy, mimo licznych wystąpień z Kościoła i herezji (n. p. Anglja). Zwróćmy uwagę na ludzkość w pewnych okresach historycznych, a mówiąc ściślej, na grupy polityczne, społeczne i religijne w dziejach poszczególnych narodów. Daje się zauważyć odrazu, że miejsce dominujące wśród innych stanowisk zajmowały tylko te grupy, które wysuwały hasła najradykalniejsze (n. p. reformacja, rewolucja francuska, która mimo upadku zmieniła zupełnie oblicze Francji i. in.) tej samej metody trzyma się Mussolini: „My faszyci nie mamy zamiaru dostać się do władzy przez drzwi służbowe; nie mamy zamiaru rzec się naszych ideałów za miskę marnej soczewicy ministerjalnej”.

— Czy w słowach tych da się zauważyć ochota pójścia na kompromisy? Nie i jeszcze raz nie, — możemy więc zupełnie spokojnie powiedzieć, że tylko dzięki tym swoim walorom ludzie ci doszli do władzy. A jakże podobnie brzmią słowa Hitlera w czternaście lat po marszu Mussoliniego na Rzym. Ten sam duch, ta sama myśl w postępowaniu, która daje odpowiedź na pytanie, czy należy być radykałem w postępowaniu, czy też umiarkowanym.

Jerzy Laskowski.



Przykład Niemiec

Pouczać jest rzeczą śledzić politykę kościelną Hitlera i stanowisko dyktatora Niemiec wobec obu największych zespołów wyznaniowych Rzeszy. Ilustruje to bowiem dwojaką metodę ustosunkowania się nacjonalizmu bojowego do organizacji religijnej, względnie jej partyjnych odpowiedników.

Kościół ewangelicko-augsburski, do którego przynależy z imienia dwie trzecie Niemców i który z uwagi na tradycję Lutra jest właściwie kościołem narodowym niemieckim, opanował Hitler za pomocą ruchliwych emisariuszy z pośród pastorów kierowanych przez kapelana wojskowego (dziś już Landbischoffa) Muellera, tudzież osobnej grupy świeckich i duchownych działaczy gmin parafjalnych i konsystorzów, zwanej Deutsche Christen. Ponieważ u protestantów najwyższą władzą administracyjno-hierarchiczną jest synod generalny, względnie krajowy, przeto wystarczyło zdobyć większość wśród jego uczestników, tj. delegatów poszczególnych gmin, aby przeforsować potrzebne uchwały. Tak też się stało. Realizując naczelną postulat Nazich, tj. czystość rasy, postanowił synod w Brandenburgii wykluczyć neofitów żydowskich od jakichkolwiek urzędów w Kościele.

Na synodzie generalnym w Berlinie, po burzliwych dyskusjach i secesji opozycjonistów z ortodoksyjnej grupy Evangelium und Kirche (prowadzonej przez pastora Kocha), — postanowienie tamtego synodu rozszerzono na obszar całego państwa, przy wyborach zaś do konsystorza, jako władzy wykonawczej intersynodalnej, zwyciężyła lista narodowa „niemiecko-chrześcijańska”. Supremacja czynników rządowych przejawiała się na zewnątrz w powołaniu do pięciogłowego komitetu centralnego unii kościelnej staropruskiej aż 3 ministrów (w tym ministra wyznań i oświaty), a tylko jednego pastora. Oznacza to triumf cesaropapizmu w zunifikowanym Kościele ewangelicko-augsburskim, — który równocześnie proklamowano Kościołem narodowym, obowiązującym do opieki nad rodakami poza granicami Rzeszy.

Wyrazem entuzjazmu protestantów dla „brunatnego kanclerza” może być fakt, że na zjeździe jubileuszowym w Eisleben obaj najwybitniejsi przewodnicy kościoła, pastory: Hossenfelder i Mueller — nazwali Hitlera (zresztą z pochodzenia katolika) „zmarłym Lutrem”!

Zupełnie inaczej zachowali się wobec narodowych socjalistów katolicy niemieccy i to nie tyle dla samego przeciwstawienia się protestantom, ile dla przyczyn natury ideowej. Lękiem ich napawa przedewszystkiem forsowanie przez niektórych publicystów hitlerowskich (np. wpływowego Rosenberga) religii pogańskiej starogermańskiej z kultem Wodana i Baldura w miejsce „żydowskiego” chrześcijaństwa, z którego wyrzucić chcą gorliwi hitlerowcy cały Stary Testament i pewne nakazy etyczne Nowego. Biskupi niemieccy, mianowicie z Moguncji i Wrocławia, a za nimi szereg innych, w listach pasterskich zakazali wstępować i należeć do partii narodowo-socjalistycznej nie tylko księżom, ale i wiernym praktykującym. Akcentując kosmopolityzm i uniwersalizm pacyfistyczny Kościoła katolickiego, wystąpili szczególnie gwałtownie przeciw hitlerowcom jezuitom. Niemniej ma Hitler i między klerem katolickim zwolenników, jak np. opat bawarski Schachleitner, który pozdrawiając oddziały szturmowe młodych Nazich, wprost nazwał Hitlera „darem Bożym” dla Niemiec narodowych.

Najlepszym jednak dowodem, że zaangażowani politycznie katolicy nie myślą wojować z Hitlerem, ale owszem go poprzeć, jest rozwiązanie partii Centrum. Po 60 latach istnienia ustąpiło z widowni stronnictwo, przed którym skapitulował niegdyś Bismarck w Kulturkampfu i które odegrało doniosłą rolę w dziejach Niemiec za cesarstwa, a po wojnie dało Rzeszy kilku kanclerzy, wspólnie z socjalistami wywalczając państwu konstytucję weimarską. Jeszcze przy ostatnich wyborach zyskało 15 procent głosów, niewiele stosunkowo tracąc w porównaniu z resztą partij republikańskich. Dobrowolna likwidacja tej partii (z jej ekspozyturą bawarską) jest wypadkiem bezprzykładnym w historii parlamentarizmu i ruchów politycznych. Jej członkowie

i działacze zasilą przede wszystkim obóz nacjonalistyczny, do którego masowo garnie się też młodzież katolicka, studenci wszelkich odcieni, zwabięni siłą atrakcyjną idei narodowej i antysemickiej.

Największą wszakże niespodziankę zgotował Hitler zawarciem konkordatu z Watykanem. Dokonał tego, co katolickim jego poprzednikom: Marxowi, Lutherowi czy Brueningowi się nie udało i czego klerikalni jego wrogowie najbardziej się obawiali, jako wytrącenia im broni z ręki.

A konkordat ów jest dla katolicyzmu wcale korzystny, zapewnia mu większe swobody i lepsze warunki rozwoju, niż w krajach rdzennie katolickich, nie wyłączając Polski. Nauka religii zawrowana we wszystkich szkołach, dopuszczone szkoły wyznaniowe prywatne z dotacjami publicznymi. Biskupów mianuje papież bez prawa weta rządu, tak samo proboszczów biskup; komunikacja ze Stolicą Apostolską bez przeszkód, Akcja katol. może się rozwijać w ramach ściśle religijnych, narówni z resztą związków kościelnych o celach kulturalnych i charytatywnych. Dalej konkordat dopuszcza śluby kościelne jako prawomocne, co wraz z zapowiedzią rewizji ustawodawstwa Bismarkowego z czasów Kulturkampfu, jest przełomem nieocenionej wagi. Chodzi tu niewątpliwie o zatamowanie fali rozwojów i poparcie rodziny katolickiej, która daje największy przyrost ludności. Wreszcie zabezpiecza się mniejszościom narodowym na terenie Rzeszy język ojczysty w nabożeństwach, przy nauce katechizmu i w stowarzyszeniach religijnych.

Ratyfikowaniem konkordatu dowiódł Hitler, że nie tylko nie zamierza krępować obywateli katolików w ich polityce wyznaniowej, ale owszem pragnie im ją ułatwić. Obok Mussoliniego jest jedynym w Europie mężem stanu, które tak bar-

dzo w umowie międzynarodowej poszedł Kościołowi na rękę, choć przy swojej sile mógł się ważyć na wojnę z katolikami i mimo nieprzejednanego stanowiska, jakie sfery kościelne zajęły wobec dekretu o przymusowej sterylizacji.

Jakie z tego wszystkiego należy wyciągnąć wnioski? Najpierw ten, że nacjonalizm zwycięski nie jest zgoła nieprzyjaznym religii, owszem stwarza dla organizacji kościelnej zupełnie pomyślne warunki istnienia. Tak rzeczy stoją we Włoszech, jak i w Niemczech. Zarówno faszyzm, jak i hitleryzm współpracują na pewnych odcinkach z Kościołem i nie myślą nawet o rozdziale Kościoła od państwa. Przeciwnie, uwzględniają postulaty katolickie w takiej mierze, o jakiej marzyć nie było można za rządów liberalno-demokratycznych.

Powtórze płynie z przykładu Niemiec nauka, że partia katolicka, choćby nie całkiem klerkalna, niema dziś racji bytu. Nigdy nie byliśmy zwolennikami tworzenia jednego określonego stronnictwa katolickiego w Polsce, dlatego rozwiązanie Centrum niemieckiego uważamy za normalny objaw naturalnej ewolucji politycznej. Partie wszechstanowe, nacjonalistyczne, uznające naród za najwyższe dobro ziemskie i wystarczającą podstawę działania publicznego — mogą być dobrą platformą pracy politycznej również dla katolików. Tam zaś, gdzie partia nacjonalistyczna została przez Rzym potępiona (jak we Francji ruch Maurrasa) Kościół jest w najgorszej sytuacji i nie wywiera żadnego prawie wpływu na życie państwowe i obywatelskie.

LELIWITA.

Więcej wstydu! Więcej szacunku dla samych siebie!

Kupujmy tylko u swoich, choćby towar był o kilka groszy droższy!

Na marginesie rozprawy samborskiej.

Czasem żałuję, że w Polsce nie są niektóre procesy prowadzone tak jak w Rosji Sowieckiej, choć wiem, że taki sąd mało ma właściwie z sądem wspólnego. — Ale gdyby tak czasem na niektórych procesach sądowych ustawić na sali sądowej mikrofon, ażeby kraj cały i społeczeństwo dowiedziało się dokładnie o tem, czego najlepsze nawet sprawozdanie, najlepszego reportera oddać nie jest w stanie, nie byłoby źle. —

Weźmy na przykład taki, toczący się obecnie w Samborze proces o zamordowanie ś.p. Hołowki, ciekawy i przez wzgląd na osobę trzeciego oskarżonego Romana Baranowskiego urastający do miary symbolu. — Jakby to dobrze było, gdyby każde padające tam słowo mogła usłyszeć otumaniona hałmami nieuczciwych agitatorów młodzież ruska, gdyby mogła usłyszeć i poznać całą ohydę i moralną zgniliznę ludzi, którym ufa, którzy jej przewodzą.

Prasa codzienna przynosi codziennie obszernie z tej rozprawy sprawozdania i dlatego my zajmijmy się tu jedynie charakterystyką, głównego jej bohatera „ukraińskiego Azefa”, jak go nazwał warszawski dygnitarz, Romana Baranowskiego.

Roman Baranowski, młody bo 29 letni mężczyzna, bujną ma za sobą przeszłość. — Wcześniej, bo przed ośmiu laty staje się bojowcem, przechodzi szkołę bezwzględnej, podziemnej organizacji a potem szkołę, która zaważy na jego późniejszym życiu, szkołę 3 letniego więzienia. — Wyszedłszy z więzienia stara się żyć i używać, a kiedy organizacja nie daje mu na to pieniędzy, przechodzi na służbę policji. — Dostaje 200 złotych miesięcznie i pracuje dla policji, będąc równocześnie dygnitarzem O. U. N.

Jedno drugiemu nie przeszkadza. Baranowski pracuje na obie strony i obie strony zadawała.

— Przed policją sypie O. U. N. a przed organizacją policję. — Kom. Czechowski wierzy

konfidentowi i daje mu pieniądze. — Cóż dziwnego? Policja potrzebuje konfidentów, choć wie z jakich się ludzi rekrutują i konfident bezkarnie proponuje policji współdziałanie w zgładzeniu ludzi mu niewygodnych. — Na szczęście trafia Baranowski na człowieka który nie pozwala na zgładzenie Fedusiewiczówny i tylko go „wyśmiewa”.

Dla zwykłego śmiertelnika rzecz wprost fantastyczna, żeby ktoś proponował wysokie mu dygnitarzowi służby bezpieczeństwa zgładzenie kogoś. — Żeby śmiać. — A jednak — jak się okazuje wszystko jest możliwe.

Ten sam Baranowski sprytny prowokator równocześnie niewygodnych sobie ludzi stawia przed trybunał rewolucyjny w Pradze i denuncjuje ich policji. Jednocześnie organizuje zamach na Targi Wsch. i donosi o tych przygotowaniach policji, nie wymieniając naturalnie siebie. Człowiek imponujący wprost swoją bezwzględną odwagą w przyznaniu się publicznem do rzeczy, na myśl o których normalnego człowieka bierze obrzydzenie. Oto wódz O. U. N. Ale to wszystko było do przewidzenia. — Na Motyków i Baranowskich pracowały przez długie lata całe pokolenia ruskie. Wszak Baranowski, jako dziecko był światkiem apoteozowania Sicińskiego i byli późniejszych jego następców, a swoich kolegów. — I nic dzisiaj nie pomogło odżegnywanie się od niego O. U. N. bo ono w zdrowej opinii publicznej leży na cztery łopatki razem z nim, już teraz — przed wyrokiem. —

Ale czy tylko O. U. N.? — Czyżby zakres odpowiedzialności za to wszystko, co się stało zamykał się w tak ciasnym stosunkowo kółku. — Wszak O. U. N. wychowuje dopiero młodzież, a dzieci — całe społeczeństwo ruskie. —

Ono też dlatego jest współodpowiedzialne przed historią za Baranowskich, za Motyków i Hnatowów i tylu — tylu innych.

F. T.



Deformacja obyczajów.

W pierwszym po 5-miesięcznej przerwie numerze „Życia świadomego” z 10. września br. nieperjodycznego dodatku „Wiadomości Literackich”, ukazała się zapowiedź ożywienia i rozszerzenia działalności Ligi Reformy Obyczajów na jesieni br. Po wstępnym okresie przygotowawczym (zatwierdzenie statutu, ukonstytuowanie zarządu) gotuje się Liga do podjęcia szerokiej akcji propagandowej wśród proletariatu i wśród młodzieży, tworząc sekcję organizacyjną i oświatową, skupiając swą uwagę na dwu zwłaszcza dziedzinach: regulacji urodzeń metodą neomaltuzjańska i wychowania dziecka w duchu lindseyowskim. Jedną z działaczek Ligi nawołuje do umasowienia ruchu przez wciągnięcie doń robotników, tudzież odnowienia składu członków przez wpisywanie młodzieży już od lat 18. Oznacza to tendencję do nadania robocie cech klasowych i popieranie w niej pайдokracji.

Ojcem duchowym Ligi jest Boy; ona ma ukoronować dzieło jego życia i zrealizować bodaj częściowo program „uproszczenia” obyczajów i ich „odnowienia” w duchu postępu, o jaki współtwórca „Zielonego Balonika” bojuje lat niemal 30. Pseudonim Żeleńskiego jest sztandarem Ligi, a sama jego w niej obecność ma być gwarancją bezkompromisowości i wojowniczości Ligi, która nawet przed jaskrawą agitacją się nie cofnie i najmniej wybrednym środkiem w walce ze „stugłowym świętoszkiem” nie wzgardzi.

Niestety, w obozie przeciwników Boya jeszcze nie brak naiwnych pocziwców, którym wciąż się zdaje, że robimy z igły — widły, demaskując prawdziwe tendencje autora „Piekła kobiet”. Ot świeżo, w jednym z czasopism kościelnych wyraził się pewien stary filolog (człowiek zresztą najuczciwszy) że „figli Boya nikt poza garstką historyczek nie bierze serio, a wszyscy bawią się niemi” i że „jego kultura umysłowa nie pozwoli mu zejść na manowce świadomego deprawatora”. Ej, chciałoby się zawołać w odpowiedzi: przestańcie duże dzieci, bo się źle bawicie, wy się śmiejecie, nam chodzi o życie! I to nie tylko o życie nienarodzonych, których zjawieniu boyownicy radziby zapobiec w jakikolwiek sposób, ale i o życie żywych, moralne i obyczajowe, w samych swych fundamentach zagrożone i podminowane.

Poradnie świadomego macierzyństwa i akcja Ligi Reformy Obyczajów zmierzają do tego samego: do rozbrojenia moralnego narodu, przez odrzucenie etyki religijnej i światopoglądu chrześcijańskiego, przez osłabienie rodziny ustawodawstwem, ułatwiającem rozwody i przez zabicie wstydu, który w sprawach płciowych różni nas od zwierząt. W praktyce zbliża to do wyniszczenia rasy przez legalizację rozpusty bezpłodnej, rozbijanie lekomyślnych stad, wyszydzanie dziewictwa i wstrzymanie płciowości płciowej, obronę wiarołomstwa i rehabilitowanie prostytucji, psucie młodzieży, sankcjonowanie zbrodni, tudzież nieograniczoną wolność dzieciobójstw i poronień. Ta wywrotowa robota, jakkolwiek znajduje się dopiero w zawiązkach, przyniosła już zgubne owoce. Jako skutek nie poczytalnej agitacji boyowników i boyszewickich praktyk, mamy do zanotowania gwałtowny spadek urodzeń i liczby zawartych małżeństw, która w 1932 r. zmalała o 30 tysięcy, gdy cyfra urodzeń skurczyła się o 83 tys. Przyrost ludności u nas, którego wskaźnik wynosił w 1925 r. 18, spadł obecnie do 10. Stolica, teren pracy „apostolskiej” Boya, zaczyna powoli wymierać, t. zn. ilość żywych urodzeń w I kwartale br. była już o przeszło 800 mniejsza od liczby zgonów.

Więc to nie są wcale „strachy na lachy”, ani żadne akademickie dyskusje, gdy się zupełnie otwarcie sygnalizuje niebezpieczeństwo podkopania siły wydajnej i ekspansji ludnościowej społeczeństwa polskiego, gdy się bije na alarm wobec widma zatrucia zbiorowej duszy narodu, który stoi i upada obyczajami. Już nawet ludzie niewierzący przychodzą do opamiętania i konstatują (Irzykowski)

wielką „deprecjację dziewictwa” pod wpływem cynicznych pism Boya. Już nawet postronni obserwatorzy stwierdzają rozwydrzenie życia towarzyskiego, jakie jest prostym następstwem odrzucenia wszelkich hamulców wstydu i przyzwoitości i zastąpienia ich swawolą obyczajów nawpół lupanarową.

Sekunduje Boyowi cała, rosnąca grupa pisarzy różnego autoramentu, która bądź w książkach, bądź na gościnnych łamach „Wiadomości Literackich” jawnie proklamuje nawrót do pogańskich poglądów na życie i na stosunek płci i gorąco przyklaskuje hasłu „zdrowej” zmysłowości, Kogo tu widzimy? Krzywicką, Melcer-Sztekkerową, Nalkowską, Pawlikowską-Jasnorzewską, z mężczyzn zaś Kadena-Bandrowskiego, Grubińskiego, Dołęgę-Mostowicza, Rymkiewicza, Hulkę-Laskowskiego, Zbigniewa Grabowskiego i in. Większość niestety stanowią niewątpliwi aryjczycy. A za kulisami różni Rubinrauty zacierają ręce z uciechy...

Na pytanie, jakie jest credo tych ludzi, odpowiedź wypadnie: materializm, sensualizm i optymizm. Dusza dla nich to nerwy i mózg; człowiek to najdoskonalsza maszyna; samoderodna materia to podstawa i przyczyna wszystkich zjawisk na świecie. Cała ich wiedza oparta na wrażeniach i spostrzeżeniach zmysłowych, wszelkie poznanie i wszelki byt wyłącznie zmysłowe. Natura ludzka i wszystko, czego ona się domaga, jest dobre; niemoralnem nazwiemy to jedynie, co nienaturalne i z naturą sprzeczne. Jednostki nie należy od-

rywać od świata zwierzęcego, do którego człowiek przynależy i którego jest częścią. Więc nie w górę, ponad naturę, ale do niej nadół i z powrotem. Jakiegokolwiek skrupuły moralne to przesąd, urojenie, względnie zwyrodnienie.

Z takich założeń wychodzi boyszewizm i jest po swojemu konsekwentny. Ale i my musimy być konsekwentni, przeciwstawiając mu: idealizm, intelektualizm i pesymizm. Wierzymy w duchową istotę świata i niematerialnego jego Stwórcę, uznajemy rozum za źródło prawa naturalnego i prawdy, wiemy, że człowiek jest z przyrodzenia zły i do upadku zawsze skłonny, dlatego jest zgodne z jego naturą — przewyciężyć naturę i to będzie właśnie warunkiem postępu moralnego.

Jeśli boyszewicy głoszą za Russellem szkodliwość cnotliwych ludzi, to my, nacjonaliści, ich samych, boyszewików, piętnujemy jako szkodników psychy narodowej, jako dewastatorów winnic moralności narodowej, jako obcą agenturę na usługach wrogów polskości i katolickości, którym rozkład rodziny i rozprężenie obyczajów w Polsce są właśnie bardzo pożądane.

W interesie dobra Narodu, jego całości, zdrowia i pomyślnego rozwoju, należy zatem deformacji obyczajów, szerzonej przez boyowników, stawić opór śmiały, twardy, konsekwentny. Do uświadamiania w tym duchu wzywamy wszystkich, którym przyszłość Rzpltej leży na sercu i którzy wraz z nami mają pełne i wysokie poczucie odpowiedzialności moralnej, społecznej i obywatelskiej

CZESŁAW LECHICKI

Sztuki plastyczne a człowiek dzisiejszy.

Zdaje się, że nic nowego ani szczególnego nie znalazłem, gdy stwierdzę, że dzisiejszy człowiek żyje tak, że nie potrzebuje, nie czuje ani nie rozumie sztuk plastycznych. Wiemy o tem wszyscy.

Minęły zda się czasy, że jakietakie dziecko, młody człowiek lub dziewczątka z zapalem gromadziło reprodukcje dzieł wówczas znanych lub uznanych mistrzów, zachwycało się cyklami „Lituanji” lub „Wojny” grottgerowskiej — pasło oczy i krzepiło ducha obrazami historycznymi Matejki, Gersona lub Siemiradzkiego i na nich budowało swój pogląd na sztuki plastyczne, który jeszcze do dziś drzemie w ludziach należących do starszej generacji, która dziś nie jest w stanie niejednokrotnie zrozumieć prądów nowoczesnych i usiłowań młodej generacji artystów i nieartystów, pragnących różnymi sposobami zdobyć nowe formy plastycznego wypowiedzenia się.

Dziś — jakżeż inaczej. Młodzi sztuki pięknych nie zna i nie rozumie. Ideale Matejkiowskie lub Grottgerowskie zda się są przetrzaskiem należącym do przeszłości i historii. Mało dziś ludzi zapatrzonych w świetlaną i piękną przeszłość — bo poco? Wszak niepodległość odzyskana, formy ustroju państwowego inne — każdy poszczególny obywatel zgóry predestynowany na bohatera świadom, że swoje posłannictwo spełni nie gorzej od historycznych bohaterów narodowych.

Aby więc swoją rolę spełnić, w myśl dewizy „w zdrowym ciele zdrowy duch” należy do klubu piłki nożnej, bokserkiego itd. Zna się doskonale na prawidłach wszystkich gier ruchowych, zna wszystkich rekordzistów lekkiej atletyki, wie który bramkarz jest dobry a który do niczego wie, który sędzia „kalosz”, wyliczy wszystkie typy i ich charakterystyczne cechy aut czy motocykli. Aż podziw bierze. Tylko... tylko dla sztuki nie ma zainteresowania, sztuka go nie bierze ani jej nie rozumie. Są i wyjątki — nie przeczę.

Jasne, że jaka młodzież, takie przyszłe społeczeństwo — więc horoskopy nie wesołe.

Sam spotkałem się ze zdaniem, że estetyka jako nauka jest czemś nieistotnym, niepotrzebnym. Czytałem, że co kiedyś uchodziło (błędnie — zdaniem głoszącego te hasła) za dobre, lub dzieło sztuki, należy zniszczyć —

bo dzisiejsze poglądy wykazały, że tak nie jest. Akademje przebudować na koszary lub szpitale, a profesorów utuczyć rodzynkami i zamknąć w klatce.

A co robi sztuka?

Gubi się w jakichś zawilich dociekaniach filozoficznych i doktrynerskich odkryciach, poczynionych przez coraz to nowych genialnych wynalazców i eksperymentatorów. Artykuły na temat sztuki przepełnione zawilami rozprawami teoretycznymi. Oczywiście — odkrytymi nowo, właśnie teraz i to przez danego autora. Dałby się zato autor porąbać względnie porąbałby zato każdego, kto odważyłby się temu co on twierdzi zaprzeczyć, lub powiedzieć, że coś takiego już dawno było...

Polemika za polemiką — walka na słowa — gorsza jak na noże, podstępna, przecząca wartości zdania przeciwnika i zgóry przesadzająca, że dany przeciwnik jest głupcem. To w literaturze dotyczącej sztuk plastycznych. Co zatem w „Salonach”?

Widzimy całe setki płócien pokrytych jakimś dla przeciętnego człowieka, laika niezrozumiałymi formami, jakimś liniami, kleksami, jakimś deformacjami i eksperymentami kolorystycznymi.

Są to rzeczy zgola niezrozumiałe dla ogółu nieprzygotowanego teoretycznie do tych zagadnień, a zatem zniechęcające się do oglądania, a tem więcej nabywania rzeczy których nie rozumie i którym niedowierza i wskutek tego zlekka pokpiwającego z tej „nowoczesnej” sztuki, mimo że jest ona wytworem pewnej pracy, żmudnych poszukiwań i nieraz szczerzego talentu.

Byłem na wystawie P. W. K. w Poznaniu. Między salami reprezentującymi różne kierunki w sztuce, była tam jedna z sal, w której zamieszczono eksponaty kubistyczne itp. Widziałem, że każdy z wchodzących obejmując jednym rzutem oka salę... cofał się od progu, tak że sam jeden tkwiłem w sali — i czułem, że wywołuje to pewne zdziwienie u ludzi... warjat czy co?! I tak jest zawsze, że wystawy formistów, futurystów i in. nie cieszą się frekwencją poza gronem wystawców, ich rodzin, oraz przedstawicieli krytyki (ale zrzadka) i obsługi wystawy. O sprzedaży — szkoda mówić!

Czyby dla dobra samej sztuki nie było lepiej poszukać takiej drogi, by sztuka jako taka dotarła jednak do społeczeństwa, i była traktowana jako **potrzeba**?

Jakżeż — można żądać od ludzi nieprzygotowanych fachowo — jacy stanowią ogół — zainteresowania rzeczami, których nie rozumiają? Czy jest celowo wystawienie w „Salonach”, czy wystawach rzeczy, które mają tylko znaczenie i wartość (o ile mają) dla malarzy samych? I czy można żądać od młodzieży, aby się tą sztuką interesowała, skoro ją ona nie bierze?

Myślę, że jest na to rada.

Dajmy rzeczywiście skończone dzieła, oparte na zdobyciach nowoczesnych, takie któreby przemówiły do duszy każdego inteligentnego człowieka. Dajmy rzeczy oparte na szczerzej twórczości płynącej z duszy, z serca tworzącego — a nie odarte z wszelkich porównań i cech piękna, rzeczy suche, teoretycznie wyrozumowane, jakieś fragmenty zagadnień obchodzących tylko samego rzeźbiarza czy malarza i jego tylko dotyczące. Rzeczy które są tylko jakąś drobną kruszyną lub cegiełką nowoczesną w fundamencie gigantycznego gmachu Sztuki, budowanym od zarania ludzkości. Trzeba wyjść z założenia, że sztuka nie należy do wybrańców, ale do ogółu. Trzeba aby kapłani sztuki taką sztukę sami wyznawali i tworzyli i wtedy tylko występowali z dziełami, o ile rzeczywiście mają coś do pokazania. Eksperymenty zostawmy w pracowni.

Wtedy, sądzę — posłannicy sztuki wypełnią swoje zadanie a między publicznością a twórcami dojdzie do porozumienia. Jestem bowiem zdania, że rzetelne dzieło sztuki niezależnie od tego czy jest oparte o nowe formy w sztuce czy nie, będzie zawsze zrozumiane i może liczyć na uznanie.

GOŚCISŁAW.

Z teki aforyzmów.

Genjalne błędy przynoszą ludzkości więcej korzyści, niż banalne prawdy.

*

Uwaga dla mizantropów: tylko ten, kto kochał kiedyś ludzi, ma prawo ich nienawidzić

*

Kobieta, która zbyt długo szuka męża, podobna jest do astronoma, który tak długo szuka gwiazdy na niebie, aż mu o świecie ucieknie.

*

Neutralność jest czemś gorszym od samego zła; jest biernym łożyskiem, przez które płynie bez przeszkód cała rzeka zła.

*

Starość pociesza się daniem rad dobrych, nie mogąc już dawać złych — przykładów.

BEZET.

Kronika tygodniowa.

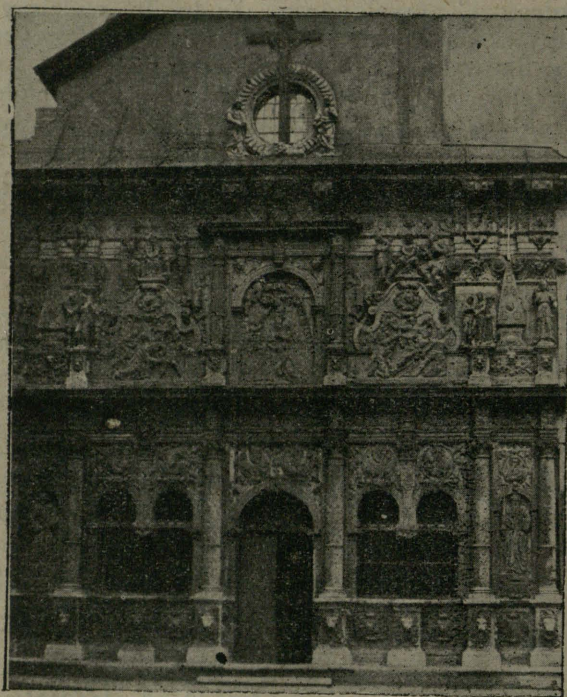
Moja kronika „na wesoło” nie cieszy się łaską pańską. Czytelnicy może ją i lubią, ale tylko ci, którzy płacą prenumeratę. Inni, ci z czerwonym ołówkiem, nie. Wesołość wzięła w Polsce w łeb a przeto i kronika w tym sensie napisana musi iść pod nóż, zwłaszcza jeśli się tam zapląta jedno niebaczone słowo: Z Y D.

Kiedy tak, zrywam z wesołością. Stop. Robię minę srogą i zaczynam pisać „naponuro”. Tak może pójść przedziej. Tam, gdzie mi wypadnie użyć wyrazu zabronionego, zaczynam chrząkać a znaczyć to będę przez: hm, hm!

O mordzie w Brzozowie, o sądach, o śledztwach i kryminałach nie będę pisał. Poco? Każdy ma w życiu tyle własnego kryminału, że opisywanie i przypominanie innych uważam też za kryminał. To tak, jakby kto opowiadał plastycznie głodnemu o uczuciu głodu, przez co tamten dostaje głodowej wściekliwości.

I jeszcze jedno. Chcę pisać bez intencji i bez aluzji. Poco mi szukać guza? Ostat-

Był to olbrzym XIX wieku, fizyczny i moralny. o żelaznej ręce i żelaznej woli, człowiek namiętności wielkich, — dumny, ambitny — lecz o zimnej jak lód duszy! To też pod pióro ciśnie się pytanie, czy w tej spiżowej piersi, twardej i bezlitosnej — jak kamień grobowy, zadrgało kiedy serce cieplejsze, rzewniejszego uczuciem? Czy umysł niepospolity w orlich polotach, umiał czasami złożyć skrzydła rozpięte szeroko, czy jak znudzony ptak szukał spoczynku, — schyloną głowę składając na drogiem ramieniu kobiecem?



Lwów — kaplica Boimów.

Jednakże faktem jest, że Bismarck, jak i wszyscy wielcy ludzie, dochodził sławy i zaszczytów — po trenach sukien damskich, po miękkich kobiercach buduarów. Lecz dusza młodego lejtnanta była z żelaza, jak przystało na przyszłego księcia; rzucał słowa miękkie i czułe, które padały — pewno, jak kule i granaty przy ostrzeliwaniu fortecy.

O żadnej szlachetniejszej, idealniejszej miłości grafa Ottona, nikt nie wspomina, za to kursuje pełno anegdot brutalnych, nie przynoszących zaszczytu jego inteligencji, lecz które zjednały mu przydomek szalonego: „der tolle Junker”.

W tych czasach to, około 1840 r. objął w posiadanie majątek rodzinny Kniephof. Powiadają, iż ciotka Bismarka generała von Kessel w przejeździe z dorosłymi córkami, odwiedziła kawalerską siedzibę siostrzeńca.

Kobiety w życiu Bismarcka.

Otóż gdy panie te siedziały po śniadaniu w salonie, młody kuzyn Otto czwórka kasztanowych trabantów wjechał do salonu. Konie przestraszone rzucać się poczęły, tłukąc lustra, szyby, trącając kanapy i fotele. Ciotka i kuzynki bez duszy prawie, powyłaziły na szafy i bibliotekę — z obawy, lecz nie z admiracji, konceptu młodego kuzyna.

Innym razem mając u siebie oficera gwardji, człowieka z wysokiej arystokracji niemieckiej, spoił go winem u siebie w chwili, gdy obaj razem udać się mieli w sąsiedztwo na wielki proszony obiad. Młody oficer prawie bezprzytomny, — po różnych libacjach na cześć Bachusa, bez sił prawie w toalecie najokropniej zeszpeconej — znalazł się naraz w jasno oświetlonej sali, wśród dam wytwornie ubranych i panów we frakach.

Jeden tylko rys czulszy podkreślić warto z czasów hajdamackich Bismarka — a to, serdeczne uczucie dla siostry młodszej, Malwiny. Liczne pozostały podobno listy w rodzinie z długiej korespondencji prowadzonej między nimi; dzieli on się z siostrą wszelkimi wrażeniami, kłopotami, a najczulsze zwroty i tytuły, jakie sobie wzajemnie przesyłają, mówią dobitnie o serdecznym uczuciu, jakie ich łączyło. To też gdy siostra — poznawszy hr. Arnima, oddała mu serce, a potem rękę, — Bismark uważał się w uczuciach brata pokrzywdzonym, robi siostrze wymówki, zarzuca egoizm, pragnienie własnego szczęścia, — kosztem jego opuszczenia i samotności.

Wreszcie i na niego czas przyszedł ustalenia się i założenia domowego ogniska; różne propozycje matrymonjalne odrzucał z właściwą sobie szorstkością — przypinając złośliwe epitety, ośmieszające owe zlekceważone damy. Wszakże raz na ślubie przyjaciela swego w r. 1846 — poznał druhnę pannę młodą, piękną Johannę Puttkamer i jakieś uczucie cieplejsze owionęło pierś tę stalową. Myślał o niej długo, nie mówiąc nikomu i słowa, aż w rok potem spotkał ją latem na wycieczce w górach Harzu i wśród szumiących lasów jodłowych, wynurzył jej swoje uczucia.

Podobno otrzymawszy słowo panny i przyzwolenie rodziców, którzy początkowo wahali się „szalonemu Junkrowi” losy córki powierzyć, doniósł ukochanej siostrze wiadomość o szczęściu swoim i stanowczym kroku w życiu w dwóch słowach: „All right”. I zdaje się, że temu przyjaznemu uczuciu, pierwszemu w życiu, wiernym pozostał do śmierci. Księżna Bismarkowa, wychowana w zasadach starogermańskich, była skromną, cichą, oddaną pracy i pobożności, łagodną i spokojną

nio ścięła mnie cenzura zgóry nadół, przez co miałem wiele nieprzyjemności w redakcji a nasi czytelnicy otrzymali niezapisaną bibułę. Więc...

Donoszą z Warszawy, że odbyło się tam zebranie rabinatu, na którym postanowiono przy pierwszych modłach z okazji Nowego Roku i Sądneho Dnia przeprowadzić doniosły akt. W myśl tego nad ranem Sądneho Dnia zapłonęły w synagogach i bożnicach warszawskich czarne świece, przy których rabini rzucili strasliwą klątwę „cherem” na tych wszystkich kupców żydowskich, którzy handlują lub handlować będą towarami niemieckimi, lub będą przeprowadzać z Niemcami jakiejkolwiek transakcje...

Biedny Hitler! ten się dowojował. Przekleństwo na jego oczy, „cherem” na towary jego ojczyzny! Nosił wilk, ponieśli wilka! Bo co za skutki z warszawskiego aktu wynikną? Proszę: niemieckie futra w Lipsku mole zjedzą gdyż pod grozą „cheremu” nie wolno żadnemu bogobojnemu hm, hm, żydowi sprowadzać ich ani drogą prawą, ani drogą lewą, np. przez zieloną granicę. Chemikalja, maszynierja, tekstylja, z drobniejszych: zapalniczki, kamyczki, sacharyna, aspiryna — wszystko to djabli wezmą z powodu „cherem”. Dalsze skutki będą

niemniej żalosne: zacznie się dusić piękny Adolf, dusić się będzie przemysł, handel, ministerstwa jedno po drugim, aż na Germanję strach padnie obłędny. Na granicy zaś nastanie cisza i spokój. Straż graniczna polska dostanie bezterminowy urlop. Co drugi pójdzie na emeryturę, Nasz Skarb oszczędzi na tem sporo grosiwa i użyje go z pożytkiem na remunerację dla urzędników ambasad, obsadzonych przeważnie przez hm, hm — swoich. I wszystko dobrze będzie przez jeden jedyny akt warszawskich rabiniów.

W akcie tym jest wszakże jedna „zielona granica”. Mianowicie nasuwa się pytanie, czy „cheremem” są objęte także te towary niemieckie których wytwórcami, grosistami, składownikami są niemieccy żydzi, bojkotowani zresztą i tak przez hitlerowskie Niemcy? Bo jeśli nie — nie udzielałbym jednak urlopów straży granicznej. Sicher ist sicher!

Zdawałoby się, że zwinięcie kilkudziesięciu katedr na polskich uniwersytetach odczuje inteligentne społeczeństwo dość boleśnie. Ale gdzie tam! Przed kilku dniami napisał do „Kurjera Porannego” jeden osobnik, podpisujący się jako inż. A. T., że on sam jest za zniesieniem jeszcze więcej katedr. — Zniósłby więc ów mędrzec przezacny wydział

usposobieniem, opanowywała burzliwy — szamoczący się wiecznie temperament męża. Sam ks. Bismark, wspomina o dodatnim wpływie żony, jaki wywierała na jego usposobienie: „Nie uwierzycie, co ta kobieta ze mnie zrobiła” — pisał do swoich znajomych. Gdzie tylko go później wydarzenia polityczne rzucały, wszędzie i zawsze zwraca się do żony — najtkliwszymi słowami.

Z Bordeaux przysłała jej ulubione kwiaty leśnych wrzosów. Z Peterhofu — jaśminu; — w Gasteinie sam ze szczytów gór przynosił jej własnoręcznie zerwany kwiat szarotki.

Później, jako człowiek wielkich stosunków politycznych i znaczenia, — bywa wszędzie witany i otaczany, jako przyjaciel i doradca cesarza Wilhelma I, — lecz gdzie tylko okoliczności łączyły go z pięknymi kobietami, tam pamięć o żonie umiała zwyciężyć najsilniejsze pokusy.

Wielbił głośno piękność i elegancję cesarzowej Eugenji. Podziwiał śmiech wesoły i dowcip cesarzowej matki Charlotty w Peterhofie — lecz uwaga jego dłużej nie zatrzymała się nigdzie. Raz tylko zdaje się pokusa była silniejsza nad wszystko. W roku 1867 zjechał w towarzystwie Wilhelma I, słynną wystawę w Paryżu. Jako minister, zaproszony został w asystencji cesarza na bal wielki w Tuilliers. Tam to wśród zbytku i przepychu ówczesnego we Francji, ujrzał damę dworu cesarzowej Eugenji, M-e Carotte, najpiękniejszą osobę i niepospolitego wdzięku kobietę; poprosił ją do walca, tańczył długo, zapamiętał i odprowadziwszy wkońcu na miejsce, stanął i patrzył długo — wreszcie wyjąwszy białą różę z butonierki munduru — oddał ją pięknej tancerce z temi słowami: „Voici cette fleur — uu souvenir de ma dernière valse, que je n'oublierai jamais”. Od tego czasu rzeczywiście ks. Bismark przestał tańczyć zupełnie.

Lecz biała róża snąc odegrać miała w życiu Bismarcka ważną rolę — gdyż w lat wiele potem, straciwszy ukochaną żonę, dobrą matkę swych dzieci — złamany straszny ciosem, gdy w dniu pogrzebu zapuszczono wieko trumny nad bladym czołem księżnej Joanny, zdjął wielki kanclerz z jej kolan różę białą i przyłożywszy do zroszonej łzami twarzy, prosił dzieci, by po jego śmierci — białą tę różę włożono mu do trumny. Dzieci prośbę ojca spełniły. Róża biała spoczęła na martwej piersi Bismarcka — lecz listki pośółki opadły z niej dawno, jak chwile jasne szczęścia; do grobu włożono tylko ciernie.

ZOFJA A.



ły weterynarii w Warszawie i Lwowie, wydziały rolnicze, leśne, architektury, chemii, — wszelkie egzotyczne katedry muzyki i śpiewu, a nawet medycyny. To wszystko dla onego pana inż. A. T. zbędne, niepotrzebne. Należy się domyslać, o czym jednak ów jegomość nie wspomina, że dla niego oświadczenie byłoby najmielsze kreowanie w miejsce tamtych, nowej zastępczej katedry: koryta, gdzieby on sam mógł zostać rektorem.

Zato szkolnictwo średnie nie przeżywa żadnych wstrząsów. Chłopczyśka podostawały numerki na rękawach tak jak ekspresi na czapach i ważny problem przynależności do zakładu został gładko rozwiązany. Bo w szkolnictwie grunt numerki. Jak mnie zapewniał jeden z moich przyjaciół, dostaną numerki niebawem także profesorowie i nauczyciele a będą je nosić w klapach marynarki.

Fundusz drogowy odetchnął nareszcie. Odetchnęły też samorządy i gminy, gdyż kwestja naprawy dróg została szczęśliwie rozwiązana. Oto w Warszawie zawiązała się świeża „Liga Drogowa”, mająca na celu naprawę dróg, budowę mostów, propagandę wśród ludności wiejskiej w kierunku uświadamiania mas o pożyteczności dobrych dróg i zachętę, by drogi więcej szanowano. Konie mają być ina-

W r. 1648 umarł Władysław IV., a jego miejsce zajął Jan Kazimierz, który był dawniej jezuitą, a następnie kardynałem.

Obecnie pojął po bracie wdowę. — Król Jan objął rządy w chwili dla państwa nader groźnej. Płomień krwawej wojny, która wkrótce objąć miała wszystkie zakątki Rzeczypospolitej, szerzyła się już gwałtownie na wschodnich granicach kraju.

Nie wielu wówczas przeczuwało skutki haniebnej klęski pod Piławcami 1648. Nie magnaci też, nie szlachta, ale pierwszy opór lawinie stawiał Lwów.

Na wieść o klęsce kobiety we Lwowie składały na rzecz obrony całe majątki (Katarzyna Słoniowska), kościoły i klasztory oddały wota, złoto i srebro.

Poświęcono i spalono przedmieścia, żydów nie wydano. — Szturmy kozacko-tatarskie odparło mieszczaństwo pod wodzą rajcy miejskiego Grozwyera.

Zapewne też i Jan Kazimierz, wprawdzie rycerski i ojczyznę miłujący szczerze, ale płochy, ekscentryczny i niezmiennie rozrzutny, niebezpieczeństwo lekceważył; zamiast bowiem nie szczędzić grosza na armaty, marnotrawił go na swą kapelę. Jakkolwiek po Władysławie IV. wziął świetnie zorganizowaną i dobrze wyćwiczoną, Jan Kazimierz znacznie ją jeszcze wzmocnił siłami nowymi; żeby zaś przywiązać ją do siebie, płacił artystom pensję, niepraktykowaną w całej Europie. Podczas gdy za Zygmunta Augusta, Batoriego i Zygmunta III., najlepsi członkowie kapeli brali najwyżej po 300 flor. płacy rocznej — prócz dykt, w kapeli Jana Kazimierza wicedyrektor Pękel pobierał flor. 3.000, pierwszy sopranista, Baltazar Ferri — 1.400, pierwszy altista Kacper Forster — 1.600, a drugi, Brancarini — 1.200; pierwszy tenor Bazilio Laurentowicz — 1.800, pierwszy basista, ks. Theodato — 1.200, pierwszy skrzypek Albertrandi — 1.440, wiolista, Piotr Elert — 1.000.

Również i reszta artystów brała duże pensje, jak n. p. sopranisci: Antonio Pancrati — 1.440, tenor ks. Valensa — 1.200, basista Paradisi — 1.000 i t. d.

To też kiedy za Zygmunta III. cała orkiestra, cywilna i wojskowa nadworna, kosztowała przeciętnie rocznie flor. 14.732, za Jana Kazimierza sama cywilna dworska, kosztowała flor. 38.602 — (w wojskowej było aż 19 „trebaczów”). — Czasami nawet kosztowała więcej (w 1651 roku — flor. 39.651), zależnie od ilości i wysokości gratyfikacji, oraz płac dodatkowych za naukę chłopców, przygotowanych do kapeli królewskiej. Dodatki te wynosiły nieraz kwoty śmiesznie wysokie. Tak np. Albertrandiemu skrzypkowi „na potrzeby dla chłopiat” wypłacono w 1651 r. 720 flor., a za naukę owych „chłopiat” — 1.008 flor.; trebaczowi Baderowj za naukę chłopca — flor. 360.

Muzyka i teatr od czasów Jana Kazimierza do Sobieskiego.

W roku 1651, król na kolendę swej kapeli wyznaczył flor. 300, sopraniscie i basiscie gratyfikacji po 600 flor. Gdy król był w Gdańsku, nietylko artystom wybitnym dawał znaczne sumy, ale nawet „skóczkom”, co po linie skakali” dał flor. 300.

Ale przewoźnikom co przez wzburzone fale Wisły przewozili łodzią, ofiarował tylko 3 flor. I tak naiwnie dawał się Jan Kazimierz naciągać, na każdym kroku. Gdy np. dawni królowie dawali na koszty pogrzebu zwykle po jednym lub kilka florenów i to zaspakajało potrzeby, to Janowi Kazimierzowi za pogrzeb Wardyńskiego policzył dyrektor kapeli florenów — 350!!!

Kasę królewską obciążały długi i zaległe pensje, wynoszące tysiące florenów, nie tylko muzyków ale np. aptekarzy, cyrulików i t. d.

Przy tak nieogrodzonej gospodarce finansowej świetna kapela królewska długo istnieć nie mogła i rozprószyła się po świecie. (C. d. n.)

WŁODZIMIERZ BRYLA.

Apel

Puszczamy w świat trzeci z rzędu numer. Trwamy niezłomnie na posterunku idei, jaka nam od początku przyświecała Pracujemy bezinteresownie. Znikąd wsparcia, znikąd funduszu. Jesteśmy sami, zdani na własne jeno siły.

Nie apelujemy jednak o subwencję. Nie chcemy nic darmo, możemy jednak żądać od własnego społeczeństwa, by nas czytano, kupowano, rozpowszechniano. Nie zwracamy się do tych, którym nasze intencje obce. Tych zostawiamy w spokoju, nic od nich nie żądając.

Apelujemy jednak do naszych stałych Czytelników. Tych stanowczo obligujemy, by nie zalegali z prenumeratą. Decydują złote, grosze, każdy szeląg stanowi o naszej sile, o wytrwaniu. Na 70 groszy miesięcznie stać najbardziej, trzeba tylko nieco dobrej woli i zrozumienia. Poza szarym, codziennym obowiązkiem — istnieje też obowiązek społeczny i na ten cel nie powinno zabraknąć tego znikomego wydatku.

Do niniejszego numeru dołączamy czek, z prośbą o wpłatę prenumeraty.

Dwa razy daje — kto szybko daje.

ADMINISTRACJA.

czej kute, niż dotychczas i dostaną prawdopodobnie podkowy gumowe w miejsce przestarzałych z żelaza. Poza tem Liga ma się zająć specjalnem szkoleniem robotników drogowych, urządzeniem odczytów, uliczną zbiórka na ten cel itp. W miastach prowincjonalnych będą funkcjonowały z ramienia Ligi — komitety, z komisarzami drogowymi na czele. Wsie dostaną drogowych sołtysów. Pomysł jak to widać pierwszoklasny i witamy go z szczerem uznaniem, bo niebawem będziemy mieć w Polsce takie drogi, wobec których zagraniczne będą wertepami.

Jak donoszą z Brukseli, aresztowano tam dwóch osobników, u których znaleziono banknot 1.000 funtowy. Bank Angielski rozpoznał ów banknot, jako ten, który pułk. Lindbergh wręczył swego czasu bandytom jako okup za swojego porwanego syna. Policja belgijska zdołała już ustalić nazwiska rabusiów cudzych dzieci. Są to Mojsze Frostig i Berek Berkowicz. Narodowości nie zdołano niestety ustalić. Ktoby coś o tem wiedział, zechce belgijską policję poinformować. Mojem zdaniem są to napewno zakonspirowani hitlorowcy, bo tylko oni mogą się zdobyć na rabunek cudzych dzieci i handel takim towarem.

Dla dyrektorów cukrowych nastał też „chejrem”. Na zjeździe gospodarczym w Katowicach uchwalono przez aklamację i wśród entuzjastycznych oklasków obciążyć im pensje następująco:

1) Dyrektorowi cukrowni „Chodorów” pensję roczną 174.000 zł. na 24.000 zł. Dotychczasowa remuneracja 103.000 zł. ma być cofnięta.

2) Dyrektor cukrowni „Przeworsk” zamiast 3.000 dolarów rocznej pensji i 100.000 zł. rocznej gratyfikacji — ma pobierać tylko połowę.

4) Dienne diety po 400 zł. mają być zredukowane do połowy.

Zachodzi pytanie, z czego ci biedni ludzie będą teraz żyć? Nemezis gospodarcza i ich wreszcie dotknęła zato, że zagranicy sprzedają swój słodki towar po 11 groszy za kilo, gdy z krajowych konsumentów łupią skórą i drą tylko. Sprawiedliwości stało się zadość.



Starohebrajska sielanka Kasprowicza

Kolejnością treściową powieści biblijnych i kolejnością mechanicznego układu w pierwodruku i w dziełach zbiorowych Kasprowicza, gdyż dla kontroli chronologii powstawania tych utworów brak sprawdzianu, po pesymistycznej krytyce szczęścia pozazmysłowego, krytyce apodyktycznie głoszącej tryumf ziemi i ciała — po tragedii walki tocznej między miłością kochanki a rozpaczą matki¹⁾, wzięty miejsce cisza, spokój i pogoda, opromienionej blaskami wschodzącego słońca sielanki biblijnej o wiosnie, swatach przeznaczeniu. Nie w pogoni za aktualnością zagadnień, nie w chęci „pogłębiania” pierwowzorów w duchu nowoczesnym, ani stawiania modnych w pozytywistycznej sztuce „tez”, — nie aby wyrymować traktat o potędze fatum, bądź filozofujący o predestynacji, czy innych tego kroju mądrościach — ale, aby wysnuć poemat beztrudny na kanwie bezławego ludowego przysłowia, kładącego pod jeden strychulec ingerencji sił wyższych w tej samej miarce śmierć i żonę — poprostu, pogodnie i uroczco zaszedł Kasprowicz na trakt dziejów o Eleazarowym poselstwie. Dwa wątki kompozycyjnej nici przewodniej skupił w trzech wierszach motto: o słońcu lata i wiosnie miłości: a chytrym podstępem, zaginającym palec pod tajemnicę przeznaczeń Bożych — by wreszcie, w obliczu urzeczywistnienia trwożnych i ślepych zakusów szczęścia — radośnie przytaknąć starej prawdzie ludowej.

Tokiem legendy biblijnej, mało zbaczając od tradycyjnych następstw w wypadkach, snuje pieśń swoją poeta. W trzech obrazach, epickim słowem, opowiada jak w swaty, wysłał sługę stary Abraham po żonę dla syna, jak swat się biedził by zaufaniu nie chybić i Bogu porucił losy wyboru dziewczyny, jak wreszcie zarządzenie Pana pomyślny dało epilog. Skoncentrował jedynie nieco — mniej niż Ujejski — bujną rozlewność pierwowzoru, drogą kompozycyjnie prostą; odrzucił ewentualność odmowy ze strony Rebeki, jakiej nie omija Biblia (Gen. XXVI. 5, 8); w sferę projektu przeniósł wręczenie daru z pierścieni i maneli, dodał myśli Eleazarowe i piosenkę dziewczycy, by zamknąć jej przyzwoleniem. Odpadła więc gościna w domu Bethuela, odpadły oświadczenia rodzicom i braciom, nie dostali Laban i matka ceny kupna dziewczyny, ani nie opisano powrotu Eleazara z oblubienicą do Izaaka.

Trafną intuicją wiedziony, uwydatnił Kasprowicz myśl przewodnią pierwowzoru, ujętą w decyzji Eleazara, aby się zdać na wskazówkę Boga w kwestji wyboru oblubienicy; trafnie też stylizuje w ogólnikach polecenie Abrahama: wybraną ma być córka rodu patriarchy, nie Chananejka, nie obca:

Nie — w kraj rodzinny idź —

Gdziem w snopy wiązał jęczmienne pokosy.

„Ale żebyś do ziemi i do rodziny mojej

jechał i stamtąd wziął żonę synowi memu Izaakowi...” „Przetoż panienka, której ja rzeke: nachyl wiadra twego, że się napije, a ona odpowie: pij i owszem i wielbłądy twoje napoję: ta jest, którąś zgłotował słudze swemu. Izaakowi”

Choć miałby za sobą przykład tradycji i w egzegezie niektórych komentatorów żydowskich i w racjonalizacji Józefa²⁾, a zarazem modę współczesną sobie, poeta przezwyciężył szczęśliwie ciążenie ku doktrynerstwu pozytywistycznemu i renowacyjnej metodzie aktualizowania Biblii, słusznie widząc urok całej biblijnej legendy w oparciu wypadków o bezpośredni wpływ przeznaczeń boskich. Nie zagrzął więc w piasek determinizmu, ani w pęta predestynacji zrezygnował tym razem z laurów rymowego popularyzatora haseł aktu-

alnej filozofji, na rzecz wdzięku i naiwności starego prymitywu przysłowia polskiego, tak sprawnie wplatającego swą treść w prymityw dawny, hebrajski.

Zrezygnował jednak niewszędzie. Nagle bowiem w ustach Abrahama znalazła sumienne wyrównanie... teoria walki o byt, poparta aktualnym, bismarckowskim „Drang nach Osten”.

Lecz nim pożegnam świat i ludzkie sprawy,
Nim rzucę gniazdo, gdzie się trud wylega.
Gdzie o kęs mój — ca z wrogiem przeboję krwawy
Życia rozprzega...

I jedno i drugie obce jest najzupełniej duchowi legendy o Rebec. Aktualizacji na tematy narodowo — polskie, przeczą wyraźnie fakty biblijne³⁾; teoria zaś walki o byt kłóci się ogromnie z postawą psychiczną starego patriarchy. Prawda, że to światopogląd leniwego Wschodu wynalazł pojęcie życia, jako udręki, a pracy jako kary; „w pocie czoła twego będziesz pożywał chleba; przeklęta będzie ziemia w dziele twoim, w pracach jeść z niej będziesz, ciernie i o ty rodzić ci będzie”; atoli cały duch powieści o Abrahamie, przeczy takiemu stanowisku w jego psychice. „Był stary i podeszły w leciech, a Pan mu we wszystkim błogosławił” — mówi wszak o nim Pismo. Do jakiego stopnia imputowanie takich myśli przeobraża tradycję, świadczy, że egzegeza hagiodyczna i idące za nią komentarze żydowskie, pojęły właśnie starość Abrahama, jako szczególne błogosławieństwo i dar łaski bożej. O nim pierwszym dopiero mówi Pismo wyraźnie, że „był stary i podeszły w leciech”; inni tylko zapisani są, że się rodzi i umierali. Stąd wywiedli wniosek rabini, że do czasów Abrahama kwitła wieczna młodość, przerywana z nagłą śmiercią⁴⁾; dopiero na jego prośby, by uczynił różnicę widomą między nim a Izaakiem, Bóg dał mu włos siwy i powagę starca. Była to szczególniejsza łaska dla oblubienicy.

Ukłon w stronę teorii walki o byt, jest w psychice Abrahamowej legendy modyfikacją dużą, modyfikacją postawy wobec życia, modyfikacją ducha przewodniego. Na tle tej zmiany przeobraził się więc cały obraz starości patriarchy:

Wszystkie mnie siły opuszczają świeże

I na starości patrzaj! głos chropawy,

Śmierć krew zamraża, wszystkie siły bierze,
Rozluźnia stawy.

Jakże tu daleko jesteśmy od biblijnego Abrahama, nie jęczącego starca, ale męża pełnego sił i życia, którego siwa broda jest nie udręką, jeno koroną życia, ozdobą, majestatem. „A Abraham był stary i podeszły w leciech, a Pan mu we wszystkim błogosławił...” Zgoła tu inny duch! W Biblii nie poczucie starości i obawa przed osamotnieniem syna, każą Abrahamowi szukać żony dla Izaaka; zresztą taka hyper — opieka i namiętnie „młodzieńcza” liczącego sobie sześćdziesiąt lat⁵⁾, byłaby nieco przesubtelniona w miłości. Poza tem i sam patriarcha nie jest jeszcze wókiem za rozluźniające się kości, ani kandydatem do trumny — chybaśmy podsumowali w jedno ową „śmierć i żonę” z motta — gdyż właśnie po ożenieniu syna i sam Abraham pojmuje jako długą żonę Keturę i nietylko że ją pojmuje, ale i dzieci z nią ma, żyjąc jeszcze spokojnie lat 39⁶⁾. Nie trzeba więc pomocy Talmudu, by stwierdzić, że ta starość nie była żadną udręką, ani ciężarem; owszem, gdy sama biblijna powieść tchnie powagą i majestatem szczęśliwej jesieni życia — Kasprowicz daje zgnębaną zgrzybiałość i bezzilę, dowiekającą z trudem swej mety.

3) Por. Gen. XXIII. 11—17.

4) Wniosek ten z Biblii przyjęła cała żydowska literatura komentarszowa. Por. Tal. bab. „Sanhedrin” 167. b. „Baba mecia” 87 a. „Pirke d'Rabbi Eliezer” III. Midrasz Tanchuma I. Midrasz Bereszit, Rabba LXV. 9. Midrasz Agadath Bereszith XXXIV i t. d.

5) Z chwilą skonu Sary ma Izaak lat 36, skoro urodził się w jej 91 roku życia, a ona umarła mając lat 127. Żony dla niego szuka Abraham dopiero po śmierci Sary.

6) Przy urodzeniu Izaaka miał Abraham lat 100, był więc o 9 lat starszy od Sary, mającej wówczas 91 lat. Skoro ona umarła w wieku 127 lat, to z chwilą jej skonu Abraham miał lat 136. A że umarł w wieku 175 lat, więc od śmierci Sary żył jeszcze 39 lat.

Rzecz jasna, nie jest to zarzut dla takiego ujęcia przedmiotu; owszem, koncepcja Kasprowicza ma wdzięk; jest to jedynie stwierdzenie odstępstwa od tradycji hebrajskiej i przerysowania jej na własną modłę.

W tę samą rubrykę zanotować można i kwestję aktualizacji narodowej. Biblia zna tylko proste słowa Abrahama, zaprzysięgającego Eleazara: „Żebyś nie brat żony synowi memu z córek chananejskich, między którymi mieszkam”⁷⁾. Jeśli o co idzie tu Abrahamowi, to o różnicę wiary i poczucie wyższości własnej, nad czcicielami bożków; wrogami nie ma powodu ich nazywać, ich, którzy po śmierci Sary tak przyjaźnie się do niego odnieśli i nie dość, że zezwolili mu na prawo pogrzebu, ale i ceny kupna za grunt nie chcieli przyjąć, mając go za swego, wbrew jego słowom, aż dopiero na jego nalegania i prośby wzięli pieniądze. Abraham biblijny przeto nie miałby prawa powiedzieć, jak Abraham kasprowiczowski:

Tylko nie szukaj tam, gdzie tchyl niezdrowe
I pełne jadu płyną z piersi wroga;
A jakież powiedz wrośnię pokolenie,
Gdy ze krwią swoją złączył płód przeklęty?
Zamiast lwem jarym, będzie jako szczenię
Ród tak poczęty.

Abraham biblijny takich kłopotów nie zna, ni to pojmuje Hagarę, ni przedtem ni potem; wszak dwukrotnie odstępował żonę Faraonowi i Abimelechowi, „aby mi było dobrze dla ciebie,” nie bacząc zgoła, że z tych związków mogło wejść w dom jego pokolenie „szczeniów”. Ostrząc słowa biblijne w duchu późniejszych pojęć żydowskich, a czyniąc z nich aluzję do stosunków polskich wobec najeźdźców — nawet i tu nie miał poeta zbytnej racji realnej; przecież wielu patriotów i wzorowych Polaków było dziećmi najeźdźców; chyba zaś o patriotyzm z gatunku mistycznej teorii „kradzionych ciał” Słowackiego — niema co Kasprowicza podejrzewać.

W jednym atoli przerysowaniu wybornie utrafił poeta i w ducha biblijnego i w pojęcie Wschodu o szczęściu: są to słowa, jakie kładzie w usta Abrahama:

Życiem i siłą dla mnie słowa Boga,
Siłą i życiem było przyrzeczenie,
Że ilość piasku nad morzem przemnoży —
Moje nasienie.

To podkreślenie. to uwydatnienie celu życia i dążeń patriarchy — wybornie utrafił w psychikę starożydowską i antyczną.

Wiele szczegółów pierwowzoru zmodyfikował zupełnie słusznie Kasprowicz w duchu pojęć europejskich i współczesnych; treści i wagi innych, zap wne nie rozumiał. Wedle prawodawstwa wschodniego, ojciec wybiera żonę synowi bez jego wiedzy; tak ustanawia Kodeks Hammurabiego i tak też postępuje Abraham, używając pośrednictwa swata, w osobie sługi i szafarza domu swego, Eleazara⁸⁾. Nasz poeta kładzie to poselstwo na karb starości i troski ze strony stojącego nad grobem ojca, o szczęście syna. W tym też duchu bez odczucia rzeczywistej treści pierwowzoru, przerymowana została przysięga Eleazara; zawarte w niej szczątki kultu Phallusa⁹⁾, znalazły wyraz o tyle, o ile ma je on pod obrazowością słów biblijnych; zresztą jaśniejsze wystawienie, choćby i autor sam zdawał sobie sprawę z istoty praktyk Eleazarowych, nie było możliwe i ze względu na poezję i dla kłótni swej z nowoczesnymi pojęciami. Tak samo i znaczenie klejnotów, jakie wiecie Eleazar, zostało pominięte, nie dlatego, by Kaspro-

7) Rzecz dziwna, że wobec tego zastrzeżenia, niektóre komentarze żydowskie (Sefer Hajaszar 49 a, b.) czynią Keturę Chananejką. Raszi i inni komentatorowie tłumaczą, iż Hagar i Ketura były to identyczne osoby, opierając się na tem, że Izaak w chwili gdy, Eleazar przywozi mu Rebeke idzie po nią do studni „żyjącego i widzącego” Gen. XXIV 62, gdzie wedle Gen. XLVI 14 osiadła Hagar, Zmianę imienia uzasadnia Raszi tem, iż była ona przywiązana do Abrahama tak, że nie wychodziła z niego po rozłączeniu się z nim, wobec czego nazwał on ją „Ketura” czyli „wonięjąca”. Por. też Aaron ben Eliasza Nikodem ezezyka „Kethet” Torah I. 59. Midrasz Bereszith Rabba LXI 4. (Hagada do Genesis) i t. d.

8) Por. Kodeks Hammurabiego §. 155, oraz Alfred Jeremias: Das Alte Testament im Lichte des Alten Orients, str. 307.

9) Jeremias, o. c. 307. Wedle Rasziego, w czasach kiedy nie było jeszcze Tory, największą świętością był znak Przymierza na ciele, zatem na znak ten składa Eleazar przysięgę.

1) Por. studja, moje, ogłoszone w Kurjerze Lwowskim: 1) „Kasprowicz a Biblija” (nr. 212 z I. VIII. 1932). 2) „Poemat o szczęściu” (nr. 215 z 4 VII. 1932 i 3) „Pozytywistyczny poemat z tezą” (nr. 226 z 15. VII. 1932).

2) Mistyczna księga „Pirke d'Rabbi Eliezer” obok znaków cudownych, (woda sama wypływa ze studni ku Rebec i wpada do jej dzbanu) zna i uzasadnienie rozumowe tego wyboru: skoro Rebeca — wnioskuję Eleazar — podała mu dzban, o trud nie dbając, więc wychowana być musi w duchu gościnności; że zaś napoiła wielbłądy, więc ma cnotę litości nad zwierzętami. Podobnie i żyd, komentator z XII. w. Raszi: Józef Flawiusz twierdzi, iż Abraham wyraźnie kazał się Eleazarowi starać o Rebeke. W mnóstwie dziewcząt koło studni, poznał ją Eleazar po tem, iż inne odmówiły mu wody, a ona jedna dała, zburczawszy przyjacielki. Patrz: Antiquitates I. 16, 1—2.

wiecz zdawał sobie sprawę, że jest to cena kupna Rebeki u rodziców¹⁰⁾ i wobec tego świadomie szczerze usuwał, jako drażniący dzisiejszy smak, ale jedynie dla celów kompozycyjnych. Wymagania też kompozycji sprawiły, że dary, ofiarowane Rebecie u studni, przeszły w formę projektu Eleazara i nie mają miejsca w wiadomej nam akcji; zresztą wzmiankę o nich przerywał poeta za tekstami tłumaczeń Biblii, nie wiedząc zapewne, że idzie tu o kolczyk do nosa i niewolnicze łańcuszki na ręce¹¹⁾.

Nieco dowolnie postąpił też Kasprowicz z geografją biblijną. Píše bowiem o Eleazarowej podróży:

W takich to myślach, pod mury Nachoru¹²⁾.
Co w Abramowej¹³⁾ ziemi spoczął biały,
Zbliży się...

Zawiniła tu niejasna stylizacja Wujka, błędne jej zrozumienie przez poetę i niedbałość o komentarze. Dwuznaczny tekst Wulgaty Hieronimowej „profectusque perrexit in Mesopotamiam ad urbem Nachor” — wyłożył Wujek: „udał się do Mezopotamji, do miasta Nachor¹³⁾, nie zaś do miasta Nachora, zatem do jego własności czy siedziby. Błąd ten u Kasprowicza jest tem dziwniejszy, że mniej odeń wykształcony i czytający teksty biblijne nie z punktu widzenia renanisty, ale wierzącego, Ujejski, nie pomieszał brata Abrahamowego z nazwą miasta i w swojej „Rebecie” napisał:

Mury Aramu białe...

Atoli tam gdzie Biblia najmniej miała do powiedzenia, t.j. w opisach przyrody, tam Kasprowicz rozwinął rymy szerokie i piękne. Niezdecydowanej porze roku, w której ma miejsce biblijne poselstwo Eleazara, przeciwstawił ulubione sobie lato¹⁴⁾, porę sianokosów, naturę jakby opłiłą błogą sennością wieczoru, gdy zmęczona upałam dnia o zachodzie dopiero czerpie ona ożywcze oddechy. Że o zachodzie spotkał Eleazar Rebeke, to przejął poeta z pierwowzoru; tylko, że ów, nie bawiąc się w opisy wieczoru, pisał skromnie: „Wieczór, o czasie którego zwykły wychodzić niewiasty czerpać wodę”.

Tak roszadzony został u Kasprowicza ogródek bujny kwiatów i drzew, woni i barw; Biblia nie zna ani pokosów zbóż, ani mięty, ani anyzów i cynamonów; nie strzelają tam palmy wśród piasków pustynnych, a już najmniej dbał jej autor o granie farb słonecznych na lustrze krynicznej wody. Zato opisał dokładnie — czem się znów Kasprowicz nie para — ile syklów złota było na pierścieniach i ile ważyły manele¹⁵⁾.

Innym duchem przepaja nasz poeta swój utwór. Ożywia postaci; miejsce suchego tonu sprawozdawczego, jaki czytamy w hebrajskim prymitywie, wzbogaca odmiennym urokiem: każe

10) Jeremias: o. c. str. 307, 295—6 i Kod. Chamm. S. 159—161.

11) Por. Benzinger: Hebr. Arch. str. 83 i Zieliński Hellen. i Jud. str. 156. Z przekładów Biblii znam tylko jeden, który nie zmienia kolczyka na nos na nausznice i tłumaczy dosłownie, a to przekład żydowski w hebrajsko-żydowskim wydaniu Tora przez Letterisa, Wiedeń 1894.

12) Nachor, dosł. „przebijający, zabijający”, brat Abrahama. Mieszkał w Haram, który stąd zwie się w Biblii „Ir Nachor” — miasto Nachora.

13) Dowolne operowanie imieniem Abram, zamiast Abraham, świadczy, jak mało rozumiał wówczas i doceniał Kasprowicz symboliczną bibliję. Wedle pojęć żydowskich, Bóg, dodając Abrahamowi do imienia literę „he” (z czego Wolter niegdyś tak srodo pokpiwał) dodał mu tem samem 5 części ciała, bo „he” jest równoważnikiem liczbowym pięciu. Rzecz jasna, że dodał symbolicznie, czyli stworzył na przyjęcie prawdy bożej. Są to: głowa, dwoje oczu i uszy. Wedle Żydów, ciało człowieka składa się z 248 członków, wyraz Abraham jest równoważnikiem cyfrowym liczby 243; dodając mu więc literę „he” uczynił go Bóg dopiero wówczas człowiekiem pełnym w żydostwie; nie zaś poganinem, mającym zamknięte najważniejsze członki na głos prawdy.

14) Jest to wyjątkowy znak i dowód, strwierdzający, że tym razem korzystał Kasprowicz z tekstu Wujka. Luter píše bowiem „machte sich auf zu der Stadt Nachor”, Biblia Gdańska zaś — „do miasta Nachorowego”.

15) W Biblii zdaje być raczej pora zimowa podówczas, lub jesienna. Świadczą o tem słowa Rebeki, Genesis XXIV. 25, zapraszającej gości, z tem, że w domu jej rodziców jest dostatek „gam mispo, gam teben”, co Wujek tłumaczy „plew i siana”, a co dosłownie znaczy, „i siana i mieszanek” dla bydła.

16) Za jak ważny uważają Żydzi ten szczegół, świadczy Raszi, który na jego tle osnuł wykład alegoryczny, ciekawe pendant do metody chrześcijańskiej odczytywania „figur Mesjasza” w Starym Testamencie. Wedle niego zatem kolczyk na nos ważył pół sykla dlatego, bo tyle wynosić miał okup na głowę w Egipcie; manei było dwoje, ponieważ dwie tablice przykazań miał Bóg dać Mojżeszowi; ważyły zaś one 10 syklów, bo dziesięcioro przykazań miało być na tych tablicach.

i słońcu świecić i sianokosom pachnąć i wieczorowi oddychać szeroko. Nietylko pojmuje odmienienie postać Abrahama; i w Eleazara swego tchnął życie większe; niepokoi się więc sługa i martwi żywo o cel skuteczny podróży i o radość panów. Rebeka z dość bladej postaci biblijnej, sympatycznej jedynie rysem gościnności, a zresztą obcej dzisiejszemu czytelnikowi, staje się u Kasprowicza dziewczęciem wiejskim, które z pieśnią na ustach czerpiąc wodę, marzy, natchnione poblaskiem letniego wieczoru, o nieznanym, wybranym, przysłym; o szczęściu i kochaniu. A kiedy ziszczenie

słów jej się zbliży, przyjmuje je z wstydliwą ochotą osłaniając tęsknoty własne mianem przeznaczenia, wyroku Boga, ale wyroku słodkiego, miłego, pogodnego.

Nie kusząc się o głębokości, poszedł Kasprowicz subtelnym odczuciem po linii wdzięku oryginału, jakie jeno z treści jego wydobyć się dały; rytmem swobodnym, ledwie tu i ówdzie przymglonym nieco chropowatością, niezatrącił nigdzie, a miejscami nawet pomnożył urok i piękno tej cichej sielanki hebrajskiej.

TADEUSZ ZADERECKI.

Z nowych powieści.

I.

(Ernest Lothar: „Mała przyjaciółka”; „Walka o serce”, w przekładach M. Tarnowskiego, wydawnictwa Przeworskiego, Warszawa 1933)

Najbardziej znanym u nas powieściopisarzem austriackim był Stefan Zweig, bezideowy naturalista o erotomańskim nastawieniu. Teraz poznajemy w Lotharze autora o daleko poważniejszym zakroju, wyższych aspiracjach, skomplikowanym obliczu. Jest to przede wszystkim psycholog — analityk, bardzo wnikliwy, bardzo szczerzy i bardzo współczujący.

„Mała przyjaciółka” to 12-letnia córeczka bogatego przemysłowca wiedeńskiego, przechrzczonego żyda, która przypadkiem wpada na trop wiarołomstwa matki z pewnym oficerem, świadczy w procesie rozwodowym rodziców, na tem tle wynikłym, chce się otruć, a wyratowana, staje się cementem rozpadającej się rodziny. Autor po mistrzowsku maluje środowisko plutokracji i kryjące się pod cienką warstwą obłudy bagienko; przeciwstawia mu czyste dusze dwojga dzieci: owej „małej przyjaciółki” i chłopca z cukierni, który jej raz uratował na ulicy życia. Siła tego kontrastu jest wcale sugestywna. Technika powieści świadczy o dobrym „majstrze”.

Jeszcze lepiej zaprezentował się Lothar w „Walce o serce”. Problem, przezeń postawiony, to kwestja szczęścia jednostki za szlachetnej, za miękkiej, za subtelnej. W trudnej formie pamiętnika, więc autoanalizy przedstawiona została we wszystkich tonach, odcieniach i nuansach tragedia życiowa wyższego urzędnika, któremu ukochana żona po roku wydawszy na świat dziewczynkę, umiera na raka. Wdowiec jest złamany zupełnie, poddaje się kojącemu wpływowi pewnej woltyżerki, która go bezinteresownie „pielęguje” duchowo, wreszcie po ocknięciu się, cały oddaje się wychowaniu córki. Intryga brata wywleka po latach na forum publiczne stosunek jego do tamtej kobiety, córka pod wpływem tej wiadomości ucieka od podejrzanego o Bóg wie co ojca, któremu wytaczają dyscyplinarkę. Biedny człowiek wyjeżdża na wieś z owdowiałą woltyżerką, która się zabija z rozpaczy, że drogi dla niej mężczyzna jest moralnie i materialnie zrujnowany, bez winy. Głęboka, wstrząsająca, choć jednostronna w niemieckim sentymentalizmie bohatera — książka. Wniosek z niej: źle nic nie kochać, gorzej — kochać za dużo, za wyłącznie.

II.

M. Baring: „Daphne Adeane”, Przekład Janiny Buchholzowej, Warszawa 1933, Powszechna Spółka Wyd. „Płomień”.

Maurycy Baring jest dość reklamowanym pisarzem angielskim, podobno w ojczyźnie poczytnym i cenionym nawet przez tuż literackie. Pierwszą jego powieścią, tłumaczoną na polski, była „Tunika bez szwu”, nietyłe powieść, ile raczej cykl banalno-wodnistych, a mocno pretensjonalnych rozmów na niby inteligentne tematy, w gruncie rzeczy nudnych, zwietrzałych i bladych. Bez porównania lepiej udała się „Daphne Adeane”, oryginalnie postawiona, mniej przekonywająco rozwiązana.

Są to dzieje małżeństwa córki dyplomaty, sieroty, z młodym parlamentarzystą angielskim, chłopcem dobrym, ale niezrównoważonym. Miał on jako kawaler romans z pewną mężatką, wielką intelektualistką i kobietą zgola nieprzeciętną, romans trwający szereg lat. Otóż wiadomość o tym romansie, zlikwidowanym zresztą w wilgę ślubu parlamentarzysty, oddziaływała na młodą żonkę tak deprymująco, że pod wpływem zazdrości ostyga w uczuciach dla męża i pada ofiarą stałej dysharmonji w swem stadle. Nadchodzi wojna światowa. On zaciąga się jako lotnik-ochotnik i ginie gdzieś w Belgji bez wieści, ona — wierna mu dotąd — zakochuje się ni stąd ni zowąd w grubo starszym lekarzu-dziwaku, oddaje mu się i zamierza go poślubić. Tymczasem mąż żyje, lecz się na

nerwy u jakichś zakonnic, po usilnych zabiegach wraca po zakończeniu wojny. Ona, mimo że amoralna poganka, po rozmowie z pewnym mnichem, przyjmuje weterana z otwartymi ramionami, okazuje mu współczucie i chce być napowrót jego żoną, kochanka zaś puszcza na zieloną trawę.

Jak ta „wojenna miłość”, tak i owo pogodzenie się zwaśnionych małżonków przychodzi trochę, jak deus ex machina. Psychologicznie rzecz jest mało pogłębiona, nie rozumiemy uporu, z jakim dawna kochanka parlamentarzysty nie zna go po ślubie, nawet mówić z nim nie chce, a jak znowu jego żona odrazu pada w objęcia jakiegoś eskulapa o starokawalerskich nawychkach. Ciekawą rolę gra w przeżyciach osób występujących portret Daphne Adeane, Hiszpanki, zmarłej już żony bankiera, której duch zdaje się ciążyć nad bohaterami powieści i wpływa na nich w decydujących momentach, kobiety szlachetnej, mądrej i pięknej. Pod względem etycznym powieść nasuwa zastrzeżenia, czyta się jednak gładko, jest żywa, nieszablona i w każdym razie pobudza do myślenia.

III.

T. Dołęga Mostowicz: „Bracia Dalczy i Spółka” Tom II. Warszawa „Rój”.

Część druga tego sensacyjnego romansu, o którym pisaliśmy w poprzednim numerze, nie zmienia ujemnego sądu o pierwszym tomie. Brat stryjeczny (a nie bratanek jak mylnie podaliśmy) owego hochstaplera, który podstępnie opanował po ojcu fabrykę, porzuciwszy swą stenotypistkę, zakochuje się z kolei w ranionym (w bóje ulicznej) krewniaku i pielęgnując go, wyznaje swą miłość. Ponieważ zaś jest przebrana kobietą, więc w miejsce miłości lesbijskiej mamy teraz — kazirodczą... Hochstapler ten wymusza na pocziwym inżynierze szalbiarczy „wynałazek” kauczuku syntetycznego, robi na tem nowem oszukaństwie majątek, staje na czele międzynarodowego trustu, wkońcu się załamuje, wisi nad nim bankructwo, w ostatniej chwili ucieka z gotówką w kieszeni za granicę i tam osiada incognito z siostrzyczką, jako... para małżeńska.

Budna powieść, poniżej solidną pracę na rzecz szczęścia zmysłowego, wyszydza uczciwość i prawdę, obowiązek i honor, gloryfikuje szubrawca, zasługującego na kryminal, daje mu za towarzyszkę kobiety, z których jedna to zwyczajna ścierka, a druga to typ patologiczny, nieprawdopodobny i psychologicznie najzupełniej chybotliwy. Perwersyjna książka, depce wszelką etykę, jako umowny liczman obiegowy, głosi, że wszystko wolno; kto ma spryt, odwagę i brak skupień jakichkolwiek, temu oddaje świat i karierę. Słowem utwór szkodliwy, deprawujący, którego wad nie okupuje forma romansów zeszytowych.

C. L.

DO KUPCÓW-CZYTELNIKÓW

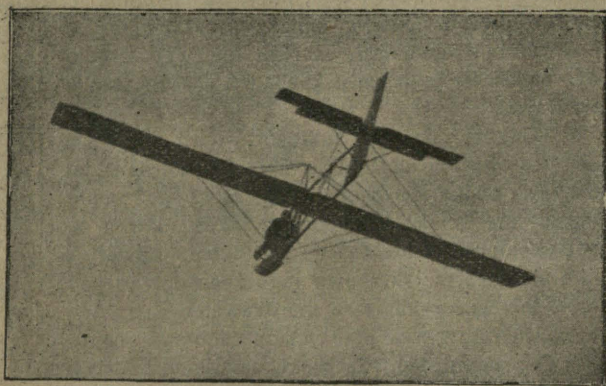
Dlaczego nie zamieścił Pan dotąd żadnego anonsu na łamach naszego pisma? Każdy grosz — to cegiełka w budowlę, jak i oto wznosimy!

**Zapraszamy
do prenumeraty!**

Refleksje na temat szybownictwa.

Kiedy byłem w szczęśliwym wieku lat ośmiu, przychodziło mi czasem na myśl, czy nie dałoby się na puszczanym w górę latawcu umieścić kota, lub jakieś inne stworzenie boże, aby zażyło sobie powietrznej podróży. Wszystkie jednakże próby przedsięwzięte w tym kierunku nie dawały niestety żadnych rezultatów. Czy mogłem wówczas przewidzieć, że kiedy przyjdzie na mnie „wiek męski” idea moja zostanie zrealizowana (naturalnie nie przemennie) i na olbrzymim latawcu będzie siedzieć nie kot — ale człowiek?

W ubiegłym i bieżącym roku odbyły się we Lwowie meetingi lotnicze, w których



Szybowiec w locie.

oprócz samolotów brały udział i szybowce. Satisfakcją było patrzeć jak pociąg powietrzny złożony z samolotu (lokomotywa) i kilku szybowców (wagon) sunął majestatycznie w przestworzu, aby na pewnej wysokości rozczłonkować się na swoje składowe części. Szybowce wówczas bezszelestnie krążyły jakiś czas w powietrzu nad lotniskiem, aby później miękko opaść na ziemię.

Szybowiec — jest to bezsilnikowy pla-

nowiec przebywający i poruszający się w powietrzu na zasadzie wykorzystywania różnego rodzaju prądów powietrznych. Rzecz jasna, że pozbawiony własnej siły pędnej jaką posiada samolot, musi równoważyć ten brak zaletami innego rodzaju, jak lekkość i duża powierzchnia skrzydeł, pozbawiona natomiast co samolot, a więc stery boczne i ster tylny regulowane stalowymi linkami; wszystko mało skomplikowane, — siodełko pilota znajduje się bezpośrednio przed skrzydłami maszyny, a pod jego rusztowaniem łódkowate podwozie służące do lądowania. Wyrzuca się tą nadzwyczaj prostą maszyną zapomocą naciąganych lin gumowych w powietrze, a tam pilot już radzi sobie jak może i umie — a im więcej umiejętności wykorzystywania prądów powietrznych posiada, tem dłużej może utrzymać się w powietrzu, ewentualnie dalej zalecieć.

Nasuwa się pytanie, czy szybownictwo jest sportem? Jeżeli zważy się, że każdy sport winien wyrabiać nie tylko mięśnie ale i orjentację umysłową, hart woli, odwagę i samopoczucie, to szybownictwo musi się uznać za sport najwyższego gatunku. Nie w tem jednak jego główna zaleta, ile w pracy pionierskiej nad zdobywaniem powietrza aparatami najprostrzej konstrukcji i najtańszymi. W ciągu paru ostatnich lat szybownictwo zrobiło takie kolosalne postępy, że może się już poszczycić tysiącami przelecanych kilometrów i wielu setkami przebytych w powietrzu godzin. Nie będziemy snuć żadnych horoskopów na przyszłość, bo przy tego rodzaju tempie rozwoju nic się nieda przewidzieć.

Ale jest jeszcze inna strona dodatnia szybownictwa. Z doświadczenia wiemy, że najlepsi motocykliści rekrutują się z pośród tych ludzi, którzy przejechali przynajmniej kilkaset kilometrów na rowerze i zaznajomili się dobrze z szosą. Podobnie ma się rzecz w lotnictwie. Szybownictwo jest rodzajem freblówki dla pilotów motorowych. Jest

nieodzowną rzeczą, aby pilot znał dokładnie żywioł w którym przyjdzie mu się obracać, aby wiedział jakie prądy powietrza są dla maszyny na której siedzi pożyteczne a jakie szkodliwe, aby te prądy umiał jak najszybciej rozpoznawać. Statystyka wypadków lotniczych wykazuje, że najmniejszy procent nieszczęśliwych wypadków przypada na pilotów, którzy mają za sobą kursy szybownictwa i w związku z tem do szkół lotniczych w przyszłości będą przyjmowani tylko kandydaci ze stopniem pilotów szybowcowych. Aeroklub Lwowski kształci też szerokie rzesze młodzieży akademickiej i szkół średnich na specjalnych kursach w Czerwonym Kamieniu i w Bezmiechowej właśnie w tym kierunku, szerząc ponadto ze zrozumiałych względów odpowiednią propagandą zrozumienie dla swoich poczynañ wśród społeczeństwa.

Jeden z moich przyjaciół, wielki sportowiec, zapalony futbolista, oświadczył mi podczas pierwszego meetingu lotniczego, że aczkolwiek szybownictwo jest pięknym sportem, on woli kopać piłkę i mieć całą głowę na karku. W ciągu roku zmuszony byłem dwukrotnie składać mu swoje kondolencje, raz z powodu złamania nogi na meczu, drugi raz z powodu operacji ślepej kieszki pozostającej również w jakimś związku, przyczynowym z piłką nożną. Drugiemu zaś z moich przyjaciół w ciągu roku składałem dwukrotnie gratulacje w związku z pobitemi przez niego rekordami szybowcowymi. Na tej podstawie wyrobiłem sobie zdanie, że jednak szybownictwo jest o wiele bezpieczniejszym sportem od piłki nożnej, nie mówiąc już o boksie, który w ostatnim roku pochłonął dwie ofiary nielicząc wybitych zębów i połamanych nosów. Górą tedy szybownictwo!

W R.



BEZET.

Cud boga Apisa.

Uradowało się radością wielką serce jego dostojności najmiłościwszego Mentecaptulisa, potężnego władcy słonecznej krainy Monopolis, bowiem tej właśnie nocy powiła jego piąta małżonka pierworodnego syna.

Gdy z wieży obwieszczono tę szczęsną nowinę zebranemu przed pałacem ludowi, podniósł się krzyk wielki wśród wiernych poddanych, którzy miłowali bardzo pana swego. Żołnierze i najemcy jego dostojności uderzyli w bębny i w miedziane płyty, aż echo poszło od wschodu do zachodu słońca.

Kto był w polu, kto w lesie, na ulicy, w ogrodzie — padał na twarz; kij podniesiony nad grzbietem bydłęcia czy niewolnika, opuszczał się bez szkody, a skazany na śmierć przestępca uzyskiwał łaskę. Albowiem przed potężnym i miłościwym Mentecaptulilem chodziła moc wielka, a za nim miłosierdzie.

Najdostojniejszy syn pierworodny otrzymał imię Indrezufis, a otoczony przez nauczycieli, mędrców i ministrów — wyrastał na dzielnego pana i wodza, jak przystało na szlachetny ród Mentecaptulisów, który wydawał samych tylko znamienitych i mądrych władców, tudzież wielkich wojowników.

Ale w dwudziestym roku żywota odwróciła się łaska bogów od dostojnego Indrezufisa, któremu zła bogini pomieszała rozum. Młody książę był głupi, jak paraszyta, złośliwy, jak nosorożec i tak uparty, że żadna mądrość nie szła mu do głowy.

Nigdy w jadłach ni napoju niesyty, tak się lubił obżerać, jak nikt w całym państwie. Nie wystarczyło mu podawane obficie na stół jego książęcy słodkie daktylki, ani pieczone gołąbki; kiedy tylko zobaczył nędznego niewolnika posiłającego się po ciężkiej pracy marnym owsianym plackiem — z rąk mu go wyrывał i zja-

dał z żarłocznością wielką, jakby był synem północnego barbarzyńcy a nie potomkiem królewskiego ojca, pana życia i śmierci swych poddanych.

Choć silny jak byk a odważny jak lew, postawiony na czele hufców zbrojnych przegrał bitwę, bo zamiast gromić nieprzyjaciół (oby ich świnię pożarły), którzy podnieśli ręce na majestat świętego kraju — siedział spokojnie na tyłach w taborze, zając się pszenym plackiem ze słodkim miodem i zapijając winem z za dalekich mórz.

Gdy wieść o tem doszła do uszu króla, zasmuciło się wielce serce jego miłościwe i zwoławszy uczonych proroków i świątobliwych kapłanów, raczył ich o radę zapytać, jak długo bowiem słońce świeciło nad królestwem Monopolis — żaden z szlachetnych dziedziców tronu nie odznaczał się tak nieboskimi przyzwyczajeniami.

I stało się, że z grona mędrców powstał świątobliwy kapłan boga Apisa i rzekł, mówiąc:

Najdostojniejszy królu, władco wchodzącego i zachodzącego słońca, panie wieczności i panie dwóch światów — obyś żył wiecznie! Prawda, że ród twój boski nie może mieć żadnych nieboskich właściwości, przeto najdostojniejszy syn twój Indrezufis jest też najdoskonalszy a tylko zła bogini rzuciła na niego urok... Żadna moc ludzka nato nie poradzi, miłościwy monarcho a tylko modlitwa do boga Apisa, który jest ze wszystkich bogów najlepszy i najmożniejszy...

Tak rzekł mądry kapłan. A jego dostojność miłościwy pan i król, zarządził modły odprawiać we wszystkich świątyniach a największe w świątyni boga Apisa, któremu poszło w ofierze 1000 kruz miodu, 1000 koni i 1000 miar pszenicy.

I stało się, że gdy odprawiono modły w świątyni Apisa, najmiłościwsze bóstwo objawiło się jego świątobliwości arcykapłanowi i przykazało wyciągnąć nieczysty mózg książęciu

i przynieść do świętego byka Apisa. Jedno tylko polizanie świętym jęzorem miało oczyścić mózg opętany syna króla dwóch światów.

Alści gdy uspio syna królewskiego i wydobywszy mózg nieczysty, podsunęto pod jęzor Apisowy, święty byk obwąchał go uważnie a potem zamiast oblizać — zjadł.

Krzyk się podniósł okrutny w świątyni i strach padł na bogobojnych kapłanów. Święty bóg pożarł mózg książęcy a sam książę leżał bez zmysłów, pozbawion tak ważnego narzędzia... Co powie nato najmiłościwszy pan dwóch światów, co powie lud!?

Zmożon srogiem utrapieniem, zasnął bogobojny arcykapłan. Tedy objawił mu się znów we śnie święty Apis i rzekł, mówiąc:

Nie martw się święty proroku!... Zaprawdę, ci powiadam, że mózg tak nieczysty i zgola plugawy nie mógł być inaczej oczyszczony, jak tylko przez wewnętrzność świętego byka Apisa... Ufaj tedy i czuwaj a gdy chwila nadnijdzie sposobna — włóż go z powrotem książęciu, który będzie wtedy z mędrców najmądrzejszy.

Rzekł bóg Apis. A arcykapłan, zbudzwszy się, uczynił, jak mu przykazano.

I oto cud się stał. Zbudziwszy się, książę udał się do swojego królewskiego ojca i rzekł, mówiąc natchniony:

O panie! Czuję straszliwą mądrość w sobie! Czaszkę mi ona rozpiera i taką moc ducha daje, że zdejmę ze mnie prosię brzemie powinności wojskowych a uczynię ministrem wszystkich nauk i mądrości tego kraju, bom sam jest żywą mądrością...

I wysłuchan został młodzian uleczony i uczynion ministrem. A wnet potem mądrość i wszelka wiedza w kraju Monopolis doszły do takiego rozkwitu, że kraj ten wydawał samych mędrców, jakich nigdy dotąd nie było od wschodu słońca do jego zachodu.

Emanuel ben Dawid Frances

Żniwo minęło

(Tochachach).

*Żniwo minęło, lato uleciało
Próżny i płony nasz trudu czas.
Nic naszej duszy szczęścia nie dało,
Od śmierci nic nie dzieli nas.
Cóż nam pomożesz wszystka nadziejo?
Gdy człowieczego losu koleją —
Robakom iść na żer!*

*Przeszły dni młode, przeminęły z laty,
Szybko gdzieś znikły, jak zwiędte kwiaty,
Jak rzadniejący dym...
Jeszcze mnie zima czeka, m lato w jesieni
zachodzie —
Drzewo i kwiat martwo już leży w ogrodzie —
Spadł śnieg i lód pod progiem mym.*

*Powstań i pojmić duszo —
Chyżym jeleniem, kuli pierścieniem,
Znaczony nam przelata czas.
Wczoraj, orzeł, skrzydła niosłem w locie
Dzisiaj leżę w grobie, w błocie —
Głaz.*

*Lecz duszo, porzuć żale!
Chociaż w śmiertelnej godzinie,
Staję cieniami na śmierci dolinie
Przepaskę bierz i spiesz i nie upadaj
w podróży!
Chwila — gniew Boga — błyskawicą burzy —
Spala się rychło po strzale.*

Emanuel ben Dawid Frances. Żyd włoski XVII w., jeden z najwybitniejszych poetów tej epoki. Jako talmudysta, był wrogiem kabały i ruchu stworzonego przez Sabbataja Cewi, pseudomesjasza działającego w Turcji. Opierając się jednak wciąż o kabałę, przy sposobności jej zwalczania, nasiąknął nią do tego stopnia iż poezje jego można uważać za stojące na pograniczu mistyki i swobodniejszego, bardziej świeckiego spojrzenia. na świat. Wykształcony na wzorach włoskich, przepoił poezje swe ogromnym wdziękiem, wyrafinowaniem budowy i wykwićnością. Celował w poezjach refleksyjnych. o silnem podłożu religijnem.

Utwór podany cechuje charakterystyczna dla żydowskiego poglądu na rzeczy ostateczne i sąd Boży — pogoda i optymizm, mimo początkowych pesymistycznych akordów.

Autor nieznany

Modlitwa magiczna

(Anah Bekoach).

*Prosim, potęgą potężnej prawicy
Kajdany złam!
Przyjm ludu uwielbienie.*

*Moc daj nam!
Straszliwy, daj oczyszczenie!
Prosim, osłoń nas, co żyjem tem, żeś Ty —
Jedyny!*

*Błogosław nam i oczyść nas i zmiłuj się
nad nami;
Sprawiedliwością zapłać gminy!
Pełen dobroci, powoduj trzody Twej tłumami.*

*Wzniosły, wejrzyj na ludu płacz!
Patrz! on pamiętny Twej świętości — patrz!
Przyjm jego płacz!*

* * *

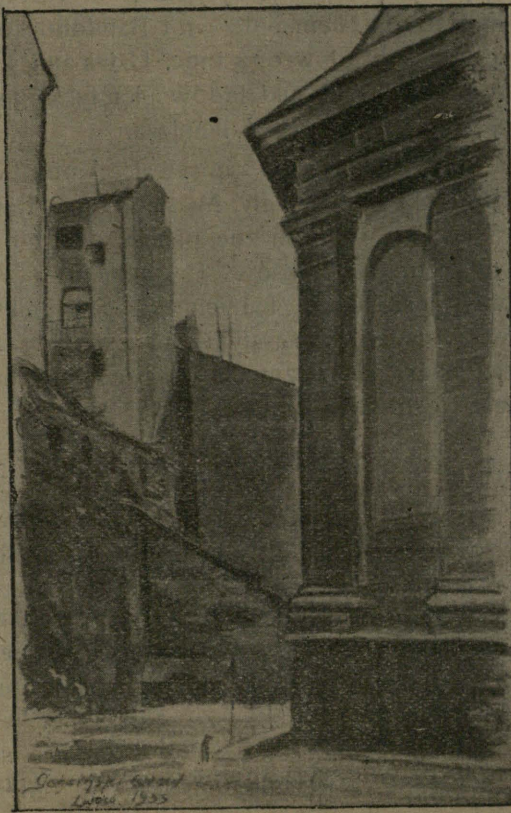
*Prosim, potęgą potężnej prawicy
Ciemiężce spal!
Bo spójr — Twój lud — żebraki!*

*W moc zmień żal!
Straszliwy, daj oczyszczenie!
Broń pieśni Twych świętych śpiewaki.*

*Wesprzyj łaską! Śpiesz na wybawienie,
Tych, co czekają
I tem są święci, że Twą świętość znają!*

Utwór nieznanego autora, powstały w XVI. w. w kołach żydów włoskich, osiadłych na wygnaniu w Safecie. Stanowi on typ modlitwy kabalistycznej o charakterze magicznego zaklęcia. Budowany niesłychanie żmudnie i pracowicie, polega on na operowaniu kombinacjami liter i ich wartości liczbowych, wchodzących w skład imienia boskiego. Celowość magiczna tej techniki tłumaczy się tem, iż wedle pojęć wschodnich, imię lub nazwa

nie jest czemś zewnętrznym, służącym jedynie do odróżnienia osoby lub rzeczy od osób i rzeczy innych, ale ma bezpośredni związek z istotą swego właściciela. Zawładnąć więc czyjś imieniem, jest to zawładnąć obiektem noszącym je; wypowiedzieć zaś imię, równa się magicznemu przywołaniu jego właściciela, zmuszeniu go do stawienia się przed wołającym i do posłuchu. W ten sposób wypowiadanie modlitwy magicznej, komponowanej na kanwie liter imienia boskiego, zdążało do faktycznego w niej urzeczywistnienia i zrealizowania wyrażonych pragnień. Elementy te, przekład z natury rzeczy, zatracają. Na pokrewnych kombinacjach kabalistycznych powstał utwór drugi, będący warjantem poprzedniego. Chronologicznie jest on późniejszy.

Przełożył
Tadeusz ZadereckiLwów — Zamek Bernadyński Paster.
mal. Władysław Gościński**Żywe słowa.**

Mybrat C. L.

1.

*Niech każdy składa talent swój ojczyźnie,
jako dar w skarbonie tajemnie i nie mówiąc,
wiele złożył.*

*Przyjdzie czas, że się skarbona napęlni, a
Pan Bóg zapisuje, ile każdy złożył.*

MICKIEWICZ
(„Księgi pielgrzymstwa“)

2.

*Rada jest jak moneta: wszystko jedno od
kogo pochodzi, byle była z dobrego kruszcu.*

WEVSSENHOFF
(„Gromada“)

3.

*Mnie się wydaje, że tyle właśnie świętości,
ileśmy ze siebie wydali, odnosi nam w niewiadomym
dniu i w sposób niepojęty jakowaś siła
wszystko pamiętająca, jak gdyby czyjś czujny
poseł.*

ŻEROMSKI
(„Uroda życia“)

4.

*Kobieta religijna może być porwana przez
miłość, jak drzewo przez huragan, ale jej nie
uzna nigdy.*

SIENKIEWICZ
(„Bez dogmatu“)

5.

*Używajmy pokarmów dla duszy, tak, jak
używamy pokarmów dla ciała, używajmy ich
w porze i w mierze właściwej, aby je strawić,
zasilić się niemi i tej siły użyć na przeciąganie
ofiarnego, chrześcijańskiego życia naszego.*

TOWIAŃSKI
(„O powinności artysty“)**Strusia polityka**

Polska jest bezsprzecznie jednym z najbogatszych krajów w Europie, jeśli oczywiście pominiemy Rosję, której w całości niepodobna zaliczyć do państw europejskich.

Zdanie, że Polska jest w Europie jednym z najbogatszych krajów, wydaje się być paradoksalne wobec ogólnej nędzy, wobec szerzącego się bezrobocia i tej liczby notowanych codziennie samobójstw, spowodowanych beznadziejnym brakiem środków do życia!

A jednak Ojczyzna nasza jest istotnie bardzo bogata! Opatrzność wyposażyla ją we wszystko, czego potrzebuje naród osiadły w granicach Polski.

Wszakże mamy wielkie obszary urodzajnej ziemi, której plony mogą dostarczyć wyżywić całą ludność; mamy obszary dziś błotem zalane, których zmeliorowanie i osuszenie może zwiększyć nasz zapas urodzajnej ziemi o 8 milionów hektarów; mamy ogromne przestrzenie lasów i w nich obfitość wielką drzewa opałowego i materiałowego; mamy sławną na świat cały kopalnie soli i warzelnie; mamy węgiel czarny i brunatny; minerały żywiczne — naftę i wosk ziemny; mamy gaz ziemny w takiej obfitości, że moglibyśmy nim cały nasz kraj ogrzewać i oświetlać najmniej przez pół wieku; mamy znaczną ilość różnorodnych mineralnych źródeł leczniczych; mamy pokłady rudy żelaznej, ołowiu, miedzi, srebra a nawet złota w Łącku, w powiecie nowo-sądeckim — jednym słowem mamy wszystko, a jednak przy tych obfitościach i bogactwie gnębi nas i pogłębia się z dnia na dzień coraz srozsza nędza!

Przyczyn tego stanu, groźnego dla naszej odrodzonej Ojczyzny, jest mnóstwo, usunięcie ich jest konieczne, jeżeli nie chcemy dojść do ostatecznej katastrofy, ale wszelkie omawianie popełnionych błędów, z których wypływa i rozrosła się nasza nędza, wszelkie, podyktowane poczuciem obywatelskiego obowiązku wskazywanie środków poprawy — jest czasami niemożliwe ze względów... czysto zewnętrznych, o których... lepiej nie mówić.

Ale czy takie kneblowanie ust, takie tłumienie głosu prawdy i krępowanie swobody w wypowiedzenie krytyki mającej na celu usunięcie przyczyn szerzącego się zła — przynosi pożytek Państwu i społeczeństwu?!

Zdaje się, że wręcz przeciwnie, bo za pomocą tej strusiej polityki umożliwia się tylko popełnienie nowych błędów, przynoszących coraz gorsze skutki dla życia gospodarczego.

To życie gaśnie a gaśnie z powodu braku pieniądza w obrocie na który wszyscy utyskują i narzekają, a mimo tego wciąż czytamy w komunikatach, że polepsza się — bezrobocie maleje — jednym słowem żyjemy nadzieją — wiedząc, że ta nadzieja przebywa hen w obłokach.

Żyjemy nią dalej — a może nasze prawniki kiedyś powiedzą: Zaczyna być u nas w Polsce lepiej.

Mieczysław Szykowski.

Za rok będzie nas MILJON!

PROLOG POWIEŚCI

(Wajomer Adonaj el Mosze...)

Po chwały pełnych ojcach, jacy od wieków królowali świętej ziemi Tameri, zgasł na ronie faraonów Jego Majestat Amenhotep III. Jak oni potomek bogów, syn słońca, żywe wcielenie Amona.

Długich trzydzieści sześć lat władał on nadniłową krainą. Bogata była to ziemia: hojna w plenie zboża, jak żaden kraj świata. Oblawie upodobała ją sobie łaska bogów; ziarno w kłosach jej wąsatej pszenicy pleniła nie sama tylko cnota rolnika, ale i dar doroczny niebios; tłustość nilowej rędziny. Bogata była ziemia Tameri.

Na barkach świętych wód Nilu kłusowały się nieprzeliczone statki. Ruchliwi kupcy kręcili się po nich; setką języków rozbrzmiewały zawsze pokłady. Złoto i kadzidła z Puntu, drogie brzozy z Mikeny, kosztowne syryjskie bławaty napełniały skarbiec królewski. Liczny niewolnik nubijski niósł ręce pracowite faraonowi, mnogie cedry Libanu kładły się pod jego budowlę.



Ilustracja do powieści: I rzekł Pan do Mojżesza — „Nil”
rys. Władysław Gościński

Bogata wśród bogatych była kraina Tameri.

A jako Nil święty corocznie wód wezbraniem niósł płodność świeżą i rzeźkość spaloną skibom Egiptu, tak i duchów nieprzerwanym łańcuchem odradzał się w władcach wielki Amon, nowy genjusz, nową siłę i myśl nową dojąc swej umiłowanej krainie. Ośmnastą dynastiją noszą-

cych sierpy królewskie, zapisały już dzieje Egiptu; czoła mnogich mężów opasał święty wąż faraonów Ureus, na podwójnej koronie państw; Amon jeden i ten sam żył w każdym faraonie. I żyła i odradzała się w nim i potęgowała chwała Tameri, jego ducha, jego oręża, jego mądrości i nauk.

I chwałą Amona sięgał Egipt daleko poza pasy nadniłowej dzierzawy. Tam, na południu w pustynię piaskową, na kraje czarnoskórych Nubjów — i tam, na wschodzie, za półwysep skalistej pustyni, w kraje syryjskie, w ruchliwe szczepy Habiru. Niemal do wrót Babilonu kołatała groźna jego złowroga moc. Dziesiątki krajów sokołowała. Dziesiątki ludów kłoniły się jego potędze, płacąc powinność lenniczą.

W każdym faraonie zapisywał Amon widome pomniki swej chwały. Miastami zaroit Egipt, posiał świątynie i rozliczne pałace, ozdobił go tysiąc m. piramid, sfinksów i obelisków. Kuł w głazach skarabeusze kamienne. Sam niewidzialny — siedział w świątyni tebańskiej; w Tebach też mieszkał w żywym swem wcieleniu; w majestacie Faraonów.

Wielki i potężny był kraj Tameri tych dni. Świat rozszerzał, światem władał, świat stanowił. Gardłem nilowej delty napełniał morze wodami, by płcią statki na podbój dalekich ziem i chłonać okręty, cudzego zwożące kupca. Ostrą miedź wyłożona ze skarbów na miecz dla jego żołnierza, zawsze wracała do kraju stokrotnie, przekuta na drogie złoto. Za Nil niosły jego armje ustrój i porządek mocarstwa; z poza Nilu i z poza skłonu kamiennej pustyni — biegły doń karawany z wieścią o świeżych zaborach, o świeżych szlakach na Wschód.

I temi szlakami szedł do Egiptu gęsty h. racz lenników, także i w ludzkim nabytku. Targowisko ciągłej wymiany sił rozsiadło się w Tebach nad Nilem. Brał Egipt wiele, ale i dawał wiele: co przybywało tu surowcem, zostawało, lub wracało do ojczyzny świetnym przetworem kultury. Niejeden Azjatyck przywieziony tu nie-

wolnikiem, znajdował w Egipcie godności, tytuły i urzędy: niejeden wracał do stron rodzinnych na dygnitarstwo w imieniu Jego Majestatu. Kto egipską się powlókł powłoką, a zdolność miał nielichą — nie potrzebował wiele kołatać; wszystkie wrota były dlań zawsze szeroko otwarte.

Szczera więc stolicą ludów i ziemi były Teby faraonów. Światem rządził Tameri, ale i świat rządził nim.

Pełnomocny namiestnik Jego Majestatu, Janhamu, wielkorządca Syrii, „Rozdawca królewskiego cienia” — bo tak brzmiał tytuł jego urzędu — przybył do Tameri już dawno. Marnym był chłopcem z rodu syryjskich Semitów, gdy przyszedł do Teb; rychło jednak niepospolitą zdolnością rozumu wybił się na wysokie urzędy. Doradcą stał się królewskiego tronu w jego rządach Egiptem; pod samoistne władanie dano mu prowincje syryjskie. I rósł w powagę i bywało, trząsał nieraz Egiptem.

Dostał siedzibę w nadmorskim okręgu Jarimuta. Krainą Gosen zwano ten okręg u ludu. Licha to była ziemia i w żaden płód niebogata; bagnista tylko i trawiasta, ale ważna: stanowiła bowiem z jednej strony klucz dla Tameri na morze, z drugiej zaś otwarty wpad dla koczowniczych hord pustynnych rabusiów. To też trzymano ją pustką, bo i s. koda było pracy, której owoc uzależniony był ciągle od mecza i ognia burzliwych, a nieopanowanych niczym szczepów. Pustka przeszkadzać im miała w rozroście rabuśniczych zagonów. Wieczne ropiącym wrzodem na ciele państwa Tameri była Jarimuta.

Janhamu stąd rządził Syrią. Dziwne były te rządy: władały mieczem i chlebem. Licznym otoczył się żołnierzem, liczne na pustych łakach pobudował śpichrze. Groza tedy i wabik mieszkających odtąd w Jarimucie dla nieokiełzanego rabusia pustyni. Smaczne mu były wprawdzie n. jazdy, ale i smaczny spokojny chleb za dn. głodu. I straszny był mu miecz, zawsze gotowy do karania. Pod rządami Janhamu odetchnął spokojniej środek kraju.

Kazimierz Brvła

major W. P. w st. sp.

Poradnik szermierczy.

(Ciąg dalszy).

Do przejścia w układ pierwotny rozkazuje się: „W prawo układ!” lub „Zmien układ!”

§. 4.

1. Ćwiczenia ciała.

Następujące ćwiczenia wykształcają mięśnie, uczą zręczności i ruchliwości jakoteż oszczędności pod względem używania siły i oddechu, przyzwyczajają do większego n. atężania się a zatem wyrabiają wytrwałość a w końcu stanowią w szermierce podstawę do dalszego kształcenia się w tym kierunku.

Rozkaz: „Baczność”: — Układ zasadniczy! — Uczniowie stają w odpowiedniej pozycji. (v. §. 3).

Na rozkaz: „Półprzysiad — raz!” zginają kolana jak to poprzednio podano.

Na rozkaz: „Układ szermierczy — dwa!” stawiają prawą (lewą) nogę wprzód i dają pół-apel.

Na rozkaz: „Układ zasadniczy — raz!” dają pół-apel, podnoszą się, prostują kolana i przysuwają nogę prawą (lewą) do lewej (prawej)

Po nabraniu pewnej wprawy w tych ruchach należy ćwiczyć przejście do układu szermierczego bez podziału.

a.) Pochód wprzód.

Na rozkaz: „Krok naprzód — raz!” stawia uczeń szybko prawą (lewą) nogę na linii bojowej na długość własnej stopy naprzód a równocześnie lewą (prawą) za nią tak, by przepisana przestrzeń między stopami była utrzymana.

Uwaga: Przy tym ruchu ciała pamiętać należy, że lepiej jest stać szeroko, niż wąsko, bo się zyskuje dla pozycji szerszą podstawę a tem samem i większą pewność w oparciu stopami na ziemi.

b.) Pochód wstecz.

Na rozkaz: „Krok wstecz — raz!” stawia uczeń nogę lewą (prawą) na długość stopy wstecz i przysuwa prawie równocześnie nogę prawą (lewą) do układu, następnie daje pół-apel na znak dokonania odwrotu.

c.) Wypad.

Na rozkaz: „Półwypad — raz!” — Opierając się silnie o ziemię, wypręża uczeń lewą nogę szybko w kolanie i nie zmieniając pozycji stóp, zgina prawe kolano tak, by prostopadłe stanęło przed kończyną prawej stopy; tułów pozostaje w pionie.

Na rozkaz: „Układ — dwa!” — powraca do pozycji.

Na rozkaz: „Wypad — raz!” — wykonuje się sprężyste najpierw półwypad, następnie posuwa prawą nogę wzdłuż linii bojowej (ku przodowi) tak, by nadkolanek nad piętą stanął prostopadłe. Stopa lewa całą swą szerokością opiera się silnie o ziemię, przechylając jej w kierunku wypadu nie wolno, również podnoszenie lewej pięty do góry jest kardynalnym błędem. Ciężar ciała nie powinien spoczywać zupełnie na prawej nodze, lecz ma być tak rozłożony, by powrót do układu nie był utrudniony. Ścisły profil musi być zachowany. Metoda niemiecka i włoska wymagają, by tułów i lewa noga tworzyły jedną linię prostą, ku przodowi pochyloną, natomiast przy metodzie francuskiej — tułów w wypadzie ma być prawie pionowo utrzymany, gdyż ta pozycja ułatwia szybki powrót do układu.

Na rozkaz: „Układ — raz!” — zgina się lewą nogę raptownie w kolanie, cofa tułów i prawą nogę wstecz a dając nią pół-apel przybiera przepisana pozycję.

d.) Pochód z wypadem.

Stojąc poza odległością zapaśniczą (menzurą), lub na całej odległości, chce szermierz zbliżyć się raptownie do przeciwnika i zaatakować go. W tym celu łączy dwa ruchy: pochód i wypad.

Rozkaz: „Krok naprzód z wypadem — raz!”

e.) Pochód wstecz z wypadem.

Podczas obrotu nadarza się sposobność zaaplikowania skutecznego ciosu i t. p. Na

Ale na tem nie zasnęła myśl wiernego sługi króla. Stałym mieszkańcem zapragnął osiedlić tę połączoną Tameri. Sam bowiem żołnierz nie wystarczał do należytej ochrony nadgranicznego pasu; zbyt to był chwilowy element, zbyt lotny i bezdomny. Tu trzeba było oparcia się na osiedleńcach stale związanych z ziemią, nie zaś człowieka, który nigdzie nie miał domu, gdyż miał go wszędzie, dokądkolwiek tylko rzucił go los, zamknięty w rozkazie oficerów Jego Majestatu.

Takiego jednak mieszkańca nie było. Związany z rolą Egipcjanin, nie myślał iść na bagniska Jarimuty; pasterstwo zaś owiec — miał zawsze w stałej pogardzie. Myśl więc państwa Janhamu, przedłożona Jego Majestatu, na trafiała na nieprzewidywane przeszkody, gdy przyszło ją wykonać.

Gdzie Egipt mieczem nie rządził, tam wpływ swój zakładał przymierzem. Mądra jego polityka nie szukała związków przyjaźni i krwi wśród samych największych. Gdy równy z równym kojarzy się i łączy społem — jedną ma zawsze rękę w jego prawicy, ale drugą opiera na czujnym mieczu. Gdy mocarz natomiast słabszego nakłoni ku sobie, prawem rzeczy dostaje w nim wiernego sługę pod mianem brata.

Pisał Amenhotep III. do króla Mitanni, Tuszraty. Żona mu bowiem umarła, umiłowana Giluhpa, córka Szuttarny, Tuszraty siostra. Syna mu tylko jednego dała, odchowała na młodzieńca — i umarła. Prosił więc o Taduhipę, córkę Tuszraty.

Życzliwie spojrział Tuszratą na prośbę. „Kiedy brat mój — tak pisał — wysłał swego posła Mane, rzekł brat mój jego usty: „Daj mi córkę za żonę, będzie królową Egiptowi“. A ja nie zasmuciłem serca mego brata i odrzekłem przyjaźnie: „Niech się stanie wedle twojej woli!“ I tę której pragnie brat mój, tę pokazałem Manemu, a on się jej przypatrzył: a ujrzawszy chwalił ją bardzo. Niechże więc jedzie w zdrowiu do kraju brata mego. Isztar i Amon niech sprawią, by się bratu memu podołała!“

I podobała się Taduhipa księciu Mimmurja, który w Majestacie swym nosił imię Amenho-

tepa III. Gody weselne odprawił bogate, lecz żył z nią niedługo: zgasł duch Amona w jego piersi i odszedł ciałem do ojców.

Był rok 1875.

Zachwiała się moc Egiptu, gdy wstąpił na tron Amenhotep IV. Amon nie odżywał już piersi młodego faraona; wzgardzony i wywołany w kraju, schronił się w mury świątyni tebańskiej. Duszą króla targwały dziwne myśli: bogów istnieniu zaprzeczył, Boga jednego chciał dać ludowi. Nie w postaci go widział widomej, lecz w bezmaterjalnym promieniu słonecznym. Atonem go nazwał. Wydarł go jednemu Egipcjowi; bogiem go świata ogłosił. Nawet Nubjów czarnoskórych, nawet parszywych owczarzy Habiru, nawet barbarzyńców. Po bracie wziął koronę i żonę, Taduhipę młodszą, też samą siostrę Tuszraty: lecz z niemi nie wziął ducha, nie wziął wiary starej praocjów. Nową wiarę tworzył. Imieniowi nawet zaprzeczył własnemu i Echnatonem się przezwiał. Nie chciał bowiem być więcej wcieleniem Amona, lecz odbłaskiem się sądził pokornym promienia słonecznego, odbłaskiem Jedyne Boga.

Zapłakał Amon, zaburzyła się świątynia. Młody król gwałtem wydierał jej tajemnice. W motłoch niósł niedoroslą, co dotąd wiedzieli kapłani. Więc Amon zapisał mu zemstę. Nieruchliwy, ale sprawiedliwy, — siedział w ukryciu tebańskich murów i czekał. Czasem tylko stał posły po swoje między lud, czasem szemrał przeciw nowinkom. Nie ostrzył jeszcze jawnie domowego miecza: czekał. Wiedział, że oczy lepiej pamiętają, niż uszy; nie trwożył się tedy swych posągów burzonych, nie lękał się nowego, bezcielesnego, w słowie lotnem żyjącego rywala. Cekał tylko...

A młody król szalał. Budował kościoły nowego Boga, w Egipcie, w Azji, w Nubji. Stare uciskał. Zakazał bogom się kłaniać, ich imiona wymazał z ścian świątynnych. Chciał je wymazać z serc ludu.

Siedział Jego Majestat w Achet-Atonie, mieście nowego Boga, które zbudował naprzekór starym Tebom. Siedział wśród palm licznych i trzech świątyń słońca i lutnię dzierżył w ręku milczącą. Małżonka jego ukochana, Taduhipa, wiekiem rówieśna, kwiecie mu wonne sypała, dworacy z umiłowaniem i podziwem wyglądali słowa jego ust, a on dumał.

Gwiazdy już nie miały czem świecić. Jedna jutrenka byszczła jeszcze, ale rzadniała zwolna i pęzła. Za górami rumienity powoli niebo purpurowe poblaski, jakby półkregiem rzucane na obłoki strzały, pojedynczo farbujące krwią ich szarość na targanym granacie firmamentu. Błęd zwolna horyzont, w niebieską rozrzedniał się barwę. Przybywało promieni. Z czerwoności przelewały się w złoto, wiązały się już w całe snopy. Aż za niemi ukazało pierwszego rąbka oślepiającego półtarcze słoneczne.

Słońce wstało.

Śpiewał mu młody król powitanie. Uderzył w struny, lutniści zawtórowali zgraniami tonami. A w miarę kołysania się melodji, mieniła się twarz królewska. Zachwyt z niej bił i natchnienie. Lutnie grały arję wolno, poważnie. Wstał król mówić począł, a pod rytmem tonów podkładało się słowo jego ust.

Śpiewał Echnaton. Potężne łuki marszczyły wysiłkiem mózgu czoło faraonowe.

Wstajesz prześliczna z poza niebios końca,
Ty pierwsze życie, żywa tarczo Słońca!
Na wschodzie wstajesz, wzbijasz się w południe
I świat swym pięknem napelniasz przeczudnie.
Wielkieś jest Słońce! Cudne w blasku złocie!
Wysoko świecisz, lecz każdej istocie!
Dla wszystkich płoniesz jednako na niebie,
Boś ty jest wszystkim i wszystko jest z Ciebie!
Promienia Twego jeden kraj nie spię
I jeden lud miłości Twojej nie zmoże:
Te żyją wszędzie! Wszystko niemi żyje!
Każdej krainie jesteś Bogiem, Boże!

Zmilknął na chwilę król, w groźne i smutne uderzył struny. Cisza i zadumanie napięły czoła dworu. I znów odezwał się hymn podjęty.

Gdy gaśnie słońce i noc rzuca cienie,
Z nor na świat pełźnie zło, śmierć i zniszczenie.

rozkaz: „Krok wstecz z wypadem — raz“! — musi po każdym ruchu wypadowym nastąpić albo powrót do układu szermierczego (en garde), albo jeżeli zachodzi potrzeba — do układu zasadniczego, dając równocześnie pół-apel.

f.) Wypad wstecz.

Na rozkaz: „Wypad wstecz — raz“! — pozostaje prawa noga w miejscu, lewą zaś cofa się i wypręża wzdłuż linii bojowej, wstecz do pozycji wypadu.

Na rozkaz: „Układ — raz“! — podnosi się i cofa wstecz do układu. Następuje pół-apel.

g.) Skok w przód (wstecz).

Na rozkaz: „Skok w przód (wstecz) — raz“! — zgina się obojdw kolana, przysiadając nieco (przyczem należy pamiętać o utrzymanie tułowia w równowadze) a wzniosłszy się na palcach stóp do góry i wyprężywszy nagle nogi w stawach kolanowych, skacze się w przód lub wstecz, przenosząc równocześnie ciężar ciała nieco na nogę prawą, na odległość jednego kroku.

Skok dokonany oznacza się pół-apelem.

h.) Skok w przód z wypadem.

Na rozkaz: „Skok w przód z wypadem — raz“! — wykonać skok w przód w połączeniu z wydatnym wypadem.

i.) Przysiad.

Na rozkaz: „Przysiad — raz“! — szermierz powstaje i dając pół-apel, przybiera układ szermierczy.

j.) Ustęp.

Na rozkaz: „Ustęp — raz“! cofa szermierz prawą nogę obok lewej pięty wstecz na wygodne oddalenie i opiera silnie na ziemi; następnie napręża w kolanach obie nogi. Na rozkaz: „Układ — raz“! — wraca do układu szermierczego.

Uwaga: Ustępu używa się, jeżeli podczas walki dla braku miejsca lub odpowiedniego czasu zmuszeni jesteśmy cofnąć się od przeciwnika na długość układu szermierczego wstecz, by ująć przed jego ciosem, nie pozabawiając się okazji użycia odciosu (riposty).

Powrót do układu zaznacza się pół-apelem.

k.) Zwrot.

Rozkaz: „W prawo (lewo) — zwrot“! — Nakazany zwrot wykonuje się na końcu lewej nogi, nie zmieniając przytem układu szermierczego.

l.) Doskok.

Rozkaz: „Doskok w prawo (lewo) — raz“! — Szermierz stawia rzutem prawą nogę w bok na prawo (lewo) i ku przodowi na długość zwyczajnego kroku i wykonuje na końcu tejże zwrot w prawo (lewo) wstecz, łącznie stawia lewą nogę na odległość, przepisana w wypadzie.

Na rozkaz: „We front“! — przybiera pierwotną pozycję.

m.) Skłon.

Rozkaz: „Skłon tułów wstecz“! — Szermierz przechyla się tak wstecz, by wyprę-

żona prawa noga i tułów tworzyły jedną ukośną linię.

n.) Podchód. (według G. Hergsella).

Rozkaz: „Podejdź — raz“! — Nie zmieniając pozycji lewej nogi, przysuwa się ją na linii bojowej do za piętki nogi prawej a prawą w przód do układu szermierczego.

o.) Odwrót.

Rozkaz: „Odwrót — raz“! — Prawą nogę przysuwa się od lewej pięty, następnie lewą nogę (nie zmieniając pozycji) cofa się do układu szermierczego.

p.) Podchód wołta. (G. Hergsell)

Rozkaz: „Podejdź wołta — raz“! — Lewą nogę stawia się przed końcem stopy prawej a następnie prawą na linii bojowej do pozycji układu.

r.) Odwrót wołta.

Rozkaz: „Odwrót wołta — raz“! — Prawą nogę stawia się za za piętką lewej nogi a lewą na długość gardy wstecz.

Powyższe ruchy zalecam ćwiczyć z układu w lewo również pilnie, dokładnie i wytrwale.

Należyte wyrobienie jak największej biegłości w wykonaniu powyżej wyszczególnionych ćwiczeń ciała jest zadaniem każdego; kto sztukę szermierczą sobie przyswoić postanowił. Ponieważ utrzymanie równowagi tułowia jest rzeczą w szermierce bardzo ważną, dlatego ćwiczenia te należy dopóty przerabiać, dopóki czuje się nieudolność.

c. d. n.

Z jaskiń lew głodny sunie łupu śladem.
Gad lichy kaszę śmiercionośnym jadem —
A ziemia milczy, milczy mrok ponury,
Bo Stwórca odszedł za morza, za góry.

Nagle struny lutni królewskiej zagrały rytmem spieszającym się, rwanym, radosnym. Wesołe im akordy towarzyszyły we wtórze. Coś radosnego zdawała się głosić melodia: było w niej tętno i żywa pieśń życia. Jasności blaskiem świeciła młoda, zapaleńcza, marzycielska twarz faraona. Śpiew jego brzmiał głośniejszy, potężniejszy:

Lecz znowu ziemia jaśnieje, gdy wschodzisz na krańcach niebiosów.

Ciemność ucieka płochliwa grotom Twych ogni ścigana.
Roi się kraj Tameri od modlitewnych głosów,
Od rąk witających radośnie Stwórcę swojego i Pana.
Kraina cała do pracy się zrywa,
Dzikie po polach harczą zwierzęta.
W rozłogach krówka ryczy szczęśliwa
I drzewa kwitną i krzaki.
Kwiecia po łąkach farbami się stroją,
Broją ptaszęta po niebie
I dziobków tłumem i skrzydełek szumem
Radośnie się modlą do Ciebie.
Skaczą owieczki wesołe po ziemi,
Cieszy się ich rzesza kudłata —
I wszystko co chodzi i wszystko co lata
Żyje — bo Tyś jest nad niemi!



Ilustracja do powieści: rzekł Pan do Mojżesza (Echnaton śpiewa)
rys. Władysław Gościński

Nilem wdół płyną okręty i płyną naprzekór fali;
Drogi wszystkie otwiera, promień Twojej jasności —
O Słońce! Ryby przed Tobą skaczą w rzece z radości —
Twój blask głąb oceanów przenika i w głębi się pali.
Tyś Bóg, co człeka w łonie niewiast stwarza,
Tyś Bóg, co męża nasieniem obdarza.
Dzieci obudzasz żywe w matek płodzie,
W płaczu utulasz, karmisz je o głodzie —
A kiedy wreszcie nurt potoku godzin
Nadniesie chwilę dziecięcia narodził —
Usta otwierasz mu, by przemówiło
I sił użyczasz, by rośło i żyło.
Kurczęciu w jajka śpiącemu ukryciu,
Ty oddech dajesz i formę ptaszyny —
A kiedy pełnię tchu potrzebną życiu
Zyszcze — i zdoła zdruzgotać łupiny —
Rzuca skorupy i w tej samej chwili
Już biega wkoło i już żeru kwili.
Stworzyłeś ziemię za serca przyczyną —
Ludźmiś ją posiał, stadami, zwierzyzną.
I to co chodzi, co fruwa, i lata —
I kraje Nubji, Egiptu i Syru —
Wszystkieś pomieścił na przestrzeni świata,
W cieniu swej łaski, opieki i miru.
Każdy ma pokarm, ma swój czas istnienia,
Każdy ma język — słów odmienny strojem
I barwa skóry go od innych zmienia —
Boś tak podzielił świat pod berłem swoim,
Daleś, by trysnął Nil z podziemnych biegów
I karby jego prowadziłeś brzegów,
Aby przy życiu utrzymał dziedziny,
Któreś Ty stworzył, Ty — ich Pan Jedyny!
W nich jesteś Bogiem wszelakiego bytu!
A kiedy słońce podniesie się z świtu
I gdy południem zapali swe strzały —
Ty w niem ożywasz ludzie i świat cały.
Deszcz osadziłeś w chmurach mądry Boże
I z kropel jego ziemski Nil narasta
I fale miota po górach, jak morze
I ludzkie pola użyźnia i miasta,
Mądrość ogromna w Twoich planach błyska,
Deszcz barbarzyńcom oblewa zagony
A Egiptowi Nil z pod ziemi tryska
I mulem tłustym pomnaża mu plony!

Tyś pory roku zaznaczył i dzieje
Zimy, co chłodzi i lata, co grzeje —
I nieboś stworzył, aby niebios skłonom
Wschodzić i cieszyć się dziełem stworzonym.
Niegdyś sam byłeś. Lecz gdyś blaski rzucił
Na postać swoją jako żywe słońce
I kiedyś wzeszedł, zapadł i znów wrócił
I znów się ubrał w promienie palące —
Z samego siebie wywiodłeś mirjady:
Miasta, wsie, drogi, plemiona i rzeki
I w Ciebie patrzają Twych dzieciąt gromady —
I w słońcu Twojem szukają opieki...

Umilkł faraon. Ścichła jego lutnia, uwiła bezładnie z ramieniem. Milczał dwór. Jeni Taduhipa patrzyła miłośnie na męża.

Pisze kończyli pośpiesznie spisywać słowa królewskie.

Mijały lata. Niosły żyzne muły pod posiew idących już dni zemsty Amona. Długo nie było znać na czyją stronę patrzyło zwycięstwo; teraz, coraz srożej piekła Egipt krzywdą jego starego Boga.

Mniej już statków chodziło po Nilu. Mniejszy pieniądz spływał w kasy królewskie, mniejszy niewolnik obrabiał jego pola. Lenne państwa Wschodu corazto bardziej skąpiły powinnej daniny: tu i ówdzie patrzyły na zrzucenie faraonskiej obroży. W kraju lud szemrał głośniejszy. Tego roku dżdżu z nieba nie miał, a role spustoszały od upalenia i posuchy, bo i Nil poskąpił wylewu.

Są lata żelazne i rzeczy skaliste, twarde i trudne, których nie lada jako pożyć; wóczas wszystko idzie, jakby kował z kamienia. Król nie bał się upalenia roli: bogate miał spichrze. Nie dbał o bunt, bo wojsko miał wierne, poddane komendzie panów swego dworu.

Bolało go zimno serc, wężyna głów, niezrozumienie. Usta głupich bluzgały sprośność ra to, czemu on kwiat wieku poświęcił. Lat tyle o Bogu mówił ludowi: teraz w obliczu klęsk, lud jawnie Amonowi się korzył i błagał jego gniewu. Pustoszały wspaniałe domy Atona; starzy kapłani nadywali się znów jak piana na morzu. Nowe więc budował król świątynie, lud do nowego boga kusząc ich blaskiem. Nadarmo. Więc patrzył sam na wspaniałe ich mury, których treść równie wspaniałą chciał prześiać w serca.

Próżno się gumnem cieszy gospodarz, gdy zboża perzawi mu wschodzą.

A tymczasem rośła znaczeniem mądrość i osoba Janhamu.

Śmierć dawnego pana i przyjście nowego — nie objęły mu wzięcia u tronu. Równie potrzebny dla obu — u obu pozostawał w jednakiem łasce. Co więcej: umiało się nawet to zachowanie, im bardziej Egipt słabiał. W obliczu klęsk i niepowodzeń państwowych, nieodzowne się stały mózg i ręka tego syryjskiego statysty.

Spływały nań corazto nowe godności cywilne i wojskowe. Przyjaciele i wrogowie stwierdzali nie tylko jego wyjątkowe znaczenie, ale i cnoty. Milkili, rebeljant syryjski i wróg osobisty Janhamu, w listach do faraona mówili zawsze o nim, jako o znawcy stosunków syryjskich. Toż samo czynił Szwardatu. Syryjskie miasta w korespondencji z królem, oddawały swemu „rabiszu“ wyjątkowy hołd. „Nie masz królu służy nad Janhamu, wiernego służy króla“ — pisały. Syn Azirusa uskarżał się tylko, że namiestnik nadużywa swego wzięcia na dworze; uskarżano się niekiedy jeszcze na jego politykę kunktatorską i wyzysk: zresztą, samymi pochwałami i zapewnieniami o jego wierności, zasypywano faraona. „Janhamu jest wiernym sługą królewskim i prochem stopy faraona“. Tak pisał Sipti Baalu i podobnie mówili o nim wszyscy.

To też wielkość wpływów Janhamu sięgała ujemal wszechwładzy. Pierwsze rody Tameri zabiegały o przyjaźń jego serca. Pierwsze córki królestwa marzyły o przemazaniu dziewczęcią krwią swych jestestw, zamkniętych w panińskim imieniu. Długo wahał się Janhamu w wyborze, aż wreszcie król wybrał mu towarzyszkę. I utopiła swe imię rodzinne w morzu imienia pierwszej małżonki Janhamu, piękna Asenath, córka arcykapłana z Achet Atonu.

Janhamu dosięgał szczytów swej chwały. Z królem przejeżdżali się raczej, niż rozumie. Idealistyczny genjusz Amenhotepów, prze-

raśla o wiele Janhamę bystrą ścianą dalekiego spojrzenia w oblicze prawdy wieków; ogromny atoli rozumem medrca i orlą siłą pety — żył on bezzadnością dzika w rzeczach codziennych państwa. Polityka, wyrachowanie taktyczne, bi-głość celnego spojrzenia na rzeczywistość praktyczną — to nie była dziedzina królewska: bezsilny czuł się Amenhotep w tych gmachach, zakładanych na fundamencie kłamstwa, krzywdy i krwi. Janhamu — wyżyn królewskich nie dosięgał: domyślał się raczej ich wielkości, przecznwał treść: ale w każdym dziele praktycznym był mistrzem. Amenhotep prześcignął o wiele dni swojej epoki: Janhamu w niej tkwił, rozumiał doskonale dzisiejsze oś, dbał o najbliższe jutro i starał się je formować, na kształt celowych swych ideałów praktycznych, przewidującego męża stanu.

(Niniejszy fragment jest prologiem eposu, osnutego na tle wyjścia Żydów z Egiptu.

Powieść ta wspólnego pióra T. Zadereckiego i Józefa Bieniasza — w opracowaniu.

Nowości wydawnicze.

Biuletyn Tygodniowy nowości otrzymanych na skład przez centralę dla bibliotek, Księgarnię Tow. Szkoły Ludowej. Lwów, Batorego 32.

Bystron Jan St.: „Uspołecznienie szkoły“, Warszawa — M. Arct. str. 106, 4 zł.

Chodak Edmund: „Psychologia a nauka o wychowaniu“, Częstochowa — A. Gmachowski. Str. 320 8 złotych

Dromlewiczowa Zofja: „Dwaj chłopcy z filmu“, Powieść dla młodzieży. Z ilustracjami. Warszawa — J. Przeworski. Str. 228. 4 zł.

Filar Władysław Dr.: „Jan III zbawca Wiednia“, Lwów. Obywatelski Komitet obchodu 250 rocznicy odsieczy wiedeńskiej. Str. 36 z ilustr. i mapką, 50 gr.

Flis Łukasz: „Drzwi uchylone“, poezje. Warszawa. F. Hoesick. Str. 188 — 4 nlb. 5 zł.

Gentile Giovanni: „Źródła i doktryna faszyzmu“, tłum. H. Mirecka. Warszawa. F. Hoesick. Str. 52 — 2 nlb. 4 zł.

Hughes T.: „Szkolne lata Tomka Browna“, Powieść dla młodzieży, w oprac. Wł. Wielińskiej, z ilustr. Zuli Szretterówny. Warszawa. Str. 248. 4 zł.

Ilfi Ilja i Pietrow Eugenjusz: „Złote ciele“, z rosyjskiego przełożył Adam Laterner. Warszawa, Wydawnictwo Współczesne. Str. 495. 16 zł.

Konar St. Dr., E. Rybarz i Szczepański Dr.: „Górny Śląsk“, Nakł. Okręgu Śląskiego Związku Obr. Kresów Zachodnich. Str. 198 — 2 nlb. 2 zł. 50 gr.

Kończyc Tadeusz: „Sielanka“, poezje. Warszawa, F. Hoesick. Str. 84. 4 zł.

Kotarbińska Lucyna: „Z za kulis teatru“, wspomnienia i refleksje. Warszawa, F. Hoesick. Str. 248 — 2 nlb. z ilustr. 8 zł.

Kowska Ewa: „Wiersze nienawiści“, poezje. Warszawa. F. Hoesick. Str. 72. 4 zł.

Krahelska Halina i Pruss Stefan: „Życie bezrobotnych“, Badania ankietowe. Warszawa, Instytut Spraw Społecznych. Str. X — 110. 4 zł.

Kraszewski J. I.: „Rzym za Nerona“, Obrazy historyczne opracowane dla młodzieży. Lwów, Państwowe Wydawn. Ks. Szk. Str. 240 z mapką, 2 zł. 80 gr.

Lutosławski Wincenty: „Jeden łatwy żywot“, Warszawa, F. Hoesick. Str. VIII — 352. zł. 50 gr.

Majewski Kazimierz: „Kultura Ajgajska“, Lwów. Biblioteka filomaty nr. 5 str. 304 z mapkami. 5 zł. 25. gr. (dla pren. 4 zł.)

Mostowicz Dołęga Tadeusz: „Bracia Dalczy i Ska“, tom II. Warszawa. Rój. Str. 264. 7 zł.

Orczy Baronowa: „Mariusa“, powieść. Warszawa. Piomień. Str. 320. 7 zł.

Ostrowski — Hofmokr: „Sprawa Marysi“, z pamiętników adwokata t. XXI. Warszawa. Str. 172 — 4 nlb. 2 zł.

Roth Józef: „Rodzina Bernheimów“, powieść. Lwów, Globus. Str. 260 — 6 nlb.

Sidney Filip: „Obrona poezji“, przełożył — pem opatrzył Jan Świerżowicz. Lwów, Biblioteka Filomaty t. 9—10. Str. 108. 3 zł. (Pren. 2 zł.)

Sinko Tadeusz: „Hellada i Roma w Polsce“, Przegląd utworów na tematy klasyczne w literaturze polskiej ostatniego stulecia. Lwów, Państw. Wyd. Ks. Szk. Str. 398 — 2 nlb. 7 zł. 80 gr.

Suikowski Tadeusz: „List do dnia“, poezje. Warszawa, F. Hoesick. Str. 46 — 2 nlb. 2 zł. 50 gr.

Volpe Gioacchino: „Rozwój historyczny faszyzmu“, tłum. H. Mirecka. Warszawa. F. Hoesick. Str. 75 — 2 nlb. 5 zł.

Dział gospodarczy.**O rzemiośle słów kilka...**

Z rozkwitem rzemiosła, jako jedynej gałęzi wytwórczej przedrozbiorowej Polski, rosły miasta dawnej Rzeczypospolitej, rósł dobrobyt i bogactwo, a z nim krzewiły się nauki i sztuka. —

Rzemiosło wraz z kupiectwem, posiadającym odrębną organizację, wytworzyło bardzo silny ekonomiczny stan mieszczański.

Wszelkie gałęzie rzemiosła, a przede wszystkim dział budowlany, rozrosły się na szeroką miarę. Wznoszono okazałe budowle, domy, pałace, świątynie, przy których rzemieślnik rozwijał swoje zdolności zawodowe, wyrabiał artystyczny i smak estetyczny oraz gust, wytwarzał rodzimy styl — z dążeniem do uwiecznienia swych „arcydzieł“ i przekazania swego imienia potomności. Niemniej fortuny

rzędzi, nie było kapitału zakładowego, obrotowego ani też podostatkiem potrzebnego materiału, rzemieślnik polski spełnił swe zadanie, bo choć głodny i obdarty, utrzymał się przy warsztacie. Czasy inflacji markowej przyniosły chwilowe ożywienie i ulgę, w konsekwencji jednak nie dźwignęły rzemiosła na poziom należyty, a dwukrotna stabilizacja złotego w stosunku do dolara, zepchnęła rzemieślnika do poziomu z przed inflacji. — Odtąd datuje się coraz głębszy upadek rzemiosła. — Kryzys ekonomiczny poczynił takie spustoszenia w życiu gospodarczym Polski, że nie pominął również i rzemieślnika. — Drożyzna lokali przemysłowych, wadliwy system podatkowy, nadmierne świadczenia społeczne, brak kapitału obrotowego, niemożność otrzymania zdrowego kredytu, tem samem nie-

OD DZIŚ KUPUJEMY**RĘCZNE WYROBY POLSKIEGO RZEMIEŚLNIKA
A NIE FABRYCZNĄ TANDETE.**

rodzin rzemieślniczych rosły jak na drożdżach, gdyż „oszczędność i praca ludzi wzbogaca“.

Supremacja szlachty na niekorzyść miast, spowodowała upadek tychże a temsamem i zubożenie stanu rzemieślniczego, jednakowoż nie w tej mierze, aby stan ten podpadł zupełnie. Cofnął się on jedynie w swojej możliwości i kulturze. Z ustaniem niepodległości Polski stan ten podpadał dalej, ustępując miejsca obcym żywiołom oraz rozwijającemu się coraz bardziej przemysłowi fabrycznemu.

Wojna światowa wyludniła warsztaty rzemieślnicze do cna — tak, że z odzyskaniem niepodległości, musieliśmy zabrać się do ich odbudowy od podstaw. — Ożywiły się i zaludniły pracowitym ludem warsztaty pracy by na gruzach stworzyć nowe życie i przyczynić się do odbudowy Całości — I jakkolwiek brakowało maszyn i na-

możność produkowania na zapas, brak eksportu, konkurencja ze strony fuszestwa i Zakładów Karnych, niesprawiedliwy rozdział dostaw dają się dotkliwie odczuwać rzemiosłu prowincjonalnemu, a ogólnie zubożenie społeczeństwa przyczyniło się do zepchnięcia rzemieślnika na dno nędzy. I tylko niespożytej sile żywotnej tej klasy, ruchliwości, zapobiegliwości i zupełnemu ograniczeniu stopy życiowej aż do wyrzeczenia się najprymitywniejszych potrzeb, oraz niezłomnej woli przetrwania — rzemieślnik hardo stoi przy próżnym warsztacie, goły, biedny, głodny i obdarty i czeka lepszych czasów, wierząc niezłomie, że one przyjdą muszą i przyjdą.

Czem jednak trwa i wegetuje rzemieślnik — zajmujemy się w następnych numerach.

JOTES.

Patriotyzm Izydora.

nicze — wydzierżawił na miejscu spory pensjonat.

— Pan wie, co to nasz Bonifacy? — zagadywał tego i owego z tajemniczą miną. — To jest taka woda, że wszystkie kamienie żółciowe, nerkowe, żółdkowe i jakie tylko są, muszą być kaput! To ci woda, jakiej nie ma na całym świecie! Kto chce żyć długie lata i nie cierpieć na takie paskudztwo, temu pomoże jeden tylko Morszyn! I Bonifacy, taki rok na mnie!...

Istotnie przez szereg lat jeździli oboje pp. Izidorowie tylko do Morszyna, gdzie ineteres świetnie prosperował, bo zjazd gości był zawsze znaczny. Przyjeżdżali tu nie tylko swoi, ale i obcy, nawet goście z Ameryki, bo cudowny Bonifacy sprawiał u wszystkich spustoszenia w kamieniach. Pomagał też na otłóść, gdyż z wszystkich grubasów robił wkrótce zgrabnych, wysportowanych młodzieńców. P. Izidor był rozkochany w tem niezwykłym źródle, nad które nie było w całym świecie lepszego. — On pierwszy zrządził na marnotrawienie wody przez kuracjuszy, tłumacząc w Komisji Zdrojowej, że gdyby to od niego zależało, wydawałby Bonifacego na kila, nawet na deka. Bo taką wodę trzeba szanować, trzeba nawet kochać!...

Najbardziej drwił p. Izidor z tych, którzy wyjeżdżali jeszcze do zagranicznych źródeł. O Nauheimach, Reichenhallach oczywiście nikt z jego znajomych nie chciał ani słyszeć, ale byli jeszcze tacy głupcy, którzy szukali szczęścia gdzieindziej, gdy tu, u siebie mieli takie nadzwyczajności. Każdemu też udowadniał gorąco, że popełnia ciężką zbrodnię i na sobie i na kraju, wywołując drogie pieniądze do obcych.

Ale jednego dnia poczuł p. Kaczka, że mu coś mocno dolega w żołądku. Początkowo myślał, że to niemiłe uczucie jest tylko chwilową niedyspozycją, ale gdy bóle się spotęgowały i stały się szarpające, udał się do lekarza, gdzie się dowiedział z największym przerażeniem, że on sam ma też kamienie żółdkowe. P. Izidor pobladł śmiertelnie, bo słyszał, że

na kamienie można także umrzeć i błagał lekarza o trafną ordynację.

— Niech pan pojedzie do Morszyna, to będzie po kamieniach — poradził lekarz.

Po powrocie do domu chory popadł w głęboką zadumę. On wiedział wprawdzie, że morszyński Bonifacy dokazuje cudów, on nawet w to głęboko wierzył, ale pamiętał równocześnie, że jego ojciec jeździł na kamienie zagranicę, skąd wracał w pełni zdrowia i sił. Wprawdzie jego ojciec nie był patriotą i nie wiedział co to bojkot, ale zagranica mu pomagała.

Włóczęg się bezkarnie po ulicach Rykowa, radził się znajomych i krewnych, przestudjował całą literaturę o skuteczności Bonifacego i o jego wskazaniach leczniczych i spakowawszy manatki, udał się do biura „Orbis“.

Stojąc w ogonku przy kasie biletowej, p. Izidor słuchał, jak żądano biletów do Krynicy, Żegiestowa, Truskawca, Iwonicza, Rymanowa, ale najwięcej go cieszyło, gdy żądano biletów do Morszyna, gdzie miał przecie w dzierżawie wielki pensjonat.

Sam jednak, stanąwszy przed okienkiem, pomyślał — Sicher ist sicher — i zadysponował głośno i chępliwie:

— Proszę Karlsbad II. klasa!...

Banany, banany...

— Banany, banany! Kupujcie banany! Tanie, świeże, słodkie, sztuka jedna 40 groszy!...

Na rogu trzech ludzi: jeden bez ręki, drugi bez nogi a trzeci ciemny. Kaleki, wojenni inwalidzi... Twarze ziemiste, wynędzniałe, oczy zgaszone. Śpiewają na głosy melodje tak smętne, jak smętne zapewne ich biedne, skołatanе dusze. Nastawiają czapki, kapelusze, kulaki.

— Pięć groszy dla nieszczęśliwych!...

Promenują strojne tłumy. Panowie, panice, panie, panienki. Grubi i wysmukli, starzy i młodzi, przystojni i sprośni. Krzyk, gwar, plotki, żywe rozmowy, ożywienie.

— Banany, banany! Sztuka 4 szóstki!...

Zasapana, sprośna gęba zatrzymuje się na chwilę, wsuwa grubą, mięsistą dłoń do tylnej kieszeni od spodni i wyciąga garść brzęczącej monety.

— Trzy sztuki dla mnie!...

Targa łupinę, ogląda, bierze do ust, mlaska.

— Dobrze to?

— Wyborne!...

— Pięć groszy dla staruszka — szepczą zbiele usta siwiutkiego nędzarza, ledwie trzymającego się na nogach.

Sprośna gęba przestaje mlaskać, patrzy z pogardą, z wyższością i sunie naprzód. Za nią panowie i panice, panie i panienki, wyszminkowane, wyperfumowane, szeleszczące jedwabiem, strojne, roześmiane. Jedzą banany. Prawdziwie gdyńskie, smakowite, egzotyczne. Podobno nawet z nad Jordanu. A tanie, że tylko kupować. Regulują świetnie żołądek.

— Grosza, jednego grosza dla biednej matki — lka kupka rozdygotanych łachmanów.

Zawodzą inwalidzi niezmordowanie, staruszek usunął się pod witryny sklepowe, kupił łachmanów przycupnęła skulona pod latarnią. Ale elegancki tłum nie widzi. Sunie rozbawiony, roześmiany, syty, zadowolony. Nikt nie znajduje grosza, ani pięciu.

— Nieznośne żebractwo — burczy kwadratowa jejmość

— Banany, banany! Świeże, Słodkie, za jedyń 40 groszy!...

I tłum kupuje. Handel idzie.

W swoim „Tierleben“ pisze Brehm, że świnia jest naogół stworzeniem mało wybrednym, lecz jeśli w czem zasmakuje — nic i nikogo nie widzi. Popularny pisarz niemiecki dobrze to jednak zaobserwował.

I. GNIEWOSZ



B. J.

Nikt z mieszkańców ulicy Kurzej, ba — z całego nawet Rykowa nie wątpił ani na chwilę w ogromny patriotyzm p. Izydora Kaczki. — Tak jest P. Izidor był wielkim patriotą, o czem świadczyła choćby zmiana nazwiska. Przyjechawszy z Berlina, pokazywał jeszcze bilety wizytowe z napisem Isidor v. Ente, co wskazywało na jego arystokratyczne pochodzenie, mimo że małe v. było bardzo dyskretnie schowane. Tu przezwiał się poprostu Kaczką, Izidorem Kaczką! Początkowo chciał naprawdę być Kaczyńskim, Kaczowskim, Kaczorowskim, ale że mu w tem robiono trudności a przytem końcówka ski nie była dość dobrą legitywacją polskość — zdecydował się na Kaczkę, bo to miało niewątpliwie mazurskie zacięcie.

Gdy w kilkanaście dni po przyjeździe do Polski wykryto u p. Izydora tajny magazyn z zapalniczkami niemieckiej fabrykacji, całe miasteczko aż się zatrasało od tej niesłychanej wiadomości, która zadawała kłam uczuciom patriotycznym p. Izydora. On jeden tylko zachował niezmacony niczem spokój a sprowadzony do Urzędu skarbowego, tak rzecz wytłumaczył:

— Przecież ja te zapalniczki kupiłem jeszcze przed bojkotem towarów niemieckich i zapłaciłem dolarami! Bitemi dolarami! Nie sprzedając, bojkotowałbym sam siebie a który kupiec pójdzie na taki interes!...

Gdy p. Kaczkę przyłapano w miesiąc później na szmuglu tego towaru przez zieloną granicę, on wzruszył tylko ramionami.

— Nu, to towar od mojego szwagra a czy można bojkotować krewnego? Taki rok na mnie że nie można!

Oprócz galanterji, miał p. Izidor w dzierżawie pensjonat w Morszynie. Ze wszystkich zdrojowisk upodobał sobie właśnie i Morszyn a już najwięcej morszyńskiego Bonifacego. — O cudach tego źródła nasłuchiwał się jeszcze podczas swojego pobytu na obczyźnie, to też po powrocie do polskiej ojczyzny, pierwszy powziął myśl propagowania tego zdrojowiska a wierząc w jego cudowne właściwości lecz-

Święto polskiej placówki kulturalnej we Lwowie.

W zeszły poniedziałek, 25 września b. r. obchodziło kino „Chimera” wielki swój sukces i swoje święto. Zasłużona ta bowiem polska placówka kulturalna przeszła z dniem tym na t. zw. kino „zero-ekranowe”, t. j. stała się teatrem świetlnym pierwszorzędnym, wyświetlającym filmy niegrane dotąd nigdzie we Lwowie.

Premjera filmu „Dzika dziewczyna”, produkcji Foxa, reżyserji J. F. Dillona, z Clara Bow i Gilbertem Rolandem w rolach tytułowych, rozpoczął się nowy sezon tego sympatycznego kinoteatru. Film pomyślany mądrze i głęboko, nagrany doskonale i pod względem aktorskim zrealizowany pierwszorzędnie — jest ciekawą kombinacją momentów pogodnych, czasami niemal humorystycznych, z tragicznymi i wstrząsającymi do głębi; Clara Bow znalazła też w nim doskonałą kanwę dla swej nowej, wybornej kreacji.

Korzystając z niecodziennej okazji, udajemy się do dyrektora kina, by dyr. Maciulskiemu złożyć gratulacje i dowiedzieć się o jego zamiarach na przyszłość. Choć przemęczony pracą, ale widzący i ożywiony świetnym sukcesem premjery, dyrektor Maciulski zgadza się chętnie na wywiad, więc zaczynamy:

— Przemiana obecna mego kina na pierwszorządne, leżała oddawna w moich planach. Mimo bowiem wyjątkowo ciężkich czasów, jakie przeżywamy, co — rzecz jasna — pociąga za sobą znacznie wzmożoną skalę ryzyka — zachęcały mnie po temu trzy rzeczy: położenie mego kinoteatru przy ul. Akademickiej, życzliwość publiczności, jaką swą pracą zdołałem zdobyć i corazto jaśniej uwidaczniające się sukcesy mojej aparatury w ścisłym związku z akustyką sali. Toteż, gdy dziś jeszcze udało mi się nawiązać stałą współpracę z firmą dającą gwarancję wyjątkowego poziomu produkowanych przez nią obrazów, mianowicie z wytwórnią Foxa, bez wahania zakontraktowałem dwadzieścia kilka filmów na sezon obecny.

— A można wiedzieć jakie?

Owszem, z przyjemnością podam je panu. W pierwszym więc rzędzie pójdzie wspinały film reżyserji Franka Lloyda p. t. „Kawalkada” z Clive Brookiem i Diana Wynard w rolach tytułowych. Następnie Liljan Harvey i John Boles ukażą się w wybornej operetce p. t. „Jej Królewska Mość”, zaś Janet Gaynor, Lew Ayres i Will Rogers w „Jarmarku miłości”. Wspaniały tenor liryczny Jose Moica ukaże się wraz z Rositą Moreno w „Królu cyganów”; potem zaś pójdą filmy takie, jak „Moja słabość” z Liljaną Harvey, Sherlock Holmes, Głód miłości, Chanau, Sześć godzin życia, Noc miłości, Romans sekretarki, Człowiek który ukradł serce, Pocałunek skażenica, Piekło na ziemi, Wschód słońca, Miłostki baletnicy, Nieznajoma z ulicy, obraz „Pilgrimage” którego tytuł polski jeszcze nie jest ustalony, tudzież dwa wspaniałe filmy produkcji Jasse L. Lasky’ego p. t. Szalona noc w Zoo i Nowa pieśń, wprost olśniewająca swym humorem. Wystąpią zaś w filmach tych nazwiska takie, Mirjam Jordan, Raul Roulien, Edna May Oliver, Bela Lugosi, Edmund Lowe, Warn Boocier, Mora Maris, Sally Kilers, Ralph Bellamy, James Dunn, Boots Malory, Charles Farrell, Joan Bennet, George O’Brian, Elissa Lendi, Philip Merival, Marion Nixon, Norma Foster, Heater Engel, Samy Coher, Loretta Young, Gene Raymond, Helen Madison i t. d. Reżyserja pierwszorzędných reżyserów Foxa.

— A co z t. zw. naddatkami?

— W naddatkach pokażę wybrane komedijki rysunkowe Foxa, tudzież uznane powszechnie za najlepsze i najciekawsze Tygodniki Foxa, które obecnie wraz z całą produkcją tej firmy przeszły na moją wyłączną własność dla pierwszego pokazania ich lwowskiej publiczności. Uważam i to sobie za wyjątkowy sukces.

— A czy nie byłby pan dyrektor łaskaw opowiedzieć mi pokrótce dziejów swego ki-



Lwów — Fragment kościoła SS. Sakramentek — pastel.
mal. Władysław Gościński.

Kącik kobiecy.

Wiosna, lato, jesień... Pory powtarzają się niezmiennie — jak zmienną jednak jest wszechwładna pani moda!

Każdy nowy sezon, pociąga za sobą konieczność zmiany, a bodaj pewnego zmodernizowania garderoby z zeszłego sezonu. Cztery razy do roku!... Doprawdy cokolwiek za często w stosunku do naszych stałych, a... minimalnych dochodów... Możemy zazdrościć kobietom stref... podbiegunowych, gdzie podobno jeden kostium futrzany, wystarcza dla największej modniarki na cały rok boży!...

To samo dotyczy przedstawielek płci pięknej krajów tropikalnych, gdzie cały kostium bardzo zresztą efektowny i twarzowy, stanowi rodzaj... rogózki.

Ponieważ my jednak nie mamy najmniejszych widoków na podobne uproszczenie stroju, musimy się stosować do mody i nie wolno nam się z pod jej nakazów wyłamywać. „Jak cię widzą — tak cię piszą...” — stare to i słuszne przysłowie powinno być dla nas rodzajem memento. Piękność i elegancja obowiązuje każdą panią — z tem, że o ile pierwsza nie zawsze może być osiągalna, pomimo nadludzkich wysiłków kosmetycznych, o tyle druga jest dostępną każdej, o ile tylko środki i chęci dopisują.

„...Leci liście z drzewa...” i znów nowy sezon jesienny. Ogarnia nas prawdziwy lęk i niechęć do tego zmiennego, deszczowego okresu. Deszcz... a w ślad za nim błoto, w którym się muszą nużyć zgrabne pantofelki! By tego uniknąć, należy się zawczasu zaopatrzyć w praktyczne deszczowce, czem ochronimy siebie przed katarą, a obuwie przed zniszczeniem. Także lekki nieprzemakalny płaszcz jedwabny, powinien znaleźć się w kolekcji jesiennych okryć każdej pani. — Przystępna cena i wielka jego użyteczność zachęci niewątpliwie do zaopatrzenia się weń. Beret dobrany do koloru płaszcza, stworzy nam kostium, wytrzymały na kaprysy zmiennej jesieni.

Sezon jesienny, jako przejściowy i tak blizki zimowemu, nie powinien pociągać za sobą zbyt wielkich wydatków. Możemy teraz używać z zupełnym powodzeniem rzeczy wiosennych, jeśli mamy dzień cieplejszy. W dni zimne i słotne nie zaszkodzi ubranie płaszcza zimowego.

noteatru, bo o ile pamiętam, było to jedyne kino, które podczas obrony Lwowa w r. 1919 niosło trochę pokrzepienia i rozrywki znękaną lwowską publiczność?

— Rzeczywiście, że tak było. Podczas wojny bowiem światowej prowadziłem jako kierownik dzisiejsze kino „Grażyna”, pod nazwą „Kino Czerwonego Krzyża”. Kiedy zaś zaczęła się obrona Lwowa, chcąc dać trochę rozrywki i publiczności naszej i żołnierzom, przeniosłem to kino na miejsce dzisiejszej „Chimery”, i pod nazwą „Czerwonego Krzyża” uruchomiłem je, pędząc motory benzyną, gdyż jak panu wiadomo, elektryki wtedy we Lwowie nie było. Od 1918 roku prowadzę już „Chimerę” na własną rękę. Starałem się wyświetlać zawsze wybierane utwory. Kiedy pojawiły się pierwsze dźwiękowce, powstała duża trudność; za żadną bowiem cenę nie chciałem się rzec ekranu: naprawdę „srebrnego” i zamienić go na jedwabny, by za nim umieścić głośniki. Jedwabny bowiem ekran pożera dużą część obrazu, który też traci wyrazistość i wypada nieco przyciemniony. Rozmieszczeniem odmiennym głośników udało mi się przecież rozwiązać tę trudność, tak że bodaj jedyny we Lwowie uratowałem ekran srebrny i to sobie też poczytuję za pewien sukces.

Serdecznym życzeniem „Szczęść Boże”, żegnamy dyrektora tej zasłużonej polskiej placówki kulturalnej, która jak niegdyś żołnierzy naszych za najcięższych dni Lwowa krzepiła, tak i nadal chce służyć pierwszorzędną rozrywką miastu, w dzisiejszych ciężkich czasach. Niechże trwa i wytrwa, i niech rozwija się jaknajpomyślniej. (X)

Sezon przejściowy.

Jesień daje nam zupełną swobodę w zastosowywaniu garderoby, jaką mamy w zapasie. Pewne odnowienie jednak i modernizacja są pożądane przed rozpoczęciem każdego sezonu.

Przeglądu garderoby należy dokonać w asystencji dobrej domowej krawczyni, która doradzi, co może korzystnie wpłynąć na prezentację naszych toalet. Mniejsza lub większa przeróbka, przenicowanie, może doprowadzić niektóre rzeczy do stanu w niczem nie przypominającego nieco już wyświeconej sukni lub płaszcza. Płaszcz przenicowany, przydłużony i zaopatrzony w nową krawatkę futrzaną, tak modne obecnie epolety lub świeży kołnierz zrobi jeszcze niekiedy „furorę”. Suknia zyska wiele przy dopasowaniu jej do figury, dokupienie białego, szerokiego kołnierza i naszytanie nowych pięknych guzików z metalu — istnych cacek obecnej fabrykacji.

Jeśli jednak kupno czegoś nowego okaże się nieuniknionem, należy zrobić wprzód dokładny przegląd modeli bieżącego sezonu i wypośredkować w następstwie tego wybór okrycia najodpowiedniejszego i mogącego mieć długo praktyczne zastosowanie. Nieprześcignione są pod tym względem rzeczy sportowe. Wogóle wskazanem jest unikanie kupna modeli zbyt ozdobnych (t. zw. krzyków mody), które się prędko opatrzą. — Powściągliwość w kupnie rzeczy błyskotliwych, dotyczących również i kolorów. Płaszcz wiśniowy czy błękitny może sobie sprawić tylko osoba, którą stać na równoczesne kupno drugiego okrycia w bardziej spokojnym kolorze, nie do pomyslenia jest bowiem chodzenie przez cały sezon w płaszczu o kolorze zbytnio w okropnym. Bardzo miłe natomiast są sweterki i szale barwne, a nawet wielobarwne i na takie możemy sobie zawsze pozwolić!

Bardzo korzystnie kalkuluje się kupno garderoby gotowej w okresie posezonowym, który się liczy mniej więcej od połowy każdego sezonu. Kto się więc może wstrzymać z kupnem przez parę pierwszych tygodni, nabędzie rzeczy piękne niekiedy nieomal za cenę materiału.

Jednak i po sezonie nie należy kupować rzeczy zbędnych, jedynie z powodu ich okazyjnej ceny. Bowiem zdarza się, iż zachęcone uwidocznioną na wystawie wyjątkowo

PIENIĄDZ — TO NAJSILNIEJSZA BRON!

KTO KUPUJE U OBCYCH —
POPEŁNIA NAJWIĘKSZY GRZECH
WOBEK SIEBIE I SPOŁECZEŃSTWA!

niską ceną, nabywamy rzeczy bez których mogłybyśmy się obejść, a nawet o których zakupieniu nigdy nie myślałybyśmy, ot po prostu skorzystawszy z okazji.

Taka oszczędność jest nagany godna.
„Nie kupuj, bez czego się obejść możesz!”
Janina Kochanowska.

Grafologia

Zazwyczaj wiemy bardzo mało o naszych przyjaciółkach. Wiemy, że mają ładny buziak, zgrabne nóżki, wiemy, że lubią czekoladki, tańczą charlestona, — pozatem nic. Życie ich prywatne jest nam mało lub zupełnie nieznane.

Pewnego dnia nie wystarczyły mi te szczupłe wiaomości i zapragnąłem poznać bliżej charakter mej Maryli. Przeczytałem w gazecie ogłoszenie słynnego grafologa, udałem się do niego zaopatrzonego w ostatni krótki bilecik mej bogdanki. Brzmiał on następująco: „Najdroższy! Czekaj na mnie dzisiaj o zwykłej porze. Twoja stęskniona Maryla”.

Doczekawszy się szczęśliwie swej kolei podałem grafologowi próbkę pisma mej bogdanki. Grafolog wyprostował dokładnie bilecik, przejrzał go podejrzliwie pod światło, przeczytał raz głośno, raz ciszej a raz szeptem, dwa razy normalnie naprzód a trzy z powrotem, przepisał go na brudno i na czysto, a wyuczywszy się na pamięć popadł w tajemną dla mnie zadumę.

Patrzyłem na niego pełen nabożnego szacunku, bojąc się głośniejszym oddechem zmącić powagę chwili. Grafolog rzucił na mnie spojrzenie jakby z zaświata i wyrzekł grobowo:

— Dama ta jest roztrzępana — i zamknął.

Słuchałem go jak grecki młodzieniec tajemnej wyroczni delfickiej. Słowa jego zdumiały mnie. Skąd mógł ten człowiek znać tak głęboką tajemnicę, że Maryla jest roztrzępana?

Wkrótce miałem się zdziwić jeszcze więcej, wyrocznia bowiem brzmiała dalej:

— Młoda dama oszukuje pana. Poznałem to po sposobie pisania kropki nad literą „i”. Oszukuje pana nawet z wieloma mężczyznami, co poznaję po silnej pochyłości litery „u”.

Wielkie „k” zdradza krótki egoizm! Kobieta ta jest zdolna wprost do wszystkiego. Charakter tyrański, przewrotny, nie cofnęłaby się przed czynem gwałtownym, co wynika jaskrawo z jej litery „o”. Słowem dama ta znajduje się na pochyłości z której się można staczać tylko niżej. Panie, jest to osoba niebezpieczna! Poznałem to po sposobie pisania przecinków. Wyrocznia zamilkła na chwilę.

Oblany zimnym potem czekałem na dalsze słowo grafologa.

A więc zdjął mi tuskę z oczu! Ani godziny dłużej u boku tej okropnej kobiety! Ktoby pomyślał? Maskowała się tak świetnie! Zdradza mnie! Zdolna do czynów gwałtownych, stacza się coraz niżej, ta słodka potulna Maryla!

— Z nerwowym pośpiechem wyjąłem 15 złotych jako należne honorarium za odstąpienie czarnego charakteru mej przyjaciółki.

Nie chcąc słuchać dalej ponurych horoskopów, wybiegłem pospiesznym od grafologa. Kropki nad „i”, litery „u”, duże „k” migotały mi w oczach złowroźnie.

Jak burza wtargnąłem do mieszkania. Maryla zerwała się radośnie z szesłagu. Chłodnym gestem odsunąłem jej wyciągnięte ramiona.

— Nędznico! Pomyśl o twoich kropkach nad „i” i zblednij! Wiem o wszystkim! A więc zdradzasz mnie swoją literą „u”! Twoje przecinki, twoje duże „k”, twoja pochyłość po której się staczasz... Wstrętne egoistko! Czy to jest nagroda za moje szczere serce? Za moją tak gorącą miłość?

Maryla słuchała patrząc na mnie przerażonym okiem.

— Ha! Zdemaskowałem cię wreszcie! Grafolog mi o wszystkim powiedział.

— Jaki grafolog, o czym mówisz?

Wymogła na mnie adres grafologa, otrzymawszy go wybiegła jak burza z mieszkania. W godzinę później wróciła z blaskiem tryumfu w oczach.

— I cóż? spytałem.

— Przedłożyłam mu twoje pismo. Kropki nad „i”, litery „u” pochyłość, słowem wszystko

to samo. Urządziłam mu szaloną awanturę. Groził mi skargą sądową.

— Nieszczęsna cóżś zrobiła?!

Sąd skazał moją przyjaciółkę na 80 zł kary, które zapłaciłem z radością, wracały mi bowiem w ramiona moją dawną, potulną Marylę. O grafologii nie chcę już słyszeć.

JAN-KA

O reklamie godziwej i reklamie chytrej

„Reklama jest dźwignią handlu!” Oklepane to już wprowadzie zdanie, niemniej jednak mające pełną wartość, podobnie jak pieniążek wytarty już nieco przez zużycie, ale nie tracący jeszcze mocy obiegowej. Zdanie to powtarzają zawsze gazety, powtarza je też każdy akwizytor, namawiający kupców, by się anonsowali w gazetach.

I słusznie. Reklama prasowa bowiem była jest i będzie najlepszym sposobem propagandy, bo prasa dociera dziś wszędzie, bo czyta się ją z uwagą, nie dorywczo i w przechodzie jak na przykład afisz uliczny, lub nie w rozdrażnieniu, jak przeźrocze na ekranie. Są nawet tacy, którzy czytają gazety naopak, t. j. zaczynając od końca, od anonsów, a kończąc na artykule wstępnym, o ile ten nie jest nudny jak flaki z olejem.

Są jeszcze inne sposoby reklamy; przez radio, zapomocą świetlnych napisów, przy zastosowaniu wielkich tablic, obnoszonych po ulicach przez bezrobotnych drągali, i t.d. i t.d.

Wszystkie te rodzaje reklamy są mniej lub więcej dobre, o ile są godziwe, o ile nie przeciągają struny czy to dobrego smaku, czy też nie obrażają niczyich uczuć.

Ale istnieje jeszcze reklama chytra. Reklama nie licząca się z niczem, nie uznająca żadnej świętości, byle tylko napchać groszem kieszenie, byle tylko handel szedł.

Coby na przykład powiedział świat, gdyby do reklamy jakiegoś towaru, używał sobie ktoś insygnijów lub symbolów religijnych za magnes, mający mu ściągnąć tłumy do sklepu? Chyba nie tolerowanoby tego, bo świętość wszelka jest

świętością i poniewierać jej dla byle czego nie wolno!

Otóż obok świętości wyznaniowych, istnieją i świętości inne. Świętości, dla których ludzie przelewają krew, dla których giną, dla których słodka staje się męka i poniewierka i wszelka gorycz czy martyrologia życiowa. Istnieją świętości narodowe.

Największą zaś świętością narodową — jest godło państwowe. Utało się wprowadzić, że wolno go użyć na wytworach państwowych, ale i tu nawet zrozumiano, że lepiej jest symbolów nie upowszechniać i ostatnio usunięto na przykład Orła z tutek papierosów, choć to wyrób naprawdę państwowy. Nie chciano bowiem popolitować świętości.

A tymczasem... Tymczasem istnieje firma, firma ściśle prywatna, która w reklamie gazetowej, na tablicach obnoszonych po mieście, na przeźroczeniach świetlnych, po tramwajowych przystankach — słowem wszędzie, gdzie tylko można, umieszcza sobie nad czeladnikiem szewskim, kołującym pracownice obuwy — Orła Białego na czerwonym tle. Robi więc to, czego Polakowi zrobić nie pozwoliłoby nigdy uczucie, to samo uczucie, które jego i jego ojców i dziadów, gnało w imię tego godła na śmierć, na rany, na Sybir, do więzień i na wygnania. Nie dziwota! Kto bowiem tego uczuciowego nastawienia dla godła narodowego i do polskości, niema (i mieć nie może!), ten nie pojmuje, że nie wolno na służbę swych wyrobów posyłać świętości.

I chytróść musi mieć bowiem swoje granice!

Bończa.

DZIAŁ OGŁOSZENIOWY.

TEATR „COLOSEUM”

NAJLEPSZE: Operetki — rewje filmy.

OBSADA: Grabowska, Ryłska, Relska, Sowiński, Pilarski, Ostrowski i inni.

Kameralne — polskie „KINO CHIMERA” Lwów, Akademicka 8. — Po pierwszy we Lwowie. — Najnowsze przeboje FOXA: DZIKA DZIEWCZYNA, KAWALKADY — „KRÓL CYGANÓW”
NADDATEK: Doborowe tygodniki FOXA. — KOMEDJE RYSUNKOWE.

NINIEJSZEM ZAWIADAMIAM, ŻE
ZOSTAŁA OTWARTA W LOKALU
PRZY UL. LEONA SAPIEHI 20.

WZOROWA — TANIA
PRACOWNIA OBUWIA

POD FIRMA

STANISŁAW BIS

Rok zał. 1860

Tel. 166

ZAKŁAD ART. BUD. BLACHARSKI

MARJAN BENDL

SKŁAD I WARSZTATY

Lwów, Wronowska 6.

poleca:

specjalne wyroby galanteryjne i budowlane.

Aleksander BELTOWSKI

Lwów, SOBIESKIEGO 4.

Pracownia i Magazyn sukien męskich.

Zakład pogrzebowy „ELIZJUM”

Sobieskiego 9. Telefon 89-40

Mieszk. 92-92

przedtem pod firmą J. KURKOWSKIEGO urządza pogrzeby od najskromniejszych do najwspanialszych, przeprowadza ekshumacje, wywozy zwłok po cenach najniższych i na dogodnie spłaty. Na składzie wielki wybór wieńców metalowych.

ЛНБ им. В. Стефанико
ПРОВЕРЕНО-1987

908

Ж 4675

Restauracja i pokoje do śniadań**Marjana Rafki**

(przedtem A. SZKOWRON)

Lwów, Kopernika 3

Telefon 26—72.

śniadania — obiady — kolacjeobfite dania „menu“ i à la carte mięsne i jarskie — Wy-
borowe trunki i napoje — Gorące i zimne dania.

Przy bufecie już od 50 groszy.

Wieczorem koncert. Ceny kryzysowe! Osobna sala (na 80 osób) na bankiety, tow. zebrania i zabawy.

WYTWORNA GALANTERJA SKÓRZANA

W. Ciechulski i Syn

Lwów — Legionów 5.

ARTYSTYCZNIE! SZYKOWNIE!
KROJEM ANGIELSKIM

wykonuje

GARDEROBĘ MĘSKĄ

ANDRZEJ CZAJKA

Lwów, Romanowicza 18

Przez Kuratorjum koncesjonowane

Kursa nauki pisania na maszynie(Specjalne kursa nauki języków
niemieckiego i francuskiego)**K. Michalskiej**

we Lwowie — ul. Sykstuska 10

Telef. 743 i 88—49.

Przepisywanie i powielanie w
starannym wykonaniu. — Wypożyczalnia
maszyn. — Warsztat napraw. — Fachowe
porady.**PRENUMERATA:**

miesięcznie	0.70
kwartalnie	2.—
półrocznie	4.—
rocznie	7.50

NACZELNY REDAKTOR

przyjmuje codziennie od 11—13-tej

ADMINISTRACJA

codziennie od 9—14-tej.

Numer pojedynczy 35 gr.

CZESŁAWA LECHICKIEGO

**W WALCE
Z DEMOKALIZACJĄ**

(SZKICE LITERACKO - SPOŁECZNE)

MIEJSCE PIASTOWE 1933, TOMÓW DWA,
STRON 560, CENA TYLKO 9 ZŁOTYCH.**SPIS TREŚCI:**ZGNIŁA ATMOSFERA. — WOBEC EPIDEMJI
ROZWODÓW. — PRĄDY ROZKŁADOWE. —
PROPAGANDA BEZWSTYDU W NIEMCZACH. —
DOKOŁA PORNOGRAFJI. — «WESTJA DRA-
ŻLIWA. — O TEATRZE, ROZSADNIKU ZEPSUCIA.
— LITERATURA JAKO CZYNNIK DEMORALI-
ZACJI. — REFLEKSJE OGÓLNE I WNIOSKI.
— DODATEK.**DO NABYCIA W KSIĘGARNI T. S. L.
UL. BATOREGO 32 I GDZIEINDZIEJ.****SURNA**na ubrania męskie, palta, futra, kostjomy
damskie, mundurki stud.poleca
FABRYCZNY SKŁAD**LUDWIK RALSKI**

Lwów, Rutowskiego 7.

STALE NA SKŁADZIEposiada solidne sypialnie, jadalnie — także wykonuje na zamówienie wszelkie meble
po cenach przytępnych**WYTWÓRNIĄ MEBLI**

EDWARDA KLEBANA, Lwów-Zniesienie ul. Jasna 22. Tel. 70-45.

STAŁA WYSTAWA I SPRZEDAŻ ul. SOBIESKIEGO 3.

CENY OGŁOSZEŃ:Strona dzieli się na 3 łamy; szerokość łamu 80 mm; 1 milimetr
w 1 łamie kosztuje 60 groszy. Cała strona zł. 630.Ogłoszenia w tekście i dwubarwne na ostatniej str. 50% drożej.
Miejsce zastrzeżone o 25% drożej.

0,35

ЛНБ им. В. Стефаника
ПРОВЕРЕНО-1987 г.

Ж 4675